



Diane
Sterling

*Sycylijskie
wesele*

bacheffa

pisane przez zycie

Diane Sterling

Sycylijskie wesele

Tytuł oryginału: Sizilianische Hochzeit

A stylized, handwritten-style logo consisting of the letters 'MK' in a bold, cursive font.

Mojej córce

Rozdział pierwszy

Już nigdy nie wrócę do Monteleone. Widok dębów korkowych¹ o brzasku i zapach kwitnących mandarynek pozostanie tylko wspomnieniem. Nie przekroczę progu starego domu od stuleci zamieszkanego przez rodzinę mojego męża.

W myślach wciąż jednak przechadzam się po ciemnych pomieszczeniach tej dostojnej rezydencji. Dotykam dłonią zimnej marmurowej płyty kredensu i nadgryzionego zębem czasu jedwabiu pokrywającego fotel. Przy zamkniętych okiennicach ledwo można dostrzec na ścianie obraz don Michele. Wiem, że tam jest, i wyobrażam sobie jego szyderczy uśmiech, który towarzyszy mi z każdym krokiem. Naprzeciwko wisi obraz przedstawiający postać biskupa. W ten sposób dwaj najpotężniejsi członkowie rodu Lorenzów jeszcze długo po dokonaniu wspólnej zbrodni mają oko na wszystko i trzymają rodzinę w szachu. W kuchni kobiety wycinają serca karczochów i maczają w oliwie z oliwek. W garnkach wrze woda. Gdy tylko wróci Tancredi, zaczną gotować pastę². Mijam ukryte drzwi. Osoba, która jest tu pierwszy raz, zapewne pomyśli, że prowadzą do piwnicy. Jednak to, co się za nimi kryje, jest przerażające.

Wąskimi schodami wspinam się na płaski dach, gdzie schną ułożone owoce migdałowca. Pod wpływem palącego słońca marszczy się ich aksamitna skórka do momentu, gdy nie zostanie z nich jedynie twarda łupina. Migdał znajduje się w rodzinnym herbie Lorenzów.

Przechylam się przez balustradę gorącą od słońca. Na dole, przed domem zatrzymuje się alfa romeo. To samochód Tancrediego. Po chwili wysiada i otwiera bagażnik. Wydaje polecenie służbie, żeby wnieśli do domu skrzynki z winem. Do posiłku będzie serwowane ciężkie wino rubino, które mocno uderza do głowy i sprawia, że sjesta jest dla mnie bardziej przygnębiająca niż zwykle.

Schodzę z dachu. Tancredi życzy sobie, by żona wychodziła mu na powitanie. Biegnę na dół. On już czeka u podnóża schodów. Ma na sobie koszulę bez kołnierzyka i zapiętą kamizelkę. Widzę, że trzyma w kieszeniach zaciśnięte pięści. Informuje mnie, że jeszcze przed obiadem chce ze mną zamienić słowo. „Tylko nie tu” – myślę i idę w stronę naszego pokoju. Wolę, żeby

dopiero tam rozpętała się burza.

– O czym rozmawiałaś z rybakim? – zaczął na pozór spokojnie.

On sam nie mógł mnie z nim widzieć. Ktoś musiał mu o tym donieść. Tancredi w całym mieście ma szpiegów, którzy mnie obserwują, a potem szepeczą do niego, co robiłam i dokąd chodziłam. Czego się nie dowie, to i tak sobie wymyśli.

Przyglądam mu się przez chwilę. Ma dużą głowę, kruczoczarne włosy, mądre oczy, miękki zarys podbródka. Najczęściej jego umysł zaprzętają grzechy, których sycylijska kobieta nigdy by się nie dopuściła; pragnienia, których nie mogłaby okazać. Wszystko to jest wymyślone i powoduje jego złe nastawienie do mnie. W swojej bujnej wyobraźni widzi mnie z mechanikiem albo handlarzem materiałów, który odbiera moje projekty. Dzisiaj do tego grona dołączył rybak.

Jestem Angielką. Nie wywodzę się z zasłużonej czy znanej rodziny, o której pamiętałoby społeczeństwo. Nie mam korzeni szlacheckich ani nie należę do starego rodu z tradycjami. Pochodzę z Londynu, światowej stolicy kulturalnych i seksualnych zmian. Wyrwana z oszołomienia dekadą określaną jako *swinging sixties*³ podążyłam za Tancredim na Sycylię do kraju patriarchów. Byłam jednocześnie jego dumą i solą w oku, ucieleśnieniem wolności, która tak bardzo go przerażała. Byłam zmartwieniem, które kazało mu się zrywać w środku nocy i zaczynać dzień od podejrzeń i nieufności.

– Po co rozmawiałaś z rybakim? – Jego głos wyrwał mnie z zadumy.

– Chciałam się dowiedzieć, co u jego żony.

– Skąd ją znasz? – zapytał.

– Jego żona dla mnie szyje. Jest chora i potrzebuje lekarstw – powiedziałam, licząc na to, że mnie zrozumie.

– To dlaczego omawiałaś to z nim, a nie z nią?

– Spacerowałam i wpadliśmy na siebie przy molo.

– Nie. Wy specjalnie spotkaliście się na molo – powiedział stanowczym tonem.

– Przypadkiem spacerowaliśmy po molo w tym samym czasie – odpowiedziałam ze spokojem.

– Czyli jednak chciałaś się z nim spotkać? – spytał.

Spojrzał mi prosto w oczy, stojąc pod dwoma skrzyżowanymi sztyletami i szablą, którą walczył jego dziadek w bitwie nad Isonzo⁴. Jego twarz nagle stała się zacięta, a usta wąskie.

– Pomyślałaś, że na molo nie będziecie się rzucać w oczy – wycodził przez zęby.

Chichi przeszedł obok nas, trzymając skrzynkę wina, i skierował się w stronę schodów prowadzących do piwnicy. Zachowywał się tak, jakby nie słyszał odgłosów naszej kłótni, co było niemożliwe, bo donośny głos Tancrediego wypełniał cały dom. Chichi był jednym z jego donosicieli.

Antonia wyszła z kuchni i zamknęła okiennice. Nikt z zewnątrz nie miał prawa się dowiedzieć, że w willi rodziny Lorenzów znów zaczęło się przesłuchanie. Ludzie z Monteleone i tak w końcu się dowiedzieli, bo plotki szybko się rozniosły po uliczkach i zaułkach. Z ust do ust przekazywali sobie wiadomość, że Angielka znów naraziła się padrone⁵. Nikogo to nie dziwiło. Mogło to znaczyć tylko jedno. Kolejny raz mimo jego zakazu założyła seksowną, krótką sukienkę. Jej włosy były tak jasne i krótkie, że wszyscy oglądali się za jej gładką szyją. Już dwa lata minęły, od kiedy przyjechała do Monteleone, ale nadal lekceważyła reguły i nie potrafiła się dostosować. Najbardziej wpływowy mężczyzna w okolicy poślubił Inglese⁶ i dał jej swoje nazwisko. Jednak cały czas musiał jej pilnować, szpiegować ją, by nie zhańbiła rodu Lorenzów.

To był 1971 rok.

* * *

Zamyślam się i zamykam okiennice drzwi tarasowych, gdyż na dworze robi się gorąco. Późnym popołudniem, gdy słońce zacznie powoli zachodzić, a krajobraz spowije tajemnicza poświata fioletu charakterystyczna dla tej okolicy, przybędą pierwsi goście. Niektórzy z nich przyjadą z niedaleka, bo z Rzymu do mojego domu to tylko dwie godziny. Inni odbędą dłuższą podróż. Na przykład Patryk przyleci z Londynu. Dzisiejszego wieczoru będziemy świętować moje siedemdziesiąte urodziny. Z Monteleone nie przyjedzie nikt, mimo że wiele osób jeszcze żyje, tak jak Tancredi, mój były mąż.

Chociaż minęło blisko czterdzieści lat, wszystko we mnie jest nadal tak żywe, jakby czas się zatrzymał. Już nigdy nie wrócę do Monteleone, jednak na zawsze pozostanę wierna Włochom. Ja, stara Angielka, żyję na wzgórzach, na północ od Rzymu. Trzyma mnie tu nie tylko miłość do tego kraju, ale również moja córka. Tancredi nie zgodził się, żebym wywiozła Julię za granicę. Gdy wszystkie sprawy między nami zostały uregulowane, nie widziałam powodu, by nienawidzić Włoch i wyjeżdżać.

Przez dom, w którym panuje półmrok, przechodzę do mojego studia. Ściany obwieszono są rysunkami i figurami w kostiumach. Te obrazy odzwierciedlają moje życie i jednocześnie

nieuporządkowane wyobrażenie o mnie. Tylko na biurku panuje ład. Leży na nim obciążona aksamitem szkatułka, a w niej bardzo stary pierścień. Trzy ciemnoniebieskie szafiry otoczone diamentami w oprawie z białego złota. Pierścionek pochodzi z rodzowego skarbcza rodu Lorenzów. Wszechwładny don Michele podarował go na początku dwudziestego wieku swojej ukochanej i zażądał go z powrotem, gdy zorientował się, że go okłamała. Do końca życia pozostał kawalerem, a w testamencie zapisał go swojemu siostrzeńcowi Calogero, który przejął zarządzanie rodzinnymi interesami. Calogero wręczył go swojej narzeczonej w dniu zaręczyn, a ona przekazała go Tancrediemu, swojemu pierworodnemu synowi, który włożył mi ten pierścień na palec.

Dziś wieczorem pierścionek otrzyma moja córka. Długo zwlekałam z tym prezentem, ponieważ pierścień nie przyniósł szczęścia ludziom, którzy go nosili. Jednak jest zbyt piękny, by zamknąć go na klucz. Julia sama zdecyduje, co z nim zrobić. Trzymam go w dłoniach i przyglądam mu się pod lampką stojącą na biurku. Szafiry migoczą na ciemnoniebiesko. Przypominają mi kolor, który jest nierozdzielnie związany z moim życiem i o którym do dziś myślę z przerażeniem – navy blue⁷.

1 Gatunek wiecznie zielonego, rozłożystego drzewa, które rośnie w południowej Afryce i południowej Europie. Z jego kory wytwarzane są korki (przyp. tłum.).

2 Makaron najczęściej z sosem na bazie przecieru pomidorowego lub śmietany (przyp. tłum.).

3 Swingujące lata sześćdziesiąte (ang.). Nazwa nawiązuje do społecznej i seksualnej rewolucji, jaka miała miejsce w tych czasach (przyp. tłum.).

4 Bitwy w dolinie rzeki Isonzo (słoweńska nazwa Socza) między oddziałami włoskimi a austro-węgierskimi miały miejsce w latach 1915–1917 (przyp. tłum.).

5 Właściciel, pan domu (wł.).

6 Angielka (wł.).

7 Granatowy (ang.).

Rozdział drugi

Król Jerzy V zmarł w nocy 20 stycznia 1936 roku. Do pałacu Buckingham natychmiast wprowadził się książę Walii, który zasiadł na tronie jako Edward VIII. Jednak jeszcze przed koronacją niedoszły król abdykował. A wszystko przez Wallis Simpson, Amerykankę, którą kochał, ale nie mógł poślubić. W tamtych czasach bowiem nie do pomyślenia był fakt, żeby żoną panującego monarchy, głowy Kościoła anglikańskiego, miała zostać kobieta dwukrotnie rozwiedziona, pochodząca ze zwykłej rodziny. Tylko jeden raz Edward otworzył obrady parlamentu. Zaprezentował się wtedy w uniformie admirała marynarki wojennej.

Po abdykacji Edwarda VIII na tron wstąpił jego młodszy brat Albert, przyjmując imię Jerzego VI. Nowy monarcha nie sprawiał wrażenia osoby odpowiedniej do sprawowania tego urzędu. Nie lubił publicznych wystąpień, co można było zrozumieć, gdyż bardzo się jąkał. Może właśnie ta ułomność, którą usilnie starał się pokonać, sprawiła, że dość szybko zyskał przychylność i sympatię narodu. Przyczyniła się do tego również jego postawa podczas bombardowania Londynu, gdyż nie szukał bezpiecznego schronienia i nie uciekł z kraju. Pozostał ze swoimi poddanymi.

* * *

Gdy miałam cztery lata, nosiłam uniform z grubego, granatowego materiału i pelerynę na podszewce. Pewnego dnia szłam przez miasto z Patrykiem, którego mocno trzymałam za rękę. Zbliżaliśmy się właśnie do leja po bombie. Spojrzałam na jakieś przewody wystające z ziemi. Ze wszystkich stron lała się woda. Dwóch mężczyzn zwijało węże strażackie, inni przesuwali pompę w stronę wozu, do którego została podłączona. Przyglądałam się zmęczonemu, nieogolonemu twarzom, a jednocześnie wspinałam się ostrożnie po mokrych i śliskich gruzach. Na szczęście pożar został ugaszony.

– Uważaj, żeby twoja siostrzyczka nie pobrudziła sobie butów! – krzyknął do Patryka jeden z mężczyzn.

– Ona nie jest moją siostrą – odpowiedział Patryk lekko obrażonym tonem.

Na pierwszy rzut oka było widać, że się różnimy. Patryk był rudzielcem, synem naszych irlandzkich sąsiadów. Zaopiekował się mną, gdy bomby zaczęły spadać na Manchester. Nie miałam rodzeństwa. Mój ojciec całe dni spędzał w zakładzie, a matka często chorowała i nie miała odwagi chodzić ulicami. Mimo wszystko rozumiała, że jej dziecko od czasu do czasu musiało wyjść na dwór, więc pozwalała mi na spacer w towarzystwie Patryka.

– Newington Terrace? – zapytał. – Gdzie to jest?

Czarnym od sadzy palcem strażak wskazał uliczkę prowadzącą stromo w dół.

Balansowaliśmy na krawędzi wzdłuż leja. Nagle luźna ziemia osunęła mi się spod stóp. Patryk mocno chwycił mnie za ramię. Niósł przed sobą szare, tekturowe pudełko, na którym widniało moje nazwisko – Sterling. Obok liter przyczepione były dwa guziki. To właśnie tym zajmował się mój tata: produkował guziki. Wówczas nie miałam pojęcia, że największą zniewagą, jaka go w życiu spotkała, było niepodpisanie kontraktu z armią. Setki tysięcy mężczyzn w uniformach. Wszyscy potrzebowali blaszanych, skórzanych guzików, niektórzy takich błyszczących z mosiężnym pokryciem, a jeszcze inni wytrzymałych z bawolich rogów. Zapotrzebowanie było ogromne, między innymi na: wieszaki na odznaczenia⁸, wstęgi, sprzączki do pasków, szelki do spodni i wiele innych wyrobów, które produkowała firma Sterling. Mimo tak ogromnego popytu interes mojego ojca ograniczał się jedynie do cywilnej klienteli.

To był już trzeci alarm przeciwlotniczy w tym tygodniu. Każdy kolejny nalot Manchester znosił coraz gorzej. Nasz firmowy samochód nie mógł już poruszać się zniszczonymi ulicami miasta. Towar był dostarczany pieszo lub rowerem. Patryk nosił przesyłki do klientów, którzy mieszkali niedaleko. Wyglądał trochę dziwnie w czapce z wypłowiałego tweedu, którą zabrał ojcu, zupełnie jak marynarkę od munduru z pierwszej wojny światowej całkowicie pozbawioną dystynkcji. Z Patrykiem mogłam pójść wszędzie. Był moim pierwszym prawdziwym przyjacielem.

Wypalona luka w szeregu domów posłużyła nam za skrót. Wpatrywałam się w szkielety napotkanych budynków. Spękane mieszkania przypominały mój dom dla lalek. Wiatr rozwiewał popiół po ulicy. Patryk starał się osłonić przed nim karton. Trzymał rękę nad pudełkiem tak, aby pył nie przedostał się do środka. Mimo napotykaných przeciwności szliśmy dalej, aż w końcu dotarliśmy do sali przy St-Vincent-in-the-Fields. Trawa wyrastała między szparami w schodach, fasada się kruszyła, a strzępy wiszącego na niej plakatu powiewały na wietrze. Ludzie siedzieli przed budynkiem na starych skrzynkach i pili herbatę.

Gdy weszliśmy do środka, jakaś starsza pani zaczęła mi się przyglądać ze współczuciem. Myślała, że jesteśmy sierotami i szukamy schronienia jak wiele innych dzieci w Londynie. W budynku powitał nas świat, który nie miał nic wspólnego z ponurą rzeczywistością i ze spustoszeniem, jakie panowało na zewnątrz. Schodami można było pójść w lewo lub prawo. Przed nami otworzyły się eleganckie, szklane drzwi. Pobiegliśmy po kamiennej podłodze. Z sali dochodziły gorące opary i zapach gotowanych warzyw. Na krzesłach poustawianych w rzędzie niektórzy ludzie siedzieli bez ruchu, niektórzy przysypiali, a jeszcze inni, zawinięci w koce, czytali gazety. Jakieś dziecko zaczęło żałośnie płakać, po chwili kolejne do niego dołączyło. W ciemności widać było jedynie nieduże, blaszane lampki, które rzucały przytłumione światło na scenę. Młoda dziewczyna tańczyła i śpiewała. W dłoni trzymała piracki kapelusz.

Stań się nieśmiertelny

Stań się historią

Uderz się w pierś

I zaśpiewaj tarantara.

Nagle dźwięki pianina ucichły. Z kanału orkiestrowego wyłonił się pianista, podszedł i powiedział coś do piosenkarki.

– Jesteś tym chłopcem, którego miał przysłać pan Sterling? – padło pytanie z głębi sali.

Wyrwani z zamyślenia odwróciliśmy się szybko w stronę obcego głosu. Podeszła do nas starsza pani. Siwe pasma włosów wystawały spod przekrzywionego wojskowego hełmu. Opaska na jej ramieniu świadczyła o tym, że była członkinią komitetu obrony przeciwlotniczej. Mówiła przez zaciśnięte usta, przez co ledwo ją rozumiałam. Po chwili dostrzegłam, że w ustach trzymała kilka igieł. Na przegubie miała przyczepioną poduszczykę na szpilki. Wyciągnęła ręce po karton.

– Tych guzików potrzebowałam już parę godzin temu – powiedziała.

Gdy Patryk otworzył usta, żeby zacząć się tłumaczyć, jej twarz się rozjaśniła.

– Zdaję sobie sprawę, że z trudem można się poruszać po mieście – stwierdziła i zwróciła się do mnie, głaszcząc po głowie: – Jak masz na imię, moje dziecko?

– Diana – odpowiedziałam, patrząc jej prosto w oczy.

– Towarzyszysz swojemu bratu w wędrówce przez nasz udręczony Manchester?

– On nie jest moim... – wyjaśniłam i przerwałam w pół słowa.

Zaniemówiłam z wrażenia. Stałam z otwartymi ustami i z ciekawością wpatrywałam się w sześć małych dziewczynek, które tańczyły obok nas. Były niewiele starsze ode mnie. Miały na

sobie kołyszące się spódniczki, a na głowach białe korony. Lśniaca biel w przyciemnionym pomieszczeniu wydawała się być jak wzięcie głębokiego oddechu po sennym koszmarze. Dziwiło mnie, że wśród ludzi zgromadzonych na parkiecie prawie nikt nie zwracał na nie uwagi. Dzieci tańczyły na środku sceny. Pani nauczycielka trzymająca w dłoni kapelusz w trakcie ich występu pouczała je i udzielała wskazówek. Podbiegłam bliżej przez środkowe przejście. Kołyszące się podczas każdego ruchu spódniczki były uszyte ze starych firanek, zupełnie jak śnieżnobiałe korony na głowach dziewczynek. Stroje usztywniono za pomocą drutu, co nadało im tak piękny kształt, jak w prawdziwej sukience primabaleriny. Jedna z dziewczynek dostrzegła mój zaciekawiony wzrok i dumnie wypięła pierś. Pewnie i zgrabnie poruszała się w bieli, podczas gdy ja sztywno stałam przy rampie w swoim granatowym uniformie.

W tym samym czasie starsza pani z komitetu obrony przeciwlotniczej sprawdziła zawartość kartonu, który przynieśliśmy. Patryk przedstawił jej rachunek, który ona podała dalej kobiecie na scenie.

– Pieniądze przyniosę później. Usiądźcie na chwilę.

Z entuzjazmem przeskoczyłam do pierwszego rzędu. W mojej wyobraźni stare firanki i usztywniający drut przeobraziły się w spienioną grzywę, która tańczyła na morzu.

Nigdy nie dowiedziałam się, jaka to była sztuka. Jednak podczas tych kilkunastu minut spędzonych w noclegowni Świętego Vincenta, w środku dotkniętego wojną i zbombardowanego Manchesteru, zaczęło się coś, co miało dla mnie znaczenie w późniejszym życiu. Zobaczyłam materiał na firanki, pomyślałam – ocean, zaś kapelusz trójrożny skojarzył mi się z piratami. Już nic nie było zwyczajne. Wtedy jeszcze nie mogłam tego zrozumieć, ale czułam, że z tej sceny zabieram coś, co już zdążyłam wpleść w moje postrzeganie świata.

W tych czasach wycieczki z Patrykiem były jedynymi szczęśliwymi chwilami. I było jeszcze coś. To magiczny świat guzików, w którym czułam się jak ryba w wodzie. Nasz dom znajdował się na obrzeżach Manchesteru, obok rodzinnego zakładu. Mój ojciec to spokojny, mało przyjazny człowiek, zupełnie zdominowany przez guziki. Ale dla mnie był jak czarodziej, który panował nad wszystkimi fantastycznymi maszynami. Żeby masa rogowa i inne zwykłe materiały miały odpowiednią wielkość oraz stały się w przyszłości guzikami, mój tata zlecał wykonywanie grubych podkładów z drewna, które później już jako guziki znajdowały się przy płaszczach i grubych marynarkach. Wysuszone pestki owoców były przecinane na pół i przerabiane na guziki. W całej długiej hali produkcyjnej słychać było odgłosy piłowania,

borowania i frezowania. Pracownicy wkładali do maszyny blaszane płyty, a po jakimś czasie wyjmowali gotowe, wytłoczone guziki. Czasami mój tata pozwalał mi się nimi bawić, ale tylko wtedy, gdy je później odpowiednio posortowałam. Guziki do spodni, do koszul. Wszystko musiało być poukładane. Z połyskującego, zielonego szkła i wypolerowanych guzików z łupiny kokosa tworzyłam kwiatowe motywy i otaczałam je wystającymi metalowymi guziczkami, na których była wytłoczona postać monarchy. Niekiedy moje kompozycje miały średnicę koła od wozu.

Niedaleko zakładu znajdowała się fabryka maszyn do pisania, z której po pożarze tata mógł korzystać. Produkował w niej przyciski do maszyn, które wytwarzało się tak samo jak zwykłe guziki. Dopiero nauczyłam się czytać, więc starałam się składać słowa z literek na przyciskach. Z początku powstawały pojedyncze wyrazy, a z czasem krótkie zdania, które każdego wieczoru ponownie rozkładałam i sortowałam, wkładając do odpowiednich przegródek.

Były to rzadkie, lecz szczególne dni, gdy starałam się zacczarować moje ponure dzieciństwo. Sztywny, niezniszczalny materiał, z którego był zrobiony mój inifrom, to symbol tamtych lat. W granatowym ubranku maszerowałam do szkoły podstawowej, a później w tym samym kolorze miałam ubranie, gdy szłam do szkoły z internatem. Ze względu na to, że moi rodzice byli wierzący i należeli do parafii Kościoła anglikańskiego, musiałam chodzić do szkoły katolickiej, gdzie dziewczynki były oddzielone od chłopców. Siostry starały się właściwie przygotować nas do życia odpowiedniego dla dziewczynek z tej klasy społecznej, czyli głównie uczyły tego, jak zostać dobrą żoną. Jeśli któraś z dziewczynek w przyszłości chciała iść do pracy, jedynymi odpowiednimi zawodami dla niej były opiekunka do dziecka, pracownik socjalny lub nauczycielka.

Gdy byłam starsza, zrobiłam się bardziej zuchwałą. Nosiłam szkolną tunikę i rozpinany sweter w zniechęcającym kolorze granatowym. Dorośli już nie mogli mi wmówić, że białe jest czarne, a czarne jest białe. Miałam swój rozum i swoje zdanie. „Respekt to coś, co zostało wymyślone przez dorosłych, żeby ujarzmić dzieci, a dyscyplina to zawołowana bliźniacza siostra ogłupienia” – tak wtedy myślałam. Dziewczynki były jeszcze bardziej niemądrze traktowane niż chłopcy. Chyba ze strachu, że mogłoby je spotkać coś, co wychowawcom wymknęłoby się spod kontroli. Starałam się nie wzbraniać przed takim sposobem wychowania. Jednak w tych latach miałam takie dziwne pragnienie, żeby któregoś ranka obudzić się na przykład jako drzewo lub dyrygentka dziewczęcego zespołu. Kolorowe obrazy i ogromna

fantazja były moim ratunkiem przed monotonią i szarzyzną, gdy przytłaczały mnie powtarzalne linie architektury miasta, niekończące się, nudne repetycje szkolnych lekcji czy sobotnie, modlitewne litanie. W moich snach na jawie kielichy kwiatowe zmieniały się w trąbki, łąki przybierały postać latających dywanów. Oczami wyobraźni widziałam wesołe potworki, które miały jedynie oczy i stópki. Również tańcząca, spieniona, morska grzywa zaczęła dominować w mojej fantazji.

Któregoś dnia postanowiłam narysować swój wewnętrzny świat. Rysowałam jak szalona, powoli ukrywałam się za swoimi obrazkami, otulałam nimi swoje myśli. Potrzebowałam coraz więcej papieru i farb, pisaków, kredy, pasteli, wszystkiego, co wówczas zostawiało na papierze jakiś ślad i było lepsze niż nic. Gdy nie udało mi się samej ani z pomocą Patryka zdobyć większej ilości papieru, a niestety kreda i kolorowe flamastry się skończyły, znalazłam nowe zajęcie. Szycie.

Guzików, nici, wstążek i obszywek nigdy u nas nie brakowało. Moja matka była przeszcześliwa, że wreszcie odkryłam hobby odpowiednie dla dziewczynek. Dała mi swoją starą maszynę do szycia. Od tej chwili moją pracownią stała się piwnica.

Dzisiaj to posunięcie traktuję jako zwyczajny efekt rozwoju, który już pod koniec lat pięćdziesiątych odmienił społeczeństwo. Działania decydujące o naszym życiu przestały być narzucane przez tradycyjne instytucje, lecz zaczęły pochodzić z naszego wnętrza. Żaden sławny projektant, którego nazwisko podczas nadchodzącej rewolucji stało się popularne, nie studiował tego, czym się później zajmował. Większość tych bardziej znanych szła do piwnicy, wytwarzała swoje kreacje, które później trafiały do ludzi. Mówię o modzie, moim powołaniu i mojej pasji.

Trochę nieśmiało zaczęłam nowe zajęcie. Nie tworzyłam krzykliwych ani ekstrawaganckich strojów. Były to raczej konwencjonalne fasony. Czasy były ciężkie, wiele dziewcząt i kobiet musiały sobie same wszystko szyć. Pierwsza rzecz, której z chęcią się pozbyłam, to zhora mojego dzieciństwa: kolor granatowy. Mój ojciec łaskawie udostępnił mi materiały ze swojej firmy i podwyższył kieszonkowe. Zrobił to jednak nie z uprzejmości. Po prostu trzeźwo kalkulował i wyliczył, że trochę zaoszczędzi, gdy same z matką będziemy szyć swoją garderobę. Niestety brakowało uroczystych okazji, na które można było założyć długie, wieczorowe suknie. Kiedyś jednak uszyłam mamie sukienkę koktajlową. Kreacja w kolorze butelkowej zieleni z okrągłym dekoltem ładnie się układała i kończyła poniżej kolan. Mama była tak zachwycona, że wydała przyjęcie dla rodziny, podczas którego mogła pochwalić się przed

krewnymi zdolnościami swojej córki. I tak dostałam pierwsze zlecenia. Rodzice dali mi do zrozumienia, że mogę wykorzystywać swój talent jedynie w kręgu rodzinnym i do prywatnych celów.

Zrobiłam się bardziej odważna i w swoich projektach zaczęłam modelować kobiece ciało zgodnie ze swoją wyobraźnią. Moje nowe modele stały się bardziej zmysłowe. Obcinałam rękawy, by ukazać nagie kobiece ramiona, za pomocą odpowiedniego ułożenia szwów podkreślałam pośladki i biodra. Pracowałam, używając plis i kolorowych ramiączek. Dla córki sąsiadki uszyłam rozkloszowaną spódnicę w kwiaty z elastyczną wstawką. Sukienki, marynarki, bluzki, halki – im więcej ich szyłam, tym bardziej były perfekcyjne. W pewnym momencie jednak dotarło do mnie, że tylko kopiuję stare formy, a nie dodaję nic nowego od siebie. Dla mnie to było zmartwienie, a dla moich rodziców powód do zadowolenia.

Gdy miałam dziewiętnaście lat, postanowiłam się pożegnać z domem rodzinnym i dokonać w swoim życiu przełomu. To, co zaczęłam od odcięcia się od koloru granatowego, znalazło swoją logiczną kontynuację w podjętej przeze mnie decyzji opuszczenia rodzinnego miasta. Gdy powiedziałam rodzicom o swoim postanowieniu, nie byli ani zaskoczeni, ani specjalnie zachwyceni. Znali jednak swoje dziecko na tyle, by wiedzieć, że stawianie oporu i wszelkie zakazy tylko pogorszyłyby sprawę. Nie mówiłam niezdecydowanym tonem ani o nic ich nie prosiłam. Przedstawiłam to tak, jakby była to dla mnie jedyna droga i jedyna możliwa przyszłość. Inny model życia, czyli czekanie na miłego, młodego mężczyznę z dobrze usytuowanej rodziny i prowadzenie z nim spokojnego życia nie wchodziło w grę. Moi rodzice już wiele razy próbowali mnie zagonić w tę ślepą uliczkę. Teraz byli pełni obaw i pewni, że popełnię mnóstwo błędów, od czego oni próbowali mnie uchronić. Nie chcieli, żebym jechała do Londynu. Metropolii, o której się mówiło, że straciła swoje dostojeństwo, i w której sprawuje swoje rządy nie tyle młoda królowa, co frywolność i niemoralność. Nie mogli przeboleć, dlaczego chciałam tam się wybrać z Patrykiem, irlandzkim chłopakiem, którego rodzina zajmowała zdecydowanie niższe miejsce w hierarchii społecznej. Moi rodzice nie potrafili zrozumieć, dlaczego uwierzyłam Patrykowi, że właśnie w Londynie miałabym duże szanse na jakąkolwiek karierę. A ja uwierzyłam mu, bo przede wszystkim dał mi pracę.

Patryk był już mężczyzną i jednocześnie młodym przedsiębiorcą. Miał dobry nos do różnych interesów i wiedział, gdzie można było dobrze zarobić i znaleźć zajęcie przynoszące profity. Potrafił korzystać z nadarzających się okazji. Rewolucja, która odbyła się w modzie, była

mu zupełnie obojętna. Ale to, że masowa produkcja miała stać się przyszłością, nie było dla niego zaskoczeniem. Patryk był współzałożycielem firmy. Wyrażenie „kraj niskich zarobków” jeszcze nie istniało. Mimo wszystko w Wielkiej Brytanii produkowało się tanio. W firmie Patryka zaczęłam pracę jako krawcowa – przynajmniej taka była oficjalna wersja. W rzeczywistości miałam dalej robić to, do czego zaangażowali mnie nasi znajomi i krewni, czyli kopiować. Chęć, by moje hobby zrodzone w piwnicy przeistoczyło się w zajęcie, które przyniesie zysk i mnie wykarmi, była niepokonana. Jeszcze nie zdawałam sobie sprawy, że będzie to podróż z jednej piwnicznej nory do drugiej. I tak było mi wszystko jedno.

Moja walizka, którą niósł ojciec, odprowadzając mnie do pociągu, była bardzo mała. Z Manchesteru zabrałam niewiele rzeczy. Pożegnanie było lakoniczne. Łańcuchy zostały zerwane. Moja matka była zbyt chora, by towarzyszyć mi w drodze na stację i pomachać na pożegnanie.

Ojciec nic nie mówił, bo nie miał nic więcej do powiedzenia. Tego ostatniego, mglistego dnia, gdy wsiadałam do pociągu, zapewne w myślach zadawał sobie jedno pytanie: „Dlaczego mnie, poważnemu przedsiębiorcy, człowiekowi wierzącemu, włożono do kołyski dziecko, które odbiega od wszelkich norm?”.

Później mój mąż również często zadawał sobie to pytanie. Dlaczego on, mężczyzna, który musi chronić stare rodowe nazwisko, wziął sobie za żonę tę kobietę – Dianę Sterling, dla której najważniejszym słowem była „zmiana”. Ja sama też niekiedy się zastanawiałam, dlaczego nie poślubiłam człowieka takiego jak Patryk, który zaakceptowałby mnie taką, jaka jestem, i pozwolił robić to, na co miałabym ochotę. Nie wiem. Może dlatego, że tacy mężczyźni jak mój przyjaciel wydawali mi się mało interesujący. Czy były to sprzeczności nie do pogodzenia? Czy potrzebowałam niszczycielskiej siły sprzeciwu, żeby czuć, że żyję?

Dzisiaj, w dniu moich siedemdziesiątych urodzin, siedzę w górskiej wiosce o nazwie Lazio. Ja, Angielka, projektantka mody z Wielkiej Brytanii, w ten gorący dzień spoglądam w stronę pagórka i czekam na gości z różnych krajów. Tego dnia, gdy po raz pierwszy się zbuntowałam i wyjechałam z rodzinnego miasta, stało się dla mnie jasne, że nigdy nie będę taka jak moja matka.

8 Wyrób pozwalający na łatwe przypinanie odznaczeń, orderów do munduru (przyp. tłum.).

Rozdział trzeci

Patryk był siedem lat starszy ode mnie i pierwsze doświadczenia z kobietami miał już za sobą. Ja wychowana przez siostry w katolickiej szkole dopiero wkraczałam w życie. Patryk zaproponował, żebym przez jakiś czas pomieszkała w jego kawalerce.

Solidne domy szeregowo w Kensington⁹ i Chelsea, w których osiadły wcześniej liczne rodziny ze swoją służbą, zostały podzielone raczej ze względów ekonomicznych, a nie ze względów społecznych. Powstały w nich jednopokojowe mieszkania bez łazienek ze zlewozmywakiem w kącie, dwoma palnikami do gotowania i jednym piecykiem gazowym, który trzeba było „karmić” jednoszylingowymi monetami, żeby nie ulatniał się gaz. Toaleta i łazienka znajdowały się na półpiętrze i korzystali z nich inni mieszkańcy kamienicy. Wyposażenie i umeblowanie były skromne. Drzwi właściwie się nie zamykały. Przebywało się w środowisku pełnym ludzi, których się nie znało. Właśnie w tej dziwnej atmosferze między mną a Patrykiem doszło do pierwszego razu. Byłam zaskoczona, że tak szybko to się stało. Rozbawiona tą niecodzienną gimnastyką, nie byłam ani zawiedziona, ani oczarowana. To, co wydarzyło się potem, było równie zabawne i wesołe, bo po tym, co między nami zaszło, znowu byliśmy zwykłymi przyjaciółmi, jakby nigdy nic.

W tamtym momencie odebrałam to jak coś romantycznego, ale tak naprawdę coś romantycznego miało się dopiero wydarzyć i wprost mnie obezwładnić. Czy to takie dziwne, że uległam urokowi Włoch i pewnemu Sycylijczykowi? W Londynie nie było na to miejsca. To miasto było sposobem na przeżycie wszystkiego, co dzikie i oznaczające wolność. Na początku lat sześćdziesiątych nastąpił przełom i doszło do zmian, których już nie dało się cofnąć.

Od tej pory moda nie była już tylko domeną ladies, czyli dorosłych kobiet, ale sposobem na życie i polem do popisu dla dwudziestolletnich chłopaków i dziewczyn, a nawet nastolatków. Moda stała się czymś szybkim i jednorazowym. Już nie tylko poważne i znane domy mody haute couture¹⁰ wyznaczały trendy i narzucały kobietom, co mają nosić. Młodzi sami zaczęli o tym decydować i wzięli sprawy w swoje ręce.

Miałam szczęście, że w odpowiednim czasie udało mi się odnaleźć ten trend.

– Zrób mi coś Diora¹¹ – powiedział Patryk, ponieważ jeszcze nie wierzył w najnowszą modę.

Jeśli chodzi o Diora, był modny w każdym okresie, bo żadne inne cięcie nie było tak niepowtarzalne i jedyne w swoim rodzaju. W 1947 roku projektant zaprezentował swoją najsłynniejszą kolekcję, która zrobiła furorę na całym świecie. Narodził się new look¹².

Gdy pod koniec lat pięćdziesiątych urządziłam swoje atelier¹³, wpływ Diora był ogromnie silny. Talia musiała być wąska, górna część wyraźnie podkreślająca figurę, a spódnica szeroka.

Piwnica na Lecky Street, którą dzieliło od kamienicy Patryka jedynie kilka ulic, stała się moim Couture Studio¹⁴. Mieściła się przy ślepej uliczce trudnej do odnalezienia i kończyła się przy żelaznych drzwiach w murze. Przez długi czas zardzewiałe drzwi były jedynym widokiem z piwnicznego okna. Pomieszczenie było skromnie urządzone, chłodniejsze i trochę bardziej ponure niż piwnica u mnie w domu, ale byłam z nim bardzo związana emocjonalnie i to robiło ogromną różnicę! Każdego ranka wchodziłam tu jak królowa do swojego małego królestwa. Patryk dostarczał materiały, a ja dbałam o odpowiednie cięcie. Często się zdarzało, że Patryk przynosił rzeczy pochodzące z demobilu. Na przykład dostawałam jedwab ze spadochronów lub materiał z flag, poza tym farbowałam wojskowe, skórzane płaszcze. Któregoś dnia oznajmił, że powinnam mieć współpracowników. Potrzebowałam ich zwłaszcza do przygotowania materiałów. Wszystko, co produkowaliśmy, właściwie było potrzebne od zaraz. Patryk mi płacił, ale nie czułam się jak jego pracownik. Moim imperium mody stała się piwnica, której ściany były pokryte wapnem, a z kranu rzadko leciała ciepła woda. Nie martwiło mnie to zbytnio, ponieważ ja tu rządziłam i o wszystkim decydowałam – o modelu, cięciu, materiale. Ledwo pojawiłam się w Londynie, a już sama zarządzałam wieloma sprawami. To niesamowite, szczególnie dla dziewczyny z prowincji. Cieszyłam się, że znalazłam się w odpowiednim czasie i miejscu. Gdybym przyjechała do Londynu pięć lat wcześniej, to zaczynałabym jako praktykantka i z trudem bym się utrzymała. Teraz też nie miałam zbyt dużo pieniędzy, ale przynajmniej byłam przedsiębiorcą. Miałam swoich ludzi, którzy stali się moimi przyjaciółmi. To uczucie decydowania o sobie towarzyszyło mi w Londynie, a w przyszłości również w Rzymie. Może dlatego później brak niezależności w małżeństwie był dla mnie nie do zniesienia i czułam się jak osadzona w więzieniu.

Tworzyłam nowe fasony ubrań. Patryk dostarczał je do fabryk i dbał o to, by efekty

naszej pracy trafiały do najnowszych modnych sklepów, które zaczęły się pojawiać jak grzyby po deszczu w Londynie i innych miastach. Patryk pełnił funkcję pośrednika. Pomagały mu zaś pracowite mróweczki, czyli piątka, a właściwie szóstka ludzi z Lecky Street, którzy prawie nigdy w dzień nie wychodzili z piwnicy. Z upływem czasu moja praca nie polegała wyłącznie na kopiowaniu, ale także na samodzielnym projektowaniu nowych modeli. Podskórnie czułam, że niedługo wydarzy się coś niesamowitego, dokładnie tu, w Londynie! Jeszcze nikt nie przypuszczał, że nadchodzący okres zostanie okrzyknięty swingującymi latami sześćdziesiątymi.

Podczas jednej z naszych nocnych rundek po pubach poznałam Jade. Była dziwnie pesymistyczna, co jest typowe dla osób spod znaku Skorpiona. Miała szczupłą sylwetkę, gibkie ruchy i kruczoczarne włosy o niebieskim połysku. Tego dnia była w wąskim, przylegającym do ciała garniturze, a szyję owinęła kolorowym szalem. Już podczas pierwszego spotkania stwierdziła, że moja twarz ma w sobie coś charakterystycznego, i dlatego koniecznie chciała mnie sfotografować.

– Akurat mnie? – zapytałam z niedowierzaniem, gdy Jade ponowiła propozycję. – Jakiego rodzaju zdjęcia robisz?

– Każde. W zależności od tego, jakie jest zapotrzebowanie. Moda, portrety, sesje grupowe.

– Jak wygląda taka sesja? – spytałam z zaciekawieniem.

Jade dotknęła palcem mojego nosa i powiedziała:

– No, przestań! Nie mogę ci zdradzać wszystkich moich tajemnic.

Niecałe dwa tygodnie później przekroczyłam próg domu przy Kingsroad, w którym mieszkała Jade. Weszłam na podwórze, a później parę poziomów niżej znalazłam się na korytarzu prowadzącym do nieoświetlonej klatki schodowej. Nie wiedziałam, gdzie mieści się jej studio. Na trzecim piętrze natrafiłam na otwarte drzwi. Do moich uszu dotarła piosenka *You Got What It Takes*¹⁵. W pomieszczeniu znajdowało się chyba dziesięć dziewczyn, które mogły być w moim wieku, i jeden mocno zbudowany mężczyzna z wąsami. Wyglądał jak John Bull¹⁶. Kobiety były w sukienkach bez rękawów i długich kurtkach skrojonych jak płaszcze przeciwdeszczowe sięgające nad kolano. Nigdzie nie było widać Jade. Spojrzałam przez przesuwane drzwi z pleksiglasu. Pomieszczenie wyglądało jak pub albo klub, a nie jak atelier fotografa. Na ścianach wisiały obrazy przedstawiające abstrakcje. Padało na nie jaskrawe światło.

– Pierwszy raz? – spytała dziewczyna z czerwonymi włosami i nogami grubymi w

kolanach.

Na jej sukience widniał napis *J'accepte – et vous?*¹⁷. Próbowałam się dowiedzieć, gdzie jest Jade.

– Powinnyśmy już zaczynać – zarządziła. – Siadaj.

Dziewczyna o rudych włosach włożyła drugą słomkę do swojego napoju i zaproponowała, żebym się napiła.

– Przyniosę sobie szklankę – powiedziałam i rozejrzałam się, szukając baru.

– Ale w innej szklance nie będzie tego, co u mnie – stwierdziła i przystawiła mi kolorową słomkę do ust.

Z grzeczności sączyłam napój, który smakował jak cola. Piłyśmy przez chwilę z jednej szklanki. Nagle *J'accepte* przesunęła dłoń po mojej szyi. Jej dotyk mnie zirytował. Od niedawna miałam nową fryzurę i nie zdążyłam się jeszcze do niej przyzwyczaić. Czułam się teraz tak, jakbym nie miała na sobie ubrania.

– Wolna, delikatna. Tak, a nie inaczej!

Przymknęła mocno umalowane powieki i przyjrzała mi się od góry do dołu.

– Podoba mi się twoja... twój... – zaczęłam się jąkać, bo nie przychodziło mi do głowy żadne określenie, gdy patrzyłam na jej przedziałek z boku i grzywkę ułożoną w przeciwnym kierunku.

Podawała mi szklankę z napojem. Wypiłam parę łyków. Po chwili szklanka z dwiema słomkami powędrowała dalej do dwóch innych dziewczyn. *J'accepte* położyła mi ręce na biodrach i zaczęła ze mną tańczyć. Kołysząc biodrami, tańczyła na ugiętych kolanach, wysuwając do przodu raz lewą, raz prawą stopę. To nie był taniec, a raczej spokojne bujanie się w rytm muzyki. Mężczyzna o wyglądzie Johna Bulla zaczął nam się przyglądać.

– Jesteś od Archiego? – spytała, wskazując mężczyznę.

– Nie... Zaprosiła mnie Jade – odpowiedziałam niepewnie.

– Ty szczęściaro! Ach, szczęściara – stwierdziła.

Oparła czoło na mojej klatce piersiowej i tańczyła dalej, coś nucąc. Zawsze trudno mi było skupić się na tańcu. W mojej głowie kłębiło się tysiąc myśli. Gdy zdarzało mi się znaleźć w klubie i zaczynałam tańczyć, myślałam o takich rzeczach, jak: „jego sweter jest za szeroki” albo „te ściany powinny być pomalowane na biało”. Muzyka do mnie docierała, ale nie była w stanie mnie porwać.

– Byłaś już wcześniej fotografowana przez Jade? – zapytałam, starając się jednocześnie naśladować taneczne kroki *J'accepte*, ale wychodziło mi to dość niezdarne.

Nagle mnie uciszyła.

Dotarły do mnie słowa piosenki *A Voice in the Wilderness*¹⁸ i odgłos, jaki wydawały moje buty w kontakcie z betonem.

– Co? – spytałam, bo nie rozumiałam, o co jej chodzi.

– Ciii... – ponownie mnie uciszyła i się uśmiechnęła.

Kręciłam się, ale czułam, że moje stopy są jak z drutu. Drut utrzymywał moje pończochy we właściwym miejscu. Różowy drut był schowany na dnie duszy. Czułam lakier do włosów. Włosy *J'accepte* też były z drutu. Cały czas rosły, gdy tańczyłyśmy, dlatego im się przyglądałam. Dziewczyna obok nas nie tańczyła. Jej sukienka była uszyta z kwadratów połączonych zamkami błyskawicznymi. Chciałam je wypróbować. W mojej głowie pojawiło się pytanie: „Czy rozpinając suwaki, na pewno mogę rozebrać tę dziewczynę?”. Wyciągnęłam do niej rękę. Sięgnęłam w stronę kwadratów. Dziewczyna mnie objęła. *J'accepte* nadal trzymała ręce na moich biodrach. Teraz tańczyłyśmy we trzy.

– *I asked two Liverpool Girls*¹⁹ – zaśpiewała dziewczyna w sukience w kwadraty.

– *Asked two Liverpool Girls* – powtórzyłam po niej.

– *Asked two Liverpool Girls* – zanuciła *J'accepte*.

Regały, sofy, szklany stolik – wszystko było z drutu. Byłam przekonana, że drut to coś dobrego, tak jak sperma była czymś złym.

– Nienawidzę spermy – powiedziałam nagle.

– Precz ze spermą – zawtórowała mi dziewczyna w sukience z kwadratów.

– Precz – stwierdziła *J'accepte*.

Utworzyłyśmy piramidę, która poruszała się w krainie z drutu. Drut płynął w naszej krwi. Nie zdjęłam z siebie ubrania, bo nie było mi za ciepło. Zaczęłam natomiast rozbierać dziewczynę w sukience z kwadratów. *J'accepte* też ją rozbierała. Suwaki były zbyt kuszące. Kolejne kwadraty spadały, jeden za drugim. Niewiele pozostało z całej sukienki.

J'accepte zaczęła mnie całować. Myśl o spermie sprawiła, że bardziej się starałam. Zatraciłam się w pocałunku ogromnym jak cały kraj. Rzuciłam się na pozostałe kwadraty. *J'accepte* mnie całowała, a ja zaczęłam całować właścicielkę sukienki z kwadratów, które nagle zniknęły.

W tym samym czasie John Bull krzyczał coś w naszą stronę. Zobaczyłam jastrzębia z czerwonym okiem. To Jade. Jastrząb zagnieżdził się w jej garniturze. Ciemna skóra na jasnej skórze, czerwona łata, oko jastrzębia. Jade fotografowała. W krainie pocałunków było cudownie. Dziewczyna od kwadratów była świetna. *J'accepte* chyba przysnęła. „Nie, chyba jednak nie. A może się nie rusza, dlatego że Jade właśnie robi zdjęcia?” – pomyślałam.

Jastrząb latał wokół nas. Jego magiczne oko było wszędzie.

– Rób to. Rób to. Dobrze, właśnie tak. Rób tak dalej – nakazywała Jade.

Patrzyłyśmy prosto w czerwone oko jastrzębia. *J'accepte* się roześmiała.

Jade nie chciała mi powiedzieć, co było w drinku, który wypiałam. Domyśliłam się, że do drinków dodała kilka kapsułek LSD20. Tabletki spełniły swoje zadanie, a jednocześnie nie były zbyt mocne, czyli w sam raz dla początkujących.

Później widziałam zdjęcia zrobione przez Jade. Były mroczne, a jednocześnie miały w sobie jakąś niewinność. Dziewczyna, z początku ubrana w sukienkę z kwadratów, na zdjęciach była naga, a ja i *J'accepte* ją osłaniałyśmy. Wszystko wyglądało pięknie i w niczym nie przypominało pornografii. Sama siebie nie poznałam. Na tych fotografiach wyglądałam jak ktoś obcy. Tylko na kilku moja twarz była wesoła.

9 Kensington i Chelsea to dzielnice Londynu (przyp. tłum.).

10 Wysokie krawiectwo (fr.) powstało w XIX wieku. Ubrania szyto na zamówienie, u krawca, w pojedynczych egzemplarzach. Przeciwnieństwo rozwijającej się w latach pięćdziesiątych mody prêt-à-porter. Kolekcje zaczęto produkować seryjnie i można je było kupić w sklepach (przyp. tłum.).

11 Christian Dior – francuski projektant, założyciel domu mody Christian Dior SA (w 1946 roku). Obecnie firma ma ponad 160 butików na całym świecie. Główna siedziba mieści się w Paryżu (przyp. tłum.).

12 Nowy styl, trend (przyp. tłum.).

13 Pracownia artysty (malarza, fotografika itp.) z odpowiednim wyposażeniem (przyp. tłum.).

14 Salon krawiecki (przyp. tłum.).

15 Masz to, na co zasłużyłeś (ang.).

16 Postać stereotypowego porywczego i grubiańskiego Anglika. Zarówno dawniej, jak i dziś chętnie przedstawiana w karykaturze jako ucieleśnienie Wielkiej Brytanii (przyp. tłum.).

17 Akceptuję, a ty? (fr.).

18 Piosenka Cliffa Richarda z 1959 roku (przyp. tłum.).

19 Pytam dwie dziewczyny z Liverpoolu (ang.).

20 LSD to środek halucynogeny, związek kwasu lizergowego, powszechnie znany jako „kwas”, powodujący omamy wzrokowe, słuchowe i dotykowe. Jeden z najtańszych i najszerzej dostępnych narkotyków (przyp. tłum.).

Rozdział czwarty

Jade zawdzięczam najjaśniejsze i najbardziej śmiałe momenty mojej młodości, a jednocześnie mroczne wydarzenia z czasów, gdy mieszkałam w Londynie. Dzięki moim mieszczańskim korzeniom i religijnemu wychowaniu nie spadłam w przepaść. Dzisiaj wiem, że zasady moralne, które wpoili mi rodzice, nie były jedynie krępującymi łańcuchami. Tworzyły pewnego rodzaju barierę, która chroniła mnie przed wpadnięciem w niebezpieczną, dziką otchłań.

To właśnie Jade miała swój udział w tym, jak potoczyły się moje dalsze losy. Pewnego dnia zabrała mnie na przedpremierowy pokaz filmu *Przygoda* Antonioniego, na którym oprócz dziennikarzy mieli być reżyser i odtwórca głównej roli. Jade była zmuszona użyć swojego uroku osobistego, by mężczyzna sprawdzający listę gości wpuścił mnie do środka. Wydarzenie miało miejsce w eleganckiej sali wypełnionej po brzegi. Ekipa wraz z nieznanym mi wówczas reżyserem weszli do pomieszczenia, gdzie zebrała się publika. Reżyser sprawiał wrażenie, jakby gdzieś się spieszył. Bez entuzjazmu odpowiadał na pytania dziennikarzy. Antonioni był przystojnym mężczyzną o kanciastych rysach. Miał śniadą cerę i falowane, błyszczące od żeluz włosy jak typowy Włoch. Jednakże tego wieczoru moją uwagę zwrócił ktoś inny – odtwórca głównej roli, Gabriele Ferzetti. Wyglądał na szarmanckiego, opanowanego i wesołego człowieka. Gdy wspominam jego gesty, sposób, w jaki sięgał po kieliszek wina, dowcip, z jakim odpowiadał na kolejne, głupie i stereotypowe pytania dziennikarzy, przypominał mi w tym otwartego, wesołego i wrażliwego Tancrediego.

Ten wieczór można określić jak sycylijską grę wstępą.

Włoski aktor znalazł mnie w sali, gdzie siedziałam na kolanach Jade, przez co wydawałam się wyższa niż inni. Przy bliższym kontakcie nie zrobił na mnie większego wrażenia, mimo że wziął mój numer telefonu i mówił z zachwytem o pięknych mieszkankach Londynu, na które można się natknąć na każdym kroku.

Gdy na imprezie po pokazie mieliśmy kolejną okazję do pogawędki, nie rozmawiałam z Ferzettim, ale podeszłam bliżej Antonioniego, którego Jade poprosiła o krótką sesję zdjęciową.

Obok reżysera stała Monika Vitti, gwiazda światowego kina, która była w dobrym humorze, ale miała smutne oczy. Antonioni zażartował, że z jednej strony czuje się tak, jakby był nagi, dlatego z drugiej strony koniecznie musi stanąć przy nim jeszcze jedna blondynka. Wybór padł na mnie. Jade miała tylko chwilę na wykonanie zdjęć, bo zaraz Antonioni odwrócił się do innych fotoreporterów. Powstały zdjęcia dwóch gwiazd z młodą dziewczyną o zdziwionym spojrzeniu.

Dla spóźnialskich, którzy nie widzieli filmu na pokazie przedpremierowym, zorganizowano kolejny pokaz. Jade nie chciała jednak ponownie oglądać *Przygody*, więc zostałam sama. Antonioni umiejscowił akcję swojego filmu w kraju, w którym miało się rozgrywać moje przyszłe życie, a konkretnie na Sycylii – wyspie moich wielkich nadziei i gorzkich rozczarowań. Wichura nad drzewkami oliwnymi, wysoka, solidna brama wjazdowa, przez którą Ferzetti zbliża się do kamery, zrujnowany kościół, kult zmarłych. Brzegi wyspy, która nagle wyłania się z mgły, gdy pod pływa się do niej łodzią motorową. Bosman uważnie omija ostre jak nóż klify, zanim dobija do portu. Te sceny uchwycone w filmie to moje późniejsze życie. Widziałam skaczące delfiny, czułam zapach morskiej bryzy we włosach.

W filmie Ferzetti miał wiele wspólnego z Tancredim. Jego filmowa postać szukała spełnienia i wiązała duże nadzieje z tym, że życie nabierze prawdziwego sensu. Również Tancredi, który nieświadomie grał rolę, jaką przypisała mu rodzina, nieustannie oczekiwał, że któregoś dnia dozna objawienia. Ale są ludzie, którzy przez całe życie nie potrafią być szczęśliwi.

Gdybym wówczas przypuszczała, że pewnego dnia ulegnę urokowi tej wyspy i popadnę w autodestrukcyjne poszukiwania, zrobiłabym wszystko, żeby się przed tym uchronić.

Po obejrzeniu filmu pozostał we mnie podziw dla Antonioniego, a przede wszystkim obrazy, które poruszyły moją wyobraźnię, oraz moda – codzienne przebranie człowieka. Film był bardzo ciekawym medium, które łączyło w sobie wiele interesujących elementów wyzwających moją kreatywność. Ten wieczór stał się jednym z ważniejszych w moim życiu, bo skłonił mnie do wykonywania późniejszego zawodu.

Zanim jednak rozpoczął się najważniejszy okres w moim życiu, musiało minąć jeszcze kilka lat. Na razie siedziałam w piwnicy u Patryka, tymczasem moda stawała się bardziej radykalna, dzika, a czasem nawet ekscentryczna. Byłam niczym kronikarz siedzący przy maszynie. Gdy Mary Quant szokowała i fascynowała minispódniczkami, pod moim nadzorem na Lecky Street powstawały podobne kolekcje, które zaspokajały żądzę posiadania chociaż

drobnego, nowego elementu garderoby. Szyliśmy mini z wełny, elany, dżerseju i lnu pochodzącego ze szpitali. Łączyliśmy je z wełnianymi, nylonowymi i jedwabnymi pończochami we wszystkich możliwych kolorach. Kopiowaliśmy szkocki kilt²¹, nadając mu nieznaną wcześniej długość, i przyszywaliśmy flagi Wielkiej Brytanii do minispódniczek. Jako aplikacji używałam plastikowych kulek, skórzanych guzików i srebrnych płytek, co było niejako ukłonem w stronę mojego dzieciństwa spędzonego w fabryce guzików.

W kręgu ludzi z naszej branży nazywano nas ekipą z Lecky Street. Byliśmy szybcy i efektywni. Patryk dostawał również zlecenia z innych firm. Jednak przez te wszystkie lata to właśnie on był moim mentorem i menedżerem firmy, dzięki któremu nasze przychody rosły. Oczywiście nie trwało to wiecznie.

Pewnego dnia Jade podsunęła mi pomysł na kolejny przełom w moim życiu.

– Może spróbujesz swoich sił jako kostiumolog? – spytała, siedząc obok mnie w piwnicy, podczas gdy pozostali wybrali się na obiad do Soup Kitchen.

– Nigdy się tego nie uczyłam – odpowiedziałam.

– Projektowania mody też się nie uczyłaś – stwierdziła, spacerując wzdłuż ogromnego wieszaka na ubrania.

Zdjęła z niego marynarkę i założyła ją na swoją bluzkę bez rękawów.

– Nie znam nikogo w teatrze – oznajmiłam bez przekonania.

– Zapomnij o teatrze. Mam na myśli film. Wiesz o ciuchach sto razy więcej niż niejedna panienka z branży.

Nagle w mojej głowie coś zaświtało. Kochałam kino, uwielbiałam angielskie filmy, które wtedy można było obejrzeć. Dawid Lean zdobył renomę dzięki filmowi *Lawrence z Arabii*. Kubrick stworzył *Lolitę*. Pierwsza przygoda Jamesa Bonda zgromadziła w kinach rekordową liczbę widzów. Z Francji do kin trafił *Jules i Jim*, a *Samotność długodystansowca* oglądałam trzy razy. Peter O'Toole, Michale Taine, Sean Connery, Julie Christie, Vanessa Redgrave w tych latach byli niezwykle popularni, a dla mnie stali się starymi, dobrymi przyjaciółmi, których odwiedzało się w kinie.

– Jak miałyby to wyglądać? – zapytałam z ciekawością.

– Zaczynasz jako asystentka, a później walczysz o swoje i starasz się wybić – odpowiedziała Jade z uśmiechem.

– Czym zajmuje się asystentka?

– Towarzyszy kostiumologowi w zakupach, kupuje materiały, zleca szycie. A, no i oczywiście przebywa na planie zdjęciowym.

– Nawet wtedy, gdy są na nim aktorzy?

– A co miałabyś tam robić, gdyby ich nie było? Pomagasz im w przebieraniu się, przerabiasz stroje na miejscu, gdy coś nie pasuje. Czuwasz nad ich garderobą, a jednocześnie jesteś ich powiernikiem, bo wiadomo, że aktorzy to wrażliwcy.

– To może uda mi się poznać Michaela Caine'a?

Nie mogłam dłużej usiedzieć przy maszynie. Zaczęłam chodzić po piwnicy w tę i z powrotem.

– Zobaczysz go nawet w bieliźnie i będziesz na miejscu, gdy Michael się upaćka, a ty będziesz musiała go wyczyścić przed kręceniem następnej sceny.

Pełna nadziei spojrzałam promiennym wzrokiem na moją dobrą wróżkę Jade.

– A jak uda mi się dostać do tego środowiska? – spytałam zaniepokojona, gdy stan euforii zaczął mijać i zesłam na ziemię.

– Ja cię tam wciągnę – powiedziała z uśmiechem.

Od tej chwili zaczęłam marzyć o tym, co było nieznanne i tajemnicze, ale wkrótce miało stać się częścią mojego życia.

W Londynie powstawało w tym czasie bardzo dużo filmów. Ich produkcja była szybka i tania. Ekipy filmowe pracowały ciężko i z zapalem, ale tylko niektórzy mogli się z tego utrzymać. Nie chodzi o światowe produkcje, które były filmowane w Pinewood Studios czy w Twickenham, tylko doskonałe, często dużo ambitniejsze filmy.

W tamtych latach u Patryka zarabiałam lepiej niż podczas mojej krótkiej kariery w angielskim filmie. Dopiero później nastąpił kolejny etap w moim życiu związany z Tancredim. Prawdopodobnie dzisiaj siedziałabym zmarznięta na planie filmowym w Londynie albo pod Londynem i grzałabym zziębnięte ręce, trzymając filiżankę z herbatą, gdyby Antonioni nie nakręcił filmu *Powiększenie*.

Jade czasami sprzedawała swoje zdjęcia agencji prasowej, dzięki której dowiedziała się, że film po wielu trudnościach w końcu będzie sfinansowany. W ekipie Antonioniego było niewielu Włochów, głównie tworzyli ją Brytyjczycy. Wśród nich znalazła się Jocelyn Rickards, znana i szanowana w branży projektantka kostiumów. Gdy ją poznałam, w kinach wyświetlano jej ostatni film, drugą część przygód Jamesa Bonda zatytułowaną *Pozdrowienia z Rosji*. Jade i

Jocelyn były bardzo podobne – obydwie miały ciemne włosy, jasne oczy i były trochę ordynarne.

Nasze spotkanie odbyło się w kawiarni w Soho²². Rickards poświęciła mi zaskakująco dużo czasu i była wyjątkowo otwarta.

– Michelangelo doprowadza mnie do szaleństwa. Chce, żebym przewidziała, jaka będzie moda za dwa lata, gdy film wejdzie do kin – narzekała Jocelyn i jednocześnie sączyła martini. – Jak funkcjonuje moda? Kto to może stwierdzić? Czy mam iść do Courrèges²³ lub do Mary Quant i zapytać, co będą robić za dwa lata?

Byłam onieśmielona i prawie się nie odzywałam. Jocelyn mówiła o spódnicospodniach, minispódniczkach, które chciała ozdobić diamentami. Natomiast nic nie wspomniała o jakichkolwiek zadaniach dla mnie. Byłam rozczarowana i przekonana, że już więcej nie spotkam Antonioniego.

– Spodobałaś się im – powiedziała Jade po spotkaniu.

– Skąd wiesz? Przecież nic nie mówili na mój temat – stwierdziłam i spojrzałam na nią ze smutkiem.

– Gdybyś im się nie spodobała, to skończyliby rozmowę po pięciu minutach.

Kiedy pomagałam dobierać kostiumy do komedii, zadzwonił ktoś z biura Jocelyn. Zaproponowali mi współpracę przy *Powiększeniu* podczas filmowania scen przed schroniskiem dla bezdomnych. Długo się nie zastanawiałam i bez wahania zrezygnowałam z pracy przy komedii.

Moim zadaniem było przekopanie magazynów Armii Zbawienia²³ i innych organizacji humanitarnych, żeby znaleźć autentyczne stroje dla czterdziestu statystów. Jocelyn sama dobrała wszystkie kostiumy i wielokrotnie je poprawiała, zanim wypuściła ludzi na plan. Dla niej ważny był ubiór każdego statysty. Miałyśmy niewiele okazji do rozmowy, bo tempo pracy na planie filmowym było szalone. Jednak któregoś razu podczas krótkiej przerwy Jocelyn powiedziała:

– Zawsze zwracaj uwagę na tło. Kiedy ludzie na drugim planie wyglądają do dupy, to nawet największa gwiazda na pierwszym planie będzie wyglądała żałośnie.

Czas spędzony na planie filmowym *Powiększenia* nie był zbyt ekscytujący, bo nie miałam wpływu na decydujące sceny. Antonioni był zawsze bardzo skoncentrowany, a czas na zdjęcia przeważnie niewystarczający. Reżyser, choć był ubrany nieco nonszalancko, z szacunkiem zwracał się do zespołu i aktorów. Naturalnie mnie nie dostrzegał, bo miał ważniejsze sprawy na głowie. Za to uwagę zwrócił na mnie Eddie, jeden z asystentów operatora kamery

Carla di Palmy, który był wówczas u progu kariery.

Eddie był spokojny, cichy i szukał kobiety. Oceniał każdą nową dziewczynę, która pojawiła się na planie. Modelki albo nie wzbudzały jego zainteresowania, albo zdawał sobie sprawę, że nie miałby u nich żadnych szans. Wybrał mnie. Jeszcze podczas prac na planie zdjęciowym zostaliśmy parą.

W pewien weekend Eddie wynajął samochód i zabrał mnie na wycieczkę. Nocowaliśmy w niewielkim hotelu w Cotswolds²⁴. Mimo że nie byłam dziewicą, Eddie za wszelką cenę chciał mi pokazać, jak to się powinno robić. Pozwoliłam mu na to.

Lubiłam jego pewność siebie i dumę, z jaką przedstawiał mnie znajomym jako swoją nową przyjaciółkę. Gdy pewnego dnia poszliśmy do restauracji przy Earl's Court, Eddie pokazał mi mężczyzn, którzy się za mną oglądali, i powiedział:

– Oni wszyscy ciebie pragną, ale cię nie dostaną, bo jesteś moja.

Eddie dopiero zbliżał się do dwudziestki, ale już chciał zbudować swoje życie na solidnych fundamentach, dlatego po paru tygodniach zaproponował mi małżeństwo. Schlebilo mi to, ale jednocześnie poczułam się osaczona. W środowisku, w którym się wychowałam, najważniejszym celem w życiu każdej kobiety było zostać żoną, a największym ich postrachem było staropanieństwo. Byłam niezdecydowana. Nie chciałam żyć jak moja matka. Pragnęłam być wolna, pracować i podróżować. Poprosiłam Eddiego o czas do namysłu. Wtedy o tym nie wiedziałam, że tak naprawdę jego propozycja była dla mnie szokująca, bo moja podświadomość robiła wszystko, bym się o tym przekonała. Zaczęłam krzyczeć we śnie. Nie było to mamrotanie, wzdychanie, tylko długi, rozpaczliwy krzyk. Eddie był tym przerażony i nieświadomy, że to on jest przyczyną tego krzyku.

Spędziłam jedynie dwa tygodnie przy pracy nad filmem *Powiększenie*. Nikt nie przypuszczał, że ten film kiedyś będzie należeć do klasyki kinematografii. Moje wspomnienia z nim związane szybko się ulotniły.

Pewnego dnia zadzwonił telefon. Mężczyzna o południowym akcencie przedstawił się jako Filippo Rissone. Powiedział, że był asystentem Felliniego²⁵, a teraz zamierza nakręcić własny film i chce, żebym u niego pracowała jako kostiumolog.

Tak naprawdę Fillippo nigdy nie był asystentem Felliniego, a jego projekt nie został zrealizowany. Wcale nie dzwonił do mnie z biura filmowego, tylko z willi swoich rodziców. Pochodził z bogatej rodziny i mógł sobie pozwolić na zaproszenie młodej Angielki do Rzymu na

omawianie projektowania kostiumów. Podekscytowana i zaskoczona zgodziłam się. Umówiliśmy się na konkretny termin, a on obiecał, że wyśle mi bilety. Zamiast cieszyć się razem ze mną, że spędzę kilka dni w Rzymie, Eddie stwierdził:

– Spaghetti chce cię zaciągnąć do łóżka. Jeśli pojedziesz do Rzymu, to z nami koniec – zagroził.

Nie chciałam, żeby tak się stało, ale jednocześnie byłam przekorna. Pomyślałam, że jeśli on mi nie ufa, to lepiej szybko zakończyć naszą znajomość. Eddie opuścił mnie jeszcze tego samego dnia. To było zdumiewające, ale cierpiałam z powodu tego rozstania. Nie poczułam ulgi, że znów jestem wolna.

Po dziesięciu latach odwiedziłam Eddiego w Yorku²⁶. Poślubił miłą, konserwatywną kobietę. Ich mieszkanie lśniło czystością do tego stopnia, że w kuchence można było się przejrzeć jak w lusterku. Właśnie tego oczekiwał od kobiety Eddie. Czy Tancredi oczekiwał ode mnie tego samego?

Nie kochałam obsesyjnie wolności, a jednak mojej matce i większości kobiet z tego pokolenia nie przyszłoby do głowy tak bardzo chronić swoją niezależność. Dla mnie to było oczywiste. I właśnie wtedy spotkałam mężczyznę swojego życia, nie jakiegoś podobnie myślącego Anglika, ale Sycylijczyka.

21 Spódnica męska w kratę (w jednym z 20 wzorów, zależnie od obszaru Szkocji) noszona przez rodowitych Szkotów, obecnie tylko podczas świąt (przyp. tłum.).

22 Centralna część dzielnicy West End w Londynie (przyp. tłum.).

23 Chrześcijański niezależny kościół zorganizowany w sposób hierarchiczny na podobieństwo organizacji militarnych. Znany z działalności charytatywnej (przyp. tłum.).

24 Pasma wzgórz wapiennych w południowo-środkowej Anglii (przyp. tłum.).

25 Federico Fellini to jeden z najbardziej znanych włoskich reżyserów (przyp. tłum.).

26 Miasto w północnej Anglii (przyp. tłum.).

Rozdział piąty

Filippo odebrał mnie swoim kabrioletem z portu lotniczego zwanego „Leonardo da Vinci”, który został otwarty kilka lat wcześniej. Gdy się na nim lądowało, można było odnieść wrażenie, że znajduje się daleko od miasta.

Przebywanie z Filippem było bardzo przyjemne, ale trudniej było się z nim porozumieć na żywo niż podczas rozmów telefonicznych. Dzieliła nas bariera językowa, bo jego angielski był słaby, a mój włoski – podstawowy. Dopiero zaczęłam się go uczyć.

Podczas podróży do miasta poczułam ciepły wiatr we włosach. Kwiecień w Rzymie różnił się od tego w Londynie. Ciepłe powietrze zupełnie mnie obezwładniło. Na peryferiach włoskie domy mieszkalne wyglądały jak paskudne bunkry, ale wewnątrz nich tętniło życie. Przed każdym łopotało na wietrze suszące się pranie, które włoskie rodziny wieszały na podwórkach.

Mój wjazd do centrum Rzymu byłby dziś zupełnie inny, niż miało to miejsce wówczas. Współczesne centrum to połączenie bazaru z jarmarkiem. Na każdym kroku widać stoiska z rzeczami sprzedawanymi turystom, które psują estetykę miasta. Ten, kto od czasu do czasu próbował włóczyć się w wiosenny wieczór po Campo de' Fiori²⁷, na pewno w końcu skręcił w jakąś boczną uliczkę, by uniknąć zdeptania przez tłum turystów.

Gdy poznawałam Rzym, wszystko wydawało mi się ekscytujące, lekkie i znacznie bardziej eleganckie. Sukienki kobiet spacerujących po ulicach miały wyrafinowane kroje i w większości były z jedwabiu. W ciągu dnia eleganckie signory²⁸ nosiły rękawiczki. Ówczesne kobiety przywiązywały dużą wagę do swojego wyglądu. Ich dłonie i paznokcie były starannie wypielęgnowane. Gdy kobiety nosiły letnie sandały na wysokim obcasie, miały perfekcyjnie umalowane paznokcie u stóp. Modna była opalenizna. Zarówno kobiety, jak i mężczyźni spędzali wiele godzin na plaży, by nadać skórze piękny oliwkowy kolor. W najchłodniejsze dni na ulicy można było spotkać mieszkanki Rzymu noszące futra, co w łagodnym klimacie nie było potrzebne. Podczas spaceru po mieście dość często widziałam panie obwieszone złotem i drogocennymi klejnotami. Dopiero coraz częstsze kradzieże i napady zmusiły je do pozostawiania drogiej biżuterii w domowych sejfach.

Podczas mojego pierwszego pobytu w Rzymie zauważyłam, że jego mieszkańcy potrafią rozkoszować się życiem w mieście, co było powszechnie znane. Mimo to przyjezdni z nonszalancją podchodzili do ich bogatej kultury i historii. Rzymianie zostali zepchnięci na bok, podczas gdy w mieście mógł się rozprzestrzeniać *homo touristicus* – barbarzyńca nowych czasów.

Mimo swoich oczywistych zamiarów Filippo nie był pozbawiony klasy i nie zaprosił mnie na noc do swojej willi przy Appia Antica²⁹, lecz zarezerwował dla mnie pokój w miłym hotelu w pobliżu Kwirynału³⁰. Już podczas naszych pierwszych rozmów stało się jasne, że jego film nie powstanie i był tylko urojeniem, a chemia między nami nie istnieje. Mimo to stwierdziłam, że Filippo to mądry mężczyzna i dobry człowiek. Nie zostawił mnie na lodzie, tylko wykorzystał swoje istniejące kontakty, by pomóc mi w rozpoczęciu kariery we włoskim filmie. Czy nie brzmi to zbyt naiwnie? Dwudziestoletnia cudzoziemka, która tylko kilka razy asystowała w produkcjach brytyjskiego kina i nie miała się czym pochwalić, przyjechała do Rzymu i pragnęła pracować przy filmach. I na dodatek, chciała tu zostać.

Świat, do którego przybyłam, był jak karuzela: ludzie wskakiwali i zeskakiwali. Ten, kto naprawdę chciał się na niej kręcić, w końcu zostawał zaakceptowany. W Rzymie za moich czasów chodzenie od drzwi do drzwi i błaganie o angaż, jak to ma miejsce w dzisiejszym świecie filmu, było nie do pomyślenia. Człowiek pojawiał się na planie filmowym i w pewnym momencie okazywało się, że był tu od zawsze. Jednak jeśli chodziło o kobietę, której ciało było niezbyt roznegliżowane, a włosy były koloru blond, to jej szanse na rozpoczęcie współpracy stawały się dużo mniejsze.

Filippo Rissone zniknął z mojego życia tak szybko, jak się pojawił, jednak sprawił, że jako młoda kobieta zakochałam się w Rzymie. Przynajmniej tyle.

Wkrótce po tym, jak Filippo i ja rozstaliśmy się w przyjaźni, wprowadziłam się do niedużego apartamentu za ulicą Via della Croce. Piazza di Spagna³¹ znajdował się za rogiem, tak jak Via Margutta, ulica artystów, na której mieszkali Fellini i Giuletta Masina³². Przysłuchiwałam się grze studentów akademii muzycznej i czerpałam ogromną radość z kupowania różnych rarytasów na targu. Po raz pierwszy w życiu gotowałam w zaciszu mojego domu.

W pewnym momencie zaczęło mi brakować pieniędzy. Nie miałam żadnych oszczędności, ale też nie chciałam prosić o pomoc Filippa. Na ratunek pośpieszył mi Patryk,

który co prawda nie był zbyt zadowolony, iż porzuciłam Wielką Brytanię, jednak bez pytania o szczegóły po prostu przysłał mi w kopercie czek na mój nowy adres: Vicolo delle Orsoline, Rzym, Włochy.

Dni i noce były łagodne, ciepłe i jasne. Poczułam się szczęśliwa i wolna, jak otulona w cudownym śnie, z którego nigdy nie chciałam się obudzić. W tym śnie znalazł się również Tancredi di Lorenzo, którego mimo tego, co się później wydarzyło, nie chciałabym zapomnieć.

Do naszego pierwszego spotkania doszło w Watykanie.

– Czy to pani jest tą Angielką, która ubiera statystki w krótkie spódniczki? – odezwał się stojący za moimi plecami mężczyzna.

Jego głos był dźwięczny i donośny, a do tego w tle rozbrzmiewała trąbka. Tancredi wyglądał jak jakiś bohater wojenny. W eleganckim, ciemnym garniturze wydawał się wyższy niż był w rzeczywistości. Spotkaliśmy się w apartamencie Piusa V, papieża panującego w czternastym wieku. Obydwoje mieliśmy przyczepione etykiety oznaczające pozwolenie na wstęp. Na głowie zawiązałam czarną chustę, która idealnie pasowała do skromnej czarnej sukienki. Dominikanin wprowadził nas do pałacu papieskiego przez bramę z brązu znajdującą się przy końcu kolumnady. Wstęp zapewnił mi Ettore Montecontento, markiz, którego rodzina wydała kilku kardynałów i wysokich katolickich dygnitarzy. Poznałam go dzięki Filippowi. Był żarliwym katolikiem aż po cebulki włosów, jednocześnie lubiącym życie mężczyzną, który po ośmiu latach związku z Polką nie mógł się zdecydować na ślub.

W tym miejscu dokonałam krótkiego podsumowania życia: pochodziłam z proletariackiego Manchesteru, ostatnie lata spędziłam w piwnicy przy jednej z londyńskich uliczek, a teraz stałam w renesansowym pałacu, czekając na audiencję u Ojca Świętego Pawła VI. Markiz uznał za zabawne dołączenie mnie do grupy udającej się na audiencję, której papież udzielał specjalnym gościom. Spotkania, na których zjawiali się anonsowani goście, nie odbywały się w dużej sali z drugiej strony Bazyliki św. Piotra, tylko w samym pałacu. Grupa składała się z austriackich przedsiębiorców, z których jeden był zaprzyjaźniony z markizem Ettore. Czulałam się jak piąte koło u wozu.

– Robię tylko to, czego chce kostiumolog. To ona decyduje, jak krótkie mają być spódnice – odpowiedziałam Tancrediemu.

– Mówi się, że to pani jest tą tajemniczą kostiumolog.

Dostrzegłam błysk w jego oczach.

– Za dużo powiedziane – stwierdziłam i poprawiłam chustę.

W rzeczywistości wszystko się zgadzało. Reżyser Mario Bava kręcił horror, w którym kobiety występowały roznegliżowane do granic możliwości. Rekwizytorka była udręczoną migreną matroną, która nie pojawiała się w pracy. Dlatego musiałam ją zastępować. Choć scenariusz filmu był dość kiepski, to i tak rozpierała mnie duma, że mimo słabej znajomości języka potrafiłam przejąć jej warsztat.

– O co chodzi w tym filmie? – zapytał Tancredi.

Nie zdążyłam odpowiedzieć, bo nagle zadrżały dwuskrzydłowe drzwi, na których widniał symbol skrzyżowanych kluczy. Szwajcarscy gwardziści sztywno stanęli po lewej i prawej stronie wejścia. Do środka weszli biskup z sekretarzem i tłumaczem. Wyciągnęliśmy szyje jak ciekawskie dzieciaki. Zaległa cisza. Czekaliśmy w napięciu. Papież wszedł płynnym krokiem. Opuściliśmy głowy. Mimo że Paweł VI był sympatyczny i zaangażowany w swoją powinność, watomowane ramiona i wąska talia sprawiały, że wyglądał jak regent³³. Ojciec Święty powitał zgromadzonych krótkimi słowami, a potem powiedział coś do biskupa, który otworzył czerwonozłotą aktówkę. Papież przemówił do nas po włosku, a tłumacze przełożyli jego słowa na niemiecki. Później zwrócił się do każdego gościa bezpośrednio. Stałam przed Tancredim. W ostatnim momencie wpadło mi do głowy, że powinnam się uklonić. Niestety wyszedł z tego jedynie niezgrabny łamaniec. Poczulałam się tak, jakbym przeniosła się do czasów feudalnych, w których najważniejszy był monarcha. Po chwili jednak zdałam sobie sprawę, że z ulgą mogę powrócić do cieszącego się życiem tłumu w demokratycznym Rzymie.

Gdy z Ettorem opuściliśmy Watykan, Tancredi zwrócił się do mnie:

– Moglibyśmy się kiedyś spotkać i zjeść razem kolację.

– Nie ma sprawy – odpowiedziałam.

– Proszę do mnie zadzwonić, jak będzie pani miała czas – poprosił.

– Tak zrobię – stwierdziłam z zadowoleniem.

– Dobrze. Wtedy coś zorganizujemy.

Później nie myślałam o Tancredim. Nie zadzwoniłam do niego. Spotkałam go raz w Cinecittà³⁴, ale obydwójce byliśmy zbyt zajęci, więc jedynie pozdrowiliśmy się z daleka. On też nie zadzwonił. Jednak był tak mną zachwycony, że rozmawiał o mnie z markizem. Ettore zabawił się w swata i zaaranżował spotkanie we czwórkę. Tancredi w umówionym dniu miał po mnie przyjechać do domu.

Dzień przed naszym spotkaniem przechodziłam obok studia, gdzie Dino De Laurentiis³⁵ kręcił komedię z Alberto Sordim³⁶, który był we Włoszech wielkim gwiazdorem. Chciałam z bliska zobaczyć sławnego komika, więc weszłam do studia. Dziewczyny z warsztatów pracowały dla wszystkich firm produkcyjnych w Cinecittà, dlatego nie było w tym nic dziwnego, że często odwiedzały inne plany zdjęciowe. Reżyser Vittorio De Sica był znany z tego, że nie znosił obcych podczas kręcenia filmu, jednak grubemu mężczyźnie z megafonem wydawało się to obojętne, dlatego nie zwracał na mnie uwagi. Miał problemy z wypełnieniem sztucznego basenu. Podczas gdy nieprzerwanie krzyczał przez megafon, z nosa zsunęły mu się okulary w rogowych oprawkach. Po chwili okulary wróciły na swoje miejsce, gdyż groteskowo wyszczerzył zęby.

– Bartolo, nie! Bartolo, czy ty naprawdę o wszystkim zapomniałeś!? – krzyczał.

Bartolo to ten, który obsługiwał obrotową scenę, która już się kręciła, mimo że część kulis nie została jeszcze całkowicie podciągnięta. Drewniane fasady domów zaklinowały się i coś zatrzeszczało.

– Nie, Bartolo! Spójrz w swoje notatki!

Krzyk reżysera został zakłócony przez wrzaski jego asystentów. Schylili się na widok dryfujących części dekoracji.

– Nie! Bartolo! Bóg cię opuścił!? – wydierał się reżyser.

W końcu willa stanęła we właściwym miejscu. Właśnie w niej Alberto Sordi miał przeżyć komiczną przygodę. Wszystko było gotowe. Balkon znajdował się nad basenem, woda w nim została oświetlona na niebiesko. Asystenci skierowali światła tu i tam, klnąc przy tym, co raczej nikomu nie przeszkadzało. Jeśli wszystko nie poszłoby wystarczająco szybko, dostaliby kuksańce lub zostaliby spoliczkowani. Alberto Sordi wzbraniał się przed wskoczeniem do basenu.

Reżyser zniknął na piętnaście minut w garderobie Sordiego i wrócił, ogłaszając połowiczny sukces: aktor zgodził się na pluskanie w basenie, ale nie chciał do niego wskoczyć z balkonu. Zostali wezwani ludzie zajmujący się trikami i dublerami na planie. W tak krótkim czasie nie byli w stanie znaleźć sobowtóra Alberto Sordiego. Reżyser wezwał asystentów De Laurentiisa. Przypuszczam, że pytał ich, czy ma przerwać pracę i czy powinien zmienić scenariusz.

Gruby mężczyzna z megafonem był już cały mokry od potu, bo obawiał się gniewu producenta. Tymczasem poganiał mężczyznę w bokserkach i statystkę w bikini, by jak najszybciej weszli do basenu, żeby zlokalizować urządzenie o mocy pięciu tysięcy watów, które

symulowało światło słoneczne.

Oświetleniowiec z urządzeniem z celuloиду nad czołem szturchnął mężczyznę w bokserkach i wykrzykiwał polecenia w stronę galerii z oświetleniem. Potężne reflektory kręciły się i unosiły, a ich światło wpadało do basenu, żeby go rozjaśnić. Mężczyzna od celuloиду próbował zmusić dziewczynę w bikini do wejścia do basenu.

– Właż do środka, głupia krowo! Woda nie sięgnie ci nawet do cycków! – krzyczał.

Posłuchała, znalazła grunt i zaczęła się prężyć jak szwedzka aktorka Anita Ekberg w fontannie di Trevi w filmie *Słodkie życie*.

– Marcello! – krzyknęła lekko zachrypniętym głosem. – Marcello, chodź do mnie!

Nagle nastąpiło jakieś zamieszanie, powstał gorączkowy pośpiech. Najświeższa nowina zaczęła przechodzić z ust do ust. Znalazł się mężczyzna, który odważył się wskoczyć do basenu. Nie był to jednak ani kaskader, ani statysta, jednak podobno wyglądał jak Sordi. Zaraz miał się zjawić, tylko szukali dla niego bokserek. Musiały być czarne, bo Sordi na takie nalegał.

– Przygotować się do ujęcia! – krzyknął reżyser.

– Przygotować wszystko do ujęcia! – powtórzyli asystenci.

Do dziś uważam, że Tancredi nie przypominał Alberto Sordiego, ale w pośpiesznej atmosferze wszyscy byli zachwyceni, że atrakcyjny kreślarz z działu zajmującego się sceną był wierną kopią gwiazdora. Tancredi wszedł na scenę w samych bokserkach. Wszyscy zaczęli się nim zajmować. Fryzjer starał się ułożyć proste włosy Tancrediego, by choć trochę przypominały loki Sordiego. Dziewczyna z charakterystyki malowała jego nogi za pomocą gąbki. On sam stał dość swobodnie oświetlony tysiącami watów, dlatego nie mógł mnie zobaczyć. Ucieszyłam się, że mogę go obserwować na planie. Reżyser absurdalnie, bo przez megafon, objaśniał scenę swojemu wybawcy. Postać grana przez Sordiego miała być czymś podekscytowana i dlatego nie zauważyła balkonowej barierki za plecami. Pracownicy planu towarzyszyli Tancrediemu za kulisami. Pomocne dłonie przytrzymywały drabinę, po której wspinał się na pierwsze piętro dekoracji. Gdy pojawił się w balkonowych drzwiach, w studiu słychać było głośnie westchnięcie wydobywające się z kilkunastu gardeł. Tancredi był dobrze i proporcjonalnie zbudowany. Miał zgrabne nogi, aż za ładne jak na mężczyznę. Stał w wyznaczonym miejscu i czekał, aż zostanie ustawiona kamera. Odległość była mierzona, światło kontrolowane.

– Myśl o tym, że basen ma tylko półtora metra głębokości! – krzyknął reżyser.

Tancredi pokiwał głową i przyjrzał się otoczeniu. Syrena zawyła, zapaliło się czerwone

światelko. Dźwiękowiec przejechał na wózku, operator kamery przyłożył oko do okularu. Czterech chłopaków stało w pogotowiu, żeby w razie potrzeby pociągnąć statyw po szynach. Tancredi ustawił się przy drzwiach balkonowych plecami do barierki. Mocniej związał bokserki, żeby mu nie spadły.

– Uwaga! – krzyknął gruby.

– Uwaga! Już, Tancredi! – powtarzali jak echo asystenci reżysera.

Szczupły mężczyzna na balkonie wysoko uniósł ręce, jakby zobaczył coś przerażającego wewnątrz willi, i rozchwianym krokiem się wycofał. Bariierka miała go zatrzymać, a on musiał przez nią przelecieć. Jednak barierka się złamała. Tancredi z krzykiem spadł wraz z balustradą do basenu. Woda spieniła się, a Tancredi zniknął w jej odmętach. Reżyser nie przerwał sceny, a kamera podjechała bliżej. Atmosfera zrobiła się napięta. Połamane, drewniane części barierki wypłynęły na powierzchnię, a po Tancredim ani śladu. Nagle wyłoniła się najpierw klatka piersiowa, a po chwili głowa. Tancredi zachłannie złapał powietrze i rozłożył ramiona.

– Cięcie! – krzyknął reżyser.

Syrena wydała przeraźliwy dźwięk, a wszyscy zaczęli bić brawo. Podczas gdy Tancredi podpływał do brzegu basenu, wokół niego zebrał się asystenci i pytali, czy na pewno nic mu nie jest.

W tym samym czasie reżyser wezwał do siebie szefa techników.

– Jak do tego doszło, że barierka się złamała? Co za burdel! Przecież ta sytuacja zagrażała jego życiu! – krzyczał.

Po chwili podszedł do Tancrediego i powiedział:

– Mistrzostwo! Zostawimy to tak, jak jest. Ta scena jest sto razy lepsza, niż ta, która miała powstać.

Reżyser zszedł z planu, by opowiedzieć Alberto Sordiemu o udanym triku.

Jakiś czas później dowiedziałam się, że Sordi był wściekły, że ktoś inny odebrał mu cały pokaz. Zdecydował, że scena powinna zostać nakręcona jeszcze raz. Sordi wystąpił w niej osobiście, tylko nie wpadł do wody z wysokości pierwszego piętra, ale z krawędzi basenu.

I tak jedyny dokument filmowy, w którym mój późniejszy mąż wpadł do basenu wraz z barierką, wylądował w celuloidowym koszu na śmieci.

27 Plac w centrum Rzymu, w dzielnicy Parione (przyp. tłum.).

28 Zwrot grzecznościowy w stosunku do kobiety (przyp. tłum.).

29 Najstarsza droga rzymska, zwana przez Rzymian *regina viarum*, czyli królową dróg (przyp. tłum.).

30 Najwyższe z siedmiu wzgórz Rzymu znajdujące się w centrum miasta (przyp. tłum.).

31 Plac Hiszpański w centrum Rzymu. Jego nazwa pochodzi od znajdującego się na nim pałacu mieszczącego ambasadę Hiszpanii (przyp. tłum.).

32 Włoska aktorka teatralna i filmowa, prywatnie żona Federico Felliniego (przyp. tłum.).

33 Osoba sprawująca rządy w okresie małoletniości, choroby lub dłuższej nieobecności prawowitego władcy (przyp. red.).

34 Największe studio filmowe we Włoszech znajdujące się na przedmieściach Rzymu (przyp. tłum.).

35 Włoski producent filmowy (przyp. tłum.).

36 Włoski aktor teatralny, filmowy i telewizyjny, a także reżyser i scenarzysta (przyp. tłum.).

Rozdział szósty

Nasz pierwszy wspólny wieczór był bardzo dziwny. Tancredi przyjechał po mnie czerwonym, sportowym alfa romeo spiderem z otwartym, składanym dachem. Samochody tej marki można było wówczas spotkać jedynie we Włoszech. W tamtych latach ruch na drogach w Rzymie był niewielki, dzięki czemu można było szybko przemieszczać się po mieście i parkować przy krawędziach ulic, co dzisiaj jest niemożliwe.

– Mój ojciec jest w mieście – powiedział Tancredi po krótkim powitaniu. – Próbowałem się do pani dodzwonić, ale...

– Czy to znaczy, że nie wychodzimy dziś razem? – zapytałam.

– Wręcz przeciwnie, ale będzie troszkę inaczej, niż zaplanowałem – wyjaśnił, otwierając mi drzwi od strony pasażera.

Ujął moją dłoń i pomógł mi wsiąść do środka. Byłam zadowolona, że nie założyłam nic krótkiego, bo w tym niskim samochodzie moja spódnica znalazłaby się w pasie, odsłaniając całe nogi.

– Co ma pan na myśli, mówiąc, że spędzimy ten czas nie tak, jak było planowane?

– Niestety Ettore odwołał spotkanie. Kazał panią przeprosić – wyjaśnił.

Tancredi usadowił się za kierownicą. Silnik zawył.

– Jak to?

– Markiz nie potrafi się porozumieć z moim ojcem.

Tancredi ruszył z piskiem opon, co spowodowało, że wcisnęło mnie w siedzenie.

Skręciliśmy w Via della Carozze i skierowaliśmy się w stronę Piazza di Spania.

– A myśli pan, że ja dogadam się z pańskim ojcem? – zapytałam zaintrygowana.

– Tak, bo jest pani kobietą – odpowiedział, a po jego twarzy przemknął uśmiech.

Nie spodobało mi się, że podczas naszej pierwszej randki miał nam towarzyszyć papa di Lorenzo.

– Co Ettore ma przeciwko pańskiemu ojcu? – dociekałam.

– Uważa, że rozmowy z nim są jednostronne.

– Tancredi, ja nie chcę przeszkadzać, jeśli pan i pański ojciec mieliście dzisiaj wieczorem... – próbowałam go przekonać, żebyśmy się umówili innym razem.

– Jestem pewien, że go pani polubi. Zapewne z wzajemnością – nie dał mi dokończyć.

Mimo że jechaliśmy dość szybko, spojrzął mi w oczy i powiedział:

– Proszę mówić do niego wyraźnie i na niego patrzeć, gdy będzie pani z nim rozmawiała.

– Dlaczego? – zapytałam zdziwiona.

– Tata jest głuchoniemy.

Na Via dei Due Macelli na dobre ugrzęźliśmy w wieczornym korku.

Ojciec Tancrediego czekał na nas w barze na Via Veneto, promenadzie, którą każdy w Rzymie chciał zobaczyć i być na niej zauważony. Wieczorami ulica była pełna gwiazd i tych, którzy pragnęli nimi zostać. Spacerowali nią księżniczki i hrabiowie, którym towarzyszyli chłopcy ubrani modnie w białych, świetnie leżących garniturach i koszulach rozpiętych prawie do pępka. W tym miejscu koktajle miały zawrotne ceny. Na nocne łowy wyszli papagalli³⁷ i naprzykrzali się turystkom, które spacerowały samotnie. Nawet ja, przyzwyczajona do bycia blisko gwiazd w Cinecittà, musiałam przyznać, że na Via Veneto było zupełnie inaczej. Claudia Cardinale³⁸, Mastroianni³⁹, Mangano⁴⁰ – same sławy otoczone przez paparazzich. Jeśli ktoś chciał zobaczyć którąś z gwiazd, wystarczyło się rozejrzeć za błyskiem fleszy.

– Ciao, papa – przywitał się z ojcem Tancredi.

Zaparkował w drugim rzędzie, więc musieliśmy przeciskać się między samochodami.

Przy powitaniu ojciec poklepał go po plecach.

Calogero di Lorenzo wyglądał na pięćdziesięciolatka. Miał kanciastą, prostą twarz i zaciśnięte usta, po których widać było, że jest niemową. Jego włosy były gładko zaczesane do tyłu, podczas gdy Tancredi pozwalał swoim swobodnie opadać na czoło. Ubrany był w elegancki garnitur, który krojem bardzo przypominał przedwojenną modę. Tancredi przedstawił mnie jako swoją znajomą z Cinecittà. Ciepła dłoń jego ojca przykryła moją. W tym momencie poczułam się nieco zakłopotana, ale jednocześnie zadowolona, że mogliśmy się poznać.

– Dobry wieczór. Proszę mi wybaczyć mój słaby włoski – zwróciłam się do jego ojca, wyraźnie akcentując.

– Nie musi pani krzyczeć – roześmiał się Tancredi. – Wystarczy, że będzie pani mówiła w jego kierunku. Wtedy prawie wszystko zrozumie.

Spojrzął na talerz Calogera.

– Tato, ty już jadłeś? – zapytał.

Ojciec pokazał na swój zegarek i brzuch. Układał przy tym usta tak, jakby mówił.

– No tak, ale w domu zdarza nam się jadać jeszcze później – powiedział i przysunął mi krzesło. – To pewnie podróż sprawiła, że zgłodniałeś.

Ojciec Tancrediego właśnie przyjechał z Monteleone. Tę nazwę usłyszałam pierwszy raz w życiu. To miejsce będzie mi się później kojarzyło z pięknem, namiętnością, a jednocześnie więzieniem.

– Signore, co robi pan w Rzymie? – zapytałam, podczas gdy Tancredi zamawiał dla nas campari.

Calogero nakreślił trzema palcami okrągłe gesty, które oznaczały interesy.

– Tata ma jutro spotkanie w ministerstwie – odpowiedział Tancredi. – Będę mu towarzyszył.

– Co robi pański ojciec zawodowo? – zapytałam.

– Zawodowo? O, nie, źle pani zrozumiała. Chodzi o dofinansowanie przez ministerstwo środowiska naszego na nowo zdobytego kraju.

Nie wiedziałam, że Lorenzowie byli jednymi z największych posiadaczy ziemskich, którzy rozdzielali między sobą południe Sycylii. Zastanawiałam się wtedy, jak Calogero porozumie się w ministerstwie i będzie pertraktował. Dopiero później przekonałam się, że ten wpływowy mężczyzna bez problemu potrafił zainspirować swoje otoczenie do tego, by mu usługiwało. Wówczas zapominało się o tym, że jest głuchy, natomiast milknęli ci, którzy próbowali się z nim porozumieć. Calogero siedział wyprostowany, nie wychylał się, jego klatka piersiowa pozostawała w bezruchu, ale energicznie gestykulował. Jego twarz pozostawała nieruchoma, tak jakby nie chciał zrozumieć tego, co się do niego mówiło. To, czego nie dosłyszał, wyrażała jego mina, która wskazywała, że to, co ktoś inny miał do przekazania, nie było istotne.

Dzisiaj wiem, że naszemu pierwszemu spotkaniu towarzyszyło dziwne napięcie spowodowane obecnością jego ojca. Tancredi miał wobec mnie oczywiste zamiary, dlatego z niecierpliwością czekałam na dalszy rozwój. Jednak sytuacja tego wieczoru przedstawiała się zupełnie inaczej. Ja i Tancredi byliśmy jak dwójka dzieciaków, która siedziała, wpatrując się w człowieka, który nic nie mówił, ale doskonale wszystko rozumiał. Musiałam opowiedzieć coś o sobie. Zrobiłam to chętnie i mówiłam trochę wolniej niż zwykle. Dla Sycylijczyka życie

samotnej Angielki, która zjawiała się w obcym kraju, musiało być czymś niewarygodnym. Mimo że byłam w takim wieku, że mogłabym wyjść za mąż, nie miałam narzeczonego i mieszkałam sama w Rzymie. Ojcu Tancrediego to imponowało, ale jednocześnie przyjął to jako wyraz nowych czasów i coś zupełnie mu obcego.

Podczas spotkania zjedliśmy kilka włoskich dań, co trwało dość długo, i gdy piliśmy kawę, nagle zrobiła się północ. Następnego dnia musiałam wcześnie wstać i opisać mundury dla stu statystów. Dlatego przeprosiłam moich towarzyszy i wstałam od stołu.

Calogero zaczął wykonywać jakieś wesołe gesty.

– Już teraz? – spytał zaskoczony Tancredi. – Przecież możemy jeszcze iść do nocnego klubu.

Ojciec wskazał miasto. Tancredi mu przytaknął.

– Zgadza się, tato. Jeśli raz na jakiś czas przyjeżdżasz do Rzymu, to powinieneś się dobrze zabawić.

– Dla mnie jest już za późno. Muszę już iść – powiedziałam.

Starszy mężczyzna wziął mnie za rękę. W jego spojrzeniu było coś magnetycznego.

– Myślę, że ojciec nie chce rezygnować z pani czarującego widoku – przetłumaczył Tancredi. – Jest pani dzisiaj jego maskotką.

– No dobrze, ale zgodzę się tylko na jednego drinka.

Calogero wziął rachunek spod talerza i kiwnął ręką na kelnera.

Tancredi zaproponował, że wybierzemy się do pobliskiego lokalu, do którego można było dojść na piechotę.

Na promenadzie porwał nas tłum. Lokal mieścił się w piwnicy. Spodziewałam się jakiegoś mrocznego miejsca z małymi stoliczkami, a ku mojemu zaskoczeniu w środku było wesoło i trwał jakiś program rozrywkowy. Calogero usadowił się we wnęce, a Tancredi zamówił whisky. Dziewczyna śpiewająca na scenie miała na sobie za ciasny gorset. Obawiałam się, że przy wyższych dźwiękach, jakie z siebie wydobydzie, z gorsetu coś nagle jej wyskoczy. Ten występ był nieprzyzwoity. Byłam bardzo ciekawa, jak zareaguje na to mężczyzna z sycylijskiej prowincji. Calogero protekcjonalnie obserwował dziewczynę, jakby była jego uzdolnioną córką, dla której chciałby jak najlepiej. Gdy na stole pojawiły się napoje, wznieśliśmy toast za nasze spotkanie.

Po chwili dostrzegłam przy barze młodą kobietę w opiętej, czerwonej sukience, która za

wszelką cenę chciała zwrócić na siebie uwagę ojca Tancrediego. On zaczął się jej przyglądać w momencie, gdy na niego nie patrzyła. Wyglądało to tak, jakby ją przeszywał na wskroś. Hostessa zachęcająca gości do picia alkoholu wykazała coraz większe zainteresowanie ojcem Tancrediego i nagle podeszła do naszego stolika.

– Trójka jest nieparzysta – powiedziała szeptem. – Widzę, że obok ciebie jest wolne miejsce.

Przysunęła się do Calogera, a on zawiesił wzrok na grubej warstwie szminki na jej ustach i seksownej sukience. W jego oczach można było dostrzec wyraz politowania i jednocześnie współczucia, jakby chciał ją zapytać, dlaczego to sobie zrobiła. Jeszcze bardziej zaskakująca była reakcja syna. Tancredi przypominał niedoświadczonego młokosa, który przygląda się ojcu. Nie miałam zbyt wielu okazji, żeby widzieć go później w podobnej sytuacji.

Nie zostaliśmy tam długo. Gdy już wyszliśmy, Tancredi ustalał z ojcem, kogo najpierw odwiedzić do domu. Miał nadzieję, że mnie odwiedzie jako drugą. Byłam zmęczona i nie chciałam już więcej przygód. Zanim on porozumiał się z ojcem, machnęłam ręką i zatrzymałam taksówkę. I tak skończyła się ta dziwna i pełna napięcia randka.

37 Podrywacz, nieustępliwy, wręcz natarczywy (wł.).

38 Włoska aktorka filmowa. Obok Sophii Loren i Giny Lollobrigidy największa gwiazda włoskiego kina (przyp. tłum.)

39 Marcello Mastroianni, włoski aktor (przyp. tłum.).

40 Silvana Mangano, włoska aktorka (przyp. tłum.).

Rozdział siódmy

Podczas tej pierwszej randki poruszyła mnie w Tancredim jego chłopięcość i to, jak zachowywał się wobec własnego ojca. Energiczny kierowca sportowego samochodu, zapierający dech w piersiach zgrabny rysownik ubrany tylko w bokserki odchodził w niepamięć, a w jego miejscu pojawił się młody, sympatyczny mężczyzna, który był oddany swojej rodzinie i chciał być pomocny ojcu.

Po jakimś czasie umówiliśmy się na kolejne spotkanie, tym razem z tańcami, na nabrzeżu Tybru, najdłuższej rzeki we Włoszech. Przez telefon Tancredi wydawał się błyskotliwy i bezpośredni. Swobodnie i bez przymusu przeszliśmy na „ty”.

W Cinecittà trwały przygotowywania do kolejnej, dużej produkcji Felliniego *Giulietta i duchy*. Fellini nie znosił scen kręconych na powietrzu, poza studiem, więc zlecił wybudowanie wszystkich dekoracji w miasteczku filmowym. To było ogromne wyzwanie dla działu technicznego. Poza salami malarskimi, w których prospekty były naciągane na wielkie ramy i dopracowywane przez malarzy wiszących na specjalnych gondolach, materiał musiał być rozłożony na podłodze w dodatkowym atelier. Tancredi pracował przy rysownicy. Fellini robił szkice, jego rekwizytor projektował na podstawie jego szkiców, a Tancredi realizował całość w rozmiarach jeden metr na dwa. Później każdy detal musiał przygotować w rozmiarach dwadzieścia na czterdzieści metrów. To było połączenie rysunków technicznych i sztuki. Malarze mogli zacząć swoją pracę dopiero wtedy, gdy dostawali plany w odpowiedniej skali.

Tancredi opowiedział mi, jak to się stało, że zaczął pracować przy filmach. Zdawał sobie sprawę, że któregoś dnia spadną na niego rodzinne obowiązki, dlatego po skończeniu szkoły szybko poszedł na studia. Postanowił spróbować sił na architekturze, a przy tym odkrył w sobie talent rzeźbiarski i uczęszczał na lekcje rzeźbiarstwa w Alpach Apuańskich⁴¹. Ciężka, fizyczna praca spowodowała, że wypadł mu dysk i od tej chwili musiał się ograniczyć do malowania. Próbował jako abstrakcjonista, ale w pewnym momencie zdał sobie sprawę, że jego wyobraźnia jest ograniczona, i znalazł sobie zajęcie, w którym mógł wykorzystać swoje zdolności i połączyć wszystkie zainteresowania – technikę, marzenia i realizm. W ten sposób Tancrediego pochłonął

świat filmu. Dzięki temu mógł choć na chwilę zostawić za sobą Sycylię.

Również we włoskim filmie lata sześćdziesiąte oznaczały czas przemian. Mimo że masowa publiczność nadal chciała oglądać *commedia dell'arte*⁴², to bardziej ambitni reżyserzy postawili na swoim i zaczęły powstawać nowatorskie dzieła, które szybko rozślawiły włoskie kino na całym świecie. Antonioni, Pasolini, Fellini, Francesco Rosi, Visconti, Marco Ferreri w jednej dekadzie stworzyli tyle ciekawych filmów, ile nie powstało w całej historii włoskiego kina, a przy okazji wykreowali nowe gwiazdy.

Gdy członkowie ekip poszczególnych filmów po zakończeniu prac na planie zdjęciowym wracali do swojego normalnego życia, stali pracownicy załogi rekwizytorskiej zostawali na miejscu. Robili film za filmem, każdy w odmiennej estetyce. To oni tak naprawdę tworzyli Cinecittà. Jednym z nich był bogaty i przystojny Tancredi di Lorenzo. „Co za życie! Pracować z radością i pasją, a nie po to, by mieć, za co jeść. Mieć kontakt z najbardziej uzdolnionymi ludźmi filmu i jednocześnie należeć do śmietanki rzymskiego towarzystwa” – myślałam wtedy.

Rzymianie byli zawsze arogancy i impertynency. Zazwyczaj Sycylijczycy nie mieli w stolicy łatwego życia. Ale Lorenzowie nie byli zwykłymi Sycylijczykami. Byli podporą kraju, mieli najlepsze znajomości wśród najbardziej wpływowych urzędników, a niejeden polityk zawdzięczał swoją karierę hojnemu wsparciu tej rodziny. Spadkobierca rodu Lorenzów był kimś ważnym nawet w Rzymie. Mężczyźni próbowali nawiązać z nim kontakt, a kobiety nie odstępowały go na krok. Pod tym względem Tancredi był naprawdę skromny i nigdy nie okazywał wyższości. Zachowywał się zupełnie zwyczajnie, po prostu jak przeciętny rysownik i pracownik Cinecittà.

Pewnego popołudnia w stołówce miasteczka filmowego spotkałam przypadkiem Filippa Rissone. Nie widziałam go od jakiegoś czasu, więc chętnie przyjąłam jego zaproszenie na kawę. Usiedliśmy na dworze. Filippo opowiadał, że został zaangażowany do drugiej części filmu historycznego, w którym miał wystąpić jako statysta. Pogratulowałam mu, bo opowiadał o tym z ogromną euforią i widać było, że bardzo się cieszył z nowego angażu. Siedzieliśmy obok siebie jakieś dwadzieścia minut i nagle Filippo po koleżeńsku objął mnie w pasie. Nie przypuszczałam, że ten gest może się komuś nie spodobać i być powodem kłótni.

Następnego dnia byłam umówiona z Tancredim przy rzece, w pobliżu zamku Sant'Angelo, gdzie postawiono parkiet do tańców. Włożyłam rozkloszowaną sukienkę. Gdy zjawiłam się na miejscu, byłam podekscytowana i w świetnym humorze. Tancredi jeszcze nie

przyszedł, więc zapłaciłam za wstęp i znalazłam się wewnątrz wśród czekających na okazję podrywaczy. Już trzech zaczęło mnie zagadywać w charakterystyczny dla siebie sposób.

– Skąd pochodzisz? Z Ameryki? – zapytał jeden.

– Anglia jest cudowna, ale u nas jest lepsza pogoda – powiedział drugi.

– Jak ci się podoba Rzym?

– Jak długo u nas zostaniesz?

– Napijemy się czegoś?

Nie wiedziałam, co odpowiedzieć i jak się od nich opędzić. Na każdym kroku któryś z nich próbował mi postawić drinka.

– Zatańczysz najpierw ze mną, prawda? – zapytał jeden z zalotników.

– Nie, czekam na kogoś.

– W takim razie dopóki nie przyjdzie, potańczymy razem. Rozgrzeję cię dla twojego towarzysza – zaproponował.

W końcu uległam i dla świętego spokoju postanowiłam zatańczyć z jednym z trzech adoratorów, żeby w ten sposób zniechęcić pozostałych. Zespół grał włoską muzykę, więc można było tańczyć na odległość. Jednak w pewnym momencie nastrój się zmienił, bo piosenkarz zaczął śpiewać jakiś rzewny i wolny kawałek, podczas którego wszyscy obejmowali się w parach.

Mój partner zbliżył się do mnie, próbując stopić mój brytyjski chłód. Papagallo dmuchał mi do ucha, a zębami odsunął kosmyk włosów z mojego czoła. Podniosłam wzrok i ujrzałam Tancrediego stojącego przy wejściu. Zobaczyłam uniesiony podbródek, zwężone oczy, dłonie zaciśnięte w pięści i wyprężoną sylwetkę. Wówczas nie zdawałam sobie sprawy, co to oznaczało. Podziękowałam za taniec i podbiegłam do Tancrediego.

– Dzięki Bogu, że jesteś! Ten Włoch nie dawał mi spokoju, więc z nim zatańczyłam – powiedziałam uszczęśliwiona, że go wreszcie zobaczyłam.

– Jest jedno wyjście z takiej sytuacji – oznajmił oschle.

Nie ruszył się z miejsca i nie podał mi ręki na przywitanie.

– Jakie wyjście? – zapytałam rozbawiona.

– Po prostu mówi się „nie” – odburknął.

– Próbowałam, ale sam wiesz...

– Nie, Diano, nie wiem. Dlaczego nie poczekałaś na mnie na zewnątrz? – spytał takim tonem, do którego nie przywykłam.

– Myślałam, że umówiliśmy się w środku – odpowiedziałam.

– Dobrze wiesz, co mam na myśli. Rozejrzyj się. Widzisz chociaż jedną kobietę bez partnera?

Dopiero teraz zwróciłam uwagę na to, że dziewczyny były ze swoimi chłopakami, a kobiety ze swoimi mężami. W jednej chwili zrozumiałam, dlaczego ci podrywacze rzucili się na mnie jak stado wygłodniałych wilków na zdobycz.

– Bardzo mi przykro. Jestem... W Anglii nie przywiązujemy do tego uwagi. Cieszę się, że przyszedłeś – tłumaczyłam i jednocześnie wzięłam go pod rękę. – Chętnie bym się czegoś napiła.

Tancredi energicznie zaprowadził mnie do baru.

– Czy coś się stało? – zapytałam niepewnie.

– Jak to? Najważniejsze, że dobrze się bawisz – odpowiedział sucho.

– Miałeś ciężki dzień? – zapytałam i zamówiłam coś do picia.

Tancredi pił czerwone wino.

– Byłem dzisiaj w pobliżu działu z kostiumami – zaczął.

– Tak... – powiedziałam i wsłuchiwałam się w bossa novę⁴³, którą zagrał zespół.

Chciało mi się tańczyć.

– Około trzeciej – mówił dalej.

– Znasz bossa novę? – zapytałam i wskazałam na tańczące pary. – Poprowadzisz mnie do tańca?

– Gdzie byłaś o trzeciej?

– Ja? – Zakołysałam biodrami. – Pewnie zapracowywałam się na śmierć. Czterystu egipskich niewolników i nawet jeśli noszą jedynie przepaski na biodrach, to i tak trzeba wykonać ogrom pracy.

Wzięłam go za rękę.

– Chodź, Tancredi, chodź.

– O trzeciej nie było cię w pracy – oznajmił.

Mimo że się zapierał, udało mi się w końcu odciągnąć go od baru.

– Ach tak? W takim razie powiedz, gdzie byłaś.

Ciepły wieczór, zmysłowa muzyka i wypity alkohol sprawiły, że zrobiłam się zuchwałą.

Nagle Tancredi chwycił mnie mocno za biodra.

– Byłaś razem z tym mężczyzną.

– Mężczyzną? Jakim mężczyzną?

– Z tym, który bardzo chciałby zostać reżyserem! Obejmowaliście się!

Absurdalne było to, że wyrzucał te wściekłe słowa podczas tańca, a jego uścisk był silny jak ze stali.

– Masz na myśli Filipa?

Roześmiałam się, a ostry obrót sprawił, że śmiech uwiązł mi w gardle.

– Dlaczego cię obejmował? – spytał Tancredi i zmierzył mnie wzrokiem.

– Musiałeś się pomylić – zapewniłam.

– Objął cię w pasie i mogli to zobaczyć wszyscy, którzy w tym czasie tam byli.

– Jacy wszyscy? – zapytałam.

– Każdy, kto był w stołówce! – odburknął.

Muzyka ucichła. Zostaliśmy sami pośrodku parkietu.

– Skąd to wiesz? – dociekałam.

– Nieważne – odpowiedział.

Po rozbawionych twarzach zorientowałam się, że wszyscy wokół cały czas nas obserwowali i mieli niezłe widowisko. Staliśmy i klóciliśmy się jak stare małżeństwo. Zastanawiałam się, jak to się stało, że znalazłam się w takiej sytuacji. W jaki sposób miałam udowodnić Tancrediemu, że między mną a Filipem nic się nie wydarzyło. Nie wiedziałam, że Włosi mogą być tacy zazdrośni. Jeszcze nie zdobyli kobiety, a już ją śledzą. To było niepojęte! Tancredi świetnie tańczył, ale cały czas miał kwaśną minę. Nagle zostawił mnie na środku parkietu i wrócił do baru, żeby się napić.

Tego wieczoru chciałam zakończyć naszą znajomość, jednak tego nie zrobiłam. I to dopiero było szaleństwo. O dziwo, spodobała mi się jego zazdrość. Jeszcze żaden mężczyzna nie zdenerwował się tak bardzo z mojego powodu. Anglik nigdy by się tak nie zachował. Poza tym chyba już byłam pod jego urokiem, więc pobiegłam za nim.

– Bardzo mi przykro. Nie chciałam cię zranić. Proszę, wybac mi – zapewniałam go.

Chciałam, żeby znów wszystko było dobrze i żebyśmy mogli razem cieszyć się pięknym wieczorem. Moja propozycja pojednania spowodowała jednak, że upewnił się w swoich podejrzeniach.

– Opowiedz mi o Filippie. Skąd się znacie?

Długo staliśmy przy barze i rozmawialiśmy. Mówiłam o znajomości z Filippem tak,

jakbym się z czegoś tłumaczyła. Tancredi w końcu się uspokoił i wreszcie mogliśmy zatańczyć z przyjemnością. Zrobiło się magicznie i ekscytująco. Tej nocy Rzym wyglądał piękniej niż zazwyczaj.

Później Tancredi odwiózł mnie do domu. Uśmiechając się, zdjął mi rękawiczkę, pocałował w rękę, a potem w każdy palec z osobna. Te pieszczoty sprawiły, że zapomniałam o jego nieprzyjemnym zachowaniu i tym, jak bardzo mnie zdenerwował, ale pomyślałam, iż jest mi winny pocałunek.

41 Mały łańcuch górski w Toskanii (przyp. tłum.).

42 Komedie ludowe, powstała w połowie XVI wieku (przyp. tłum.).

43 Styl muzyki brazylijskiej (przyp. tłum.).

Rozdział ósmy

Spędzałam z Tancredim coraz więcej czasu. Zawsze odprowadzał mnie do domu, ale nie wchodził na górę. Nie potrafiłam zrozumieć jego niezdecydowania. Miałam na końcu języka, żeby go o to zapytać, ale się powstrzymałam. Zaczęłam podejrzewać, że Tancredi jest gejem, a spotkanie się z kobietami to tylko ukrywanie jego odmiennych preferencji. Przychodziły mi do głowy różne myśli aż do pewnego gorącego dnia, gdy wszystko stało się jasne.

Zauważyłam go przypadkiem na placu Rotonda, w pobliżu Koloseum. Jechał swoim sportowym samochodem z otwartym dachem i obejmował piękną, młodą kobietę. Miała kruczoczarne, długie włosy, bursztynowe oczy i wyglądała dokładnie tak jak prawdziwa rzymska piękność, na której widok zapiera dech w piersiach. Dlaczego wcześniej nie wpadłam na to, że może mieć kogoś innego? Co tak pożądany kawaler jak Tancredi mógłby robić z kimś takim jak ja? Zdałam sobie sprawę, że nie jestem zbyt atrakcyjna. Zawsze uważałam się za drobną, ale teraz poczułam się malutka. Miałam włosy jak słoma i mały biust. Nie byłam obdarzona szczególną urodą. Byłam nikim w Cinecittà i nie robiłam niczego szczególnego. Zaczęłam się zastanawiać, skąd wzięła się we mnie ta zarozumiałość, która powodowała, że chciałam konkurować z pięknymi kobietami, które emanowały erotyzmem. Postanowiłam potraktować przygodę z Tancredim jak nauzkę i w przyszłości nie popełniać podobnych błędów.

Tego samego wieczoru zadzwonił Tancredi i zaprosił mnie do kina. Wykręciłam się pracą i odmówiłam. Następnego dnia niezapowiedziany stanął w drzwiach działu kostiumów. Przeważnie nie przejmowałam się swoim wyglądem, gdy pracowałam w rekwizytorni. Zazwyczaj nosiłam roboczy kitel, a włosy wysoko upinałam z powodu dużego upału. Teraz jednak zdenerwowałam się, że Tancredi taką mnie zobaczył. Zaczęłam się powoli wycofywać do swojej jaskini z sukienkami i materiałami. Tancredi wszedł za mną. Było południe, więc większość moich współpracowników wyszła na obiad. W rekwizytorni panował straszny upał, bo nie było w niej klimatyzacji.

Udawałam, że jego wizyta nie zrobiła na mnie wrażenia. Podczas gdy niezobowiązująco rozmawialiśmy, zastanawiałam się, co z moimi ambitnymi planami. Chciałam zostać

projektantką mody, wymyślać kostiumy, współpracować ze znanymi i z szanowanymi reżyserami. Tymczasem przesuwałam wieszaki z ubraniami z garderoby A do garderoby B. Czasami ktoś mnie krytykował, a czasami jakaś mało znana kostiumolog wyładowała na mnie swoje niepowodzenia. W jednej chwili chciałam wszystko rzucić. Wyplątać się z tej dziwnej sytuacji z Tancredim, odejść z pracy i miasteczka filmowego, które nie było niczym więcej, jak tylko fabryką. Produkowało rozrywkę dla mas. Może lepiej, gdybym wyjechała z Rzymu? Czy moje życie w tym mieście nie było oszukiwaniem samej siebie? Piękno, luksus, niezależność – czy należałam do tego świata tylko dlatego, że chodziłam tymi samymi ulicami? Londyn był bardziej prawdziwy, realistyczny. Moja piwnica i maszyna do szycia stanowiły dla mnie większą wartość, ponieważ sama do tego doszłam.

– Szkoda, że nie miałaś wczoraj czasu. Bardzo chciałem ci kogoś przedstawić – powiedział Tancredi i sięgnął po papierosa.

– Nie tutaj! Chcesz, żeby wszystko stanęło w płomieniach? – rzuciłam, gdyż pomieszczenie było wypełnione łatwopalnymi materiałami.

– Niestety, dzisiaj już jej nie ma – oznajmił i schował paczkę papierosów do kieszeni.

– O kim ty mówisz? – zapytałam.

Byłam zaciekawiona, ale jednocześnie udawałam brak zainteresowania. Zachowywałam się tak, jakbym koncentrowała się na tym, co miałam na liście zakupów.

– O Felicji.

Podszedł krok bliżej.

„Oczywiście. Nie dość, że ta dziewczyna wyglądała jak księżniczka, to jeszcze ma piękne imię” – pomyślałam wściekła, przeklinając niesprawiedliwość tego świata.

– Znam ją? – zapytałam beznamiętnie.

– Jak miałabyś ją znać? Przecież chciałem ci ją dopiero przedstawić – powiedział z uśmiechem.

W tej chwili wyglądał lepiej niż Mastroianni, Sordi czy inni ckliwi bohaterowie filmowi, którzy biegali po miasteczku filmowym.

– Innym razem – odpowiedziałam i chciałam wyjść.

– Czy coś się stało? – spytał, idąc za mną.

– Nie. To przez upał. – Wytarłam kropelki potu spod nosa. – Kiepsko znoszę wasz klimat.

– Powinniśmy wyjechać. Góry Albańskie⁴⁴ na pewno ci się spodobają. Zrobimy sobie

całodniową wycieczkę. Co ty na to? – zapytał z uśmiechem.

– Byłoby miło, ale taka pracowita pszczołka jak ja nie może sobie na to pozwolić.

– Pojutrze jest sobota – zaskoczył mnie.

– No tak, ale...

– Diano... – Wziął mnie za rękę.

Wprawdzie nie cofnęłam dłoni, ale powiedziałam:

– Dlaczego nie pojedziesz w góry z Felicją?

– A co miałbym z nią tam robić? – zapytał i spojrzał na mnie ze zdziwieniem.

– Na pewno byś coś wymyślił.

– Prosiłem ją o radę w bardzo ważnej sprawie – stwierdził.

Milczałam.

– Nie chcesz wiedzieć w jakiej?

– To twoja sprawa – odpowiedziałam z przekąsem.

Stałam sztywno w ciemnej wnęce i zapewne wyglądałam jak sto nieszczęść.

– Zapytałem ją, czy mogę takiej dziewczynie jak ty zaproponować, żeby towarzyszyła mi w podróży na Sycylię.

Podniosłam wzrok.

– Tam wszystko jest zupełnie inne. – Jego oczy były szczerze, a spojrzenie głębokie. – My jesteśmy inni. Można uznać, że jesteśmy cudowni albo przygnębiający.

Zakręciło mi się w głowie, pewnie przez upał.

– Dlaczego chciałbyś, żebym z tobą... Dlaczego chcesz mnie zabrać na Sycylię?

– To bezpośrednie pytanie, na które jest tylko jedna, bezpośrednia odpowiedź – odpowiedział.

Przyciągnął mnie do siebie i pocałował.

– Teraz rozumiesz? – zapytał i pocałował mnie jeszcze raz.

– To kim jest Felicja? – Moje oczy były pełne łez.

– To moja ukochana siostra. Dlaczego płaczesz?

Zamiast odpowiedzieć na jego pytanie, też go pocałowałam.

– Ile masz siostr? – zapytałam.

– Cztery.

– Tak dużo?

Pokiwał głową.

– Mój ojciec chciał już zrezygnować. Urodziły mu się cztery córki, zanim wreszcie przyszedł na świat syn.

– Jesteś najmłodszy?

– Mam jeszcze młodszego brata.

– A więc jest was sześcioro? – Oparłam się na nim. – Jeszcze nigdy nie byłam na Sycylii.

Wyszliśmy z rekwizytorni, trzymając się za ręce. Nie czekaliśmy do soboty z wyjazdem w góry. Dokończyłam swoją pracę w rekordowym tempie, więc już po południu mogliśmy wyruszyć w drogę. Przy Castel Gandolfo pojechaliśmy w górę krętą szosą. Byłam tak podekscytowana, jak jeszcze nigdy w obecności żadnego mężczyzny.

Pojechaliśmy do najpiękniejszego hotelu na świecie. Tancredi przekonał właściciela, żeby wynajął nam apartament z tarasem na dachu. On wydawał mi się jakimś magicznym księciem, który potrafił sprawić, że czułam się tak, jakby otwierały się przede mną bramy nieba. Gdy jest się zakochanym, nawet największy kicz może się wydawać ósmym cudem świata. I właśnie tego wówczas doświadczyłam. Wszędzie były zapalone świece, a w tle słychać było muzykę na skrzypcach. Ryba była przepyszna, wino miało delikatny smak, a zimny szampan podziałał na nas orzeźwiająco. Wszystko było wprost idealne. W drodze do pokoju zostałam obsypana tysiącami pocałunków. Gdy weszliśmy do apartamentu, okna były uchylone, a delikatny wietrzyk rozwiewał zasłony. Zaczęliśmy zrzucać z siebie ubrania i nagle ten układny mężczyzna zmienił się w gorącego południowca. A ja, otwarta dziewczyna z Londynu, pozwoliłam się ustrzelić jak zwierzyna. To, co działo się między nami podczas nocy, przypominało rozkoszną orgię. Rano goście hotelowi z pokoju obok stracili cierpliwość, ponieważ zaczęli walić pięścią w ścianę, ale do nas nie do końca to docierało. Podczas śniadania słyszałam, że Tancredi przeproszał właściciela hotelu za zakłócenie ciszy. Jednak to nie miało większego sensu, bo kolejnej nocy urządziliśmy podobny spektakl.

Z tarasu roztaczał się przepiękny widok na góry i zalesione doliny. W oddali można było dostrzec miasteczko Frascati. Poszliśmy na spacer nad jezioro Albano. Wizyta w letniej rezydencji papieża była niemożliwa, bo właśnie odpoczywał w niej Ojciec Święty. Niezbyt długo włóczyliśmy się po Rocca di Papa i Marino, bo upał był nie do zniesienia, a my chcieliśmy jak najszybciej wrócić do hotelu, zamknąć za sobą drzwi i znowu wskoczyć do łóżka.

Gdy w niedzielę wieczorem Tancredi wysadził mnie przed moim domem, zastanowiłam

się przez chwilę, dlaczego następną noc mamy spędzić oddzielnie. To właśnie wtedy pierwszy raz zaprosiłam go do mojego małego mieszkania.

44 Grupa wygasłych wulkanów położona około 20 km na południowy wschód od Rzymu (przyp. tłum.).

Rozdział dziewiąty

Mimo że mieszkanie Tancrediego było większe i bardziej komfortowe, to naszym gniazdkiem miłości stał się mój nieduży apartament. Robiłam zakupy i gotowałam tak często, jak się tylko dało. Staralam się kończyć pracę w Cinecittà wcześniej niż Tancredi, by jak najszybciej wrócić do domu i przygotować wszystko na jego powrót. Film, moja kariera, wymarzona przyszłość w zawodzie kostiumologa – wszystko zeszło na drugi plan i w tej chwili nie miało dla mnie znaczenia. Pierwszy raz zrozumiałam, jaką miłością darzyli się moi rodzice i że dla dziewczyny nie ma nic piękniejszego niż związek z ukochanym mężczyzną. Dochodziłam do tego okreśną drogą. Najpierw był swingujący Londyn, moja złość, którą wyrażałam w swoich projektach, a później czas, który spędziłam jako wolna kobieta. To było niezbędne, żebym mogła teraz rozkoszować się szczęściem w związku z Tancredim. Do tego działa się to w najpiękniejszym mieście świata. Nikt nam niczego nie narzucał i nic nas nie ograniczało. Byliśmy ogarnięci bezgraniczną miłością.

Los mi sprzyjał. W tym czasie dostałam propozycję, żeby wreszcie samodzielnie zająć się kostiumami i rekwizytami w filmie, wprawdzie nienależącym do arcydzieł, ale i tak byłam zadowolona. Był to melodramat o tajemniczo brzmiącym tytule *L'ultimo bacio*⁴⁵. Reżyser musiał oszczędzać na wydatkach, dlatego zatrudnił młodych, zaangażowanych ludzi, dzięki którym udało mu się zrobić film tanim kosztem. Po jednym spotkaniu dotyczącym omawiania kostiumów musiałam sobie radzić sama. Podeszłam do tego filmu tak, jakbym przygotowywała stroje do *Przeminęło z wiatrem*. Rysowałam i malowałam gotowe projekty do momentu, gdy reżyser uświadomił mi, że nie wystarczy na to ani czasu, ani pieniędzy. Pojechałam do miasta i w jedno przedpołudnie kupiłam wszystkie kostiumy.

W tym okresie Tancredi tryskał humorem i jak na osobę, która od wczesnego dzieciństwa była przygotowywana na to, by kierować w przyszłości losami swojej rodziny, był niezwykle swobodny. Wtedy jeszcze nie wiedziałam, że rolę bycia głową rodziny będzie odgrywał znakomicie. Gdyby nie te momenty szczęścia, pewnie nie udałoby mi się przetrwać nadchodzących lat. Tego rzymskiego lata Tancredi wydawał się najbardziej fascynującym i

wartym kochania mężczyzną, którego w późniejszych latach zabrakło. Gdyby nie ten wspaniały okres, nigdy nie odważyłabym się poślubić Sycylijczyka, a już na pewno nie jego. Byłam jednak bardzo zakochana, pełna ufności i przekonana, że nasze przyszłe życie będzie usłane różami. Kiedy jest się szczęśliwym, wydaje się, że to uczucie będzie trwać wiecznie. Niestety, tak się nie stało.

Tancredi czasami luźno rzucał uwagę, że gdy człowiek się ożeni, może w tym kraju zaoszczędzić na podatku. Zaczęłam poważnie się nad tym zastanawiać. Wyobrażałam sobie naszą wspólną przyszłość we Włoszech, oczywiście w Rzymie. Jednak nikt nie potrafi przewidzieć przyszłości, a na pewno nie ktoś, kto zamierza poślubić potomka rodu Lorenzów.

Pewnego przepelnionego szczęściem dnia Tancredi wyjął z torby obciążoną aksamitem szkatułkę i zaprezentował mi pierścionek zaręczynowy. Ujął moją dłoń i włożył go na mój palec.

– Nie zwlekajmy, Diano. Powiedz „tak”!

Nie znałam się wtedy na biżuterii, zobaczyłam więc tylko trzy duże niebieskie kamienie otoczone małymi białymi. Mimo swojej delikatności pierścionek wydawał się bardzo ciężki.

– Skąd go masz? – zapytałam.

– To część spadku. Ten pierścionek ma szczególne znaczenie dla mojej rodziny.

Gdybym wówczas wiedziała coś więcej o nieszczęściu tych ludzi, którzy nosili go przede mną, z pewnością zwróciłabym prezent.

– Będzie mi przeszkadzał przy wycinaniu materiału – powiedziałam.

– Możesz go nosić na drugiej ręce.

Tak też zrobiłam i uniosłam rodzinny pierścień Lorenzów w stronę światła, żeby mu się bliżej przyjrzeć.

– Spróbujemy, Diano? – spytał, mrużąc jak kocur.

Miał przy tym czarujący wyraz twarzy, więc nie umiałam mu czegokolwiek odmówić.

– Spróbujemy.

Tancredi podchodził do małżeństwa tak swobodnie, że i ja przestałam mieć wątpliwości. Następnym krokiem było poznanie jego rodziców. Poczekaliśmy do ostatniego klapsu na planie filmowym i wzięliśmy wolne.

Z niedużym bagażem wyruszyliśmy autostradą na południe. Zanim dojechaliśmy na Sycylię, nocowaliśmy w turystycznej miejscowości Ravello, która jest położona wysoko nad klifami Morza Tyrreńskiego. Znaleźliśmy się w hotelu, z którego rozpościerał się cudowny i

panoramiczny widok na morze. Pod naszym oknem rosły egzotyczne kwiaty i palmy. Wybrzeże Amalfi nie nadaje się dla wędrowców, bo góry od strony morza są zbyt strome, ale trzeba przyznać, że nie widziałam dotąd nic piękniejszego. Z tarasu, na którym Tancredi palił i jednocześnie mnie rozbierał, mogliśmy też obserwować zachód słońca.

Później przez miejscowość Maratea dotarliśmy do Kalabrii i od tej chwili jechaliśmy już tylko wybrzeżem. Na południowym krańcu włoskiego buta wjechaliśmy na prom i przeprawiliśmy się do Mesyny. W końcu znaleźliśmy się na wyspie. Pomyślałam wtedy, że trudno będzie zrobić karierę, mieszkając w miejscu, gdzie wokół jest tylko woda.

Wierzchołek Etny był spowity dymem, a szosa do Katanii była niezłej jakości. Makia, która zdominowała krajobraz na wielu odcinkach, przechodziła w dziko rosnące kaktusy tworzące niekiedy większe skupiska i zaskakujące swoją wielkością. Po różnorodności starych fortec i zamków wzdłuż wschodniego wybrzeża można było się zorientować, że Sycylią rządziło wielu różnych najeźdźców, którzy pochodzili zazwyczaj ze Wschodu. Tancredi był ciekawy moich wrażeń, bo byliśmy na jego ukochanej Sycylii, w kraju przodków, różniącej się od kontynentalnych Włoch. Sycylijczycy przywiązywali ogromną wagę do tego, że ich wyspa jest autonomiczna i inna niż reszta świata.

Gdy wjechaliśmy w głąb lądu, drogi były coraz gorsze. Wkrótce pola zbóż stały się dominujące w krajobrazie. Przez długi czas nie widać było nawet jednej wsi, żadnego domu, tylko pola. Zboże rosło wysoko, a między nim można było zauważyć pojedyncze dęby korkowe. Wraz z odmiennym krajobrazem zmienił się także mój nastrój. Stałam się spokojna i poważna, co było nietypowe. Temperatura sięgała czterdziestu stopni, dlatego po drodze nikogo nie spotkaliśmy. Tancredi zamknął dach, żeby uchronić nas przed upałem i ostrym słońcem. Wydawało mi się, że ta wysoka temperatura odebrała światu barwy. Trawa była żółta, a liście szare od ulicznego kurzu. Od kwietnia do października rzadko padał tu deszcz. Ziemia była bardzo wysuszona. Czerwone dachówki stanowiły jedyne jaskrawe elementy w krajobrazie. W miejscach, gdzie ziemia nie była sztucznie nawadniana, wszystko było spalone przez słońce. Chyba zbliżaliśmy się do Monteleone, bo Tancredi zaczął przyspieszać.

– Daj mi znać, gdy wjedziemy na tereny należące do twojej rodziny – poprosiłam.

– Już od jakiegoś czasu jesteśmy na rodzinnym terenie – stwierdził i podekscytowany nacisnął klakson.

Patrzyłam na niego i podziwiałam jego radość związaną z powrotem do domu.

– To wszystko należy do was? – spytałam i jednocześnie wyciągnęłam rękę przed siebie.

– Od stuleci nie robimy nic innego jak powiększanie naszego obszaru – odpowiedział nonszalancko.

Nie mogłam tego zrozumieć.

– W takim razie jesteście królami okolicy.

– Poznałaś mojego ojca. Czy tak wygląda król? – zapytał i się uśmiechnął.

– Królem jest ktoś, kto każe przychodzić do siebie – stwierdziłam po chwili. – Podczas naszego wspólnego spotkania twój tata ani razu nie zwrócił się do kogoś, a wszyscy zwracali się do niego.

Tancredi się roześmiał.

– Gdy przyjdzie moja kolej, będę starał się zachowywać dokładnie tak samo.

Chyba pierwszy raz zdałam sobie sprawę, że nasz czas spędzony w Rzymie nie będzie trwał wiecznie.

– Tam, tam na dole! – wykrzyknął.

Zbliżaliśmy się do Monteleone. To stara osada wzniesiona wokół greckiej twierdzy.

Prawie z każdego punktu było widać morze. Na dole znajdował się mały port o nazwie Marina di Monteleone. Obecnie miasto jest oddzielone od mariny trasą szybkiego ruchu. Wówczas port był naturalnie połączony z winnicami i gajami oliwnymi. Pod wpływem słońca krajobraz i budynki pokryły się fioletem i złotem. Zamek, stare kościoły, domy przypominające czasy średniowiecza – wszystko robiło niesamowite wrażenie. Miejsce wydawało się pełne tajemnic, a jednocześnie popadające w ruinę. Można je było porównać do fresku z czasów, gdy malarze nie stosowali jeszcze perspektywy. Wszystko było dość płaskie, nijakie i ustawione blisko siebie. Moja Sycylia i moje Monteleone kojarzą mi się dzisiaj z drzeworytem.

Dotarliśmy do ruin łuku triumfalnego, który pozostawili miastu starożytni Rzymianie.

Chwilę wcześniej Tancredi skręcił w starą, brukowaną ulicę, która przekształciła się w aleję. Dęby korkowe rosły wzdłuż drogi, a tuż za nimi rozciągały się gaje oliwne. Odcinek był tak wyboisty, że nieduży samochód podskakiwał na każdym kamieniu.

– Jestem pe-pewna, że u-ulicę wybu-budowali starożytni Rz-rzymianie – powiedziałam z trudem.

– Jest nowa – stwierdził Tancredi i zwolnił. – Wydaje mi się, że została położona w połowie dziewiętnastego wieku. Mama zastanawia się, czy nie położyć na niej asfaltu.

– Je-jestem w sta-stanie ją zrozumieć.

Zaniemówiłam na widok ogromnej ilości kwiatów. Zdałam sobie sprawę, jak bardzo urodzajna byłaby ta ziemia, gdyby dostawała wystarczającą ilość wody. Drzewa magnolii i hibiskusa, oleandry i bugenwille były tak gęste i wysokie, jakby chciały zasłonić cały dom. Kwiaty były czerwone i fioletowe. Lekko falowały pod wpływem delikatnego wiatru. Zapach brzoskwiń ciągnął się aż do samego domu, a owoce miały wielkość pomarańczy. W środku znajdował się trzypiętrowy palazzo, niezbyt luksusowy, ale będący w centrum, z którego wszystkim zarządzano. Fasada naśladowała kolor piasku pustyni, który wiatr przywiał z południa. Pośrodku rezydencji znajdował się centralnie położony balkon, zupełnie jakby członkowie rodziny Lorenzów stawali na nim podczas ważnych okazji i pozdrawiali z niego swoich gości. Wszystkie okna były zasłonięte drewnianymi okiennicami, co zapobiegało przedostaniu się gorącego powietrza do wnętrza domu. Pozostałe budynki stały ściśle obok siebie i można było się zorientować, że majątek nie jest tylko siedzibą rodziny, ale i gospodarstwem rolnym.

Tancredi zatrzymał się na zastawionym skrzynkami dziedzińcu i pomógł mi wysiąść z samochodu. Zdenerwowałam się, bo cała lepiłam się od potu, więc czułam się nieswojo. Przed wejściem stała Rozalia. Tancredi był po dwudziestce i drugi od końca z sześciorga rodzeństwa, więc obliczyłam, że jego matka powinna mieć ponad pięćdziesiąt lat. Ku mojemu zaskoczeniu przywitała nas urocza kobieta, która wyglądała bardzo świeżo. Pomyślałam wówczas o młodej piękności, z którą widziałam Tancrediego przy Koloseum – o jego siostrze Felicji. Rozalia miała bardzo kobiecą figurę, wysoko upięte włosy, a na sobie zieloną, lnianą sukienkę do kolan i buty na płaskim obcasie. Dostrzegłam niewiele zmarszczek wokół oczu. Jej twarz sprawiała wrażenie bardzo radosnej. Zastanawiałam się, dlaczego ta piękna kobieta cieszyła się, że jej syn sprowadził do domu angielskiego wróbla. Sycylijczycy nie są zbyt wysocy, ale przy matce Tancrediego wydawałam się wyjątkowo drobna i niska. Moje proste, krótko ostrzyżone włosy przypominały mech, zupełnie nie tak jak jej włosy, które były gęste i ciemne.

Wyciągnęła do mnie ręce. Jej dłonie wydawały się mocne i spracowane. Na jednym palcu dostrzegłam dość skromną złotą obrączkę.

– Witajcie, kochani. Moja śliczna. Musicie być potwornie zmęczeni – powiedziała i mocno przytuliła mnie do piersi.

Za Rozalią przyszedł Calogero. Przywitaliśmy się jak starzy, dobrzy znajomi. Młodzi

mężczyźni w białych koszulach wnieśli do środka nasze bagaże. Niektórzy z krewnych byli już na miejscu – dwie ciotki i siostrzeniec. Inni mieli się pojawić wieczorem.

Tancredi przywitał się z rodzicami, a po chwili, gdy zobaczył, że się rozglądam, wziął mnie za ramię i wprowadził do swojego rodzinnego domu.

45 Ostatni pocałunek (przyp. red.).

Rozdział dziesiąty

Następnego dnia obudziłam się w wielkim łożu sama. Tancredi spełnił prośbę swoich rodziców, żebyśmy zajęli oddzielne pokoje. To było o tyle śmieszne, że między nimi i tak znajdowały się wewnętrzne drzwi. Dla mnie było jasne, że wszyscy wiedzieli, iż noce przesypiamy w jednym łóżku. Leżałam w koszulce i krótkich spodenkach. Wskoczyłam z pościeli. Wewnętrzne okna były otwarte, a okiennice zamknięte. Popchnęłam je i z ust wyrwał mi się zdławiony jęk. Nie mogłam uwierzyć w to, co zobaczyłam. Za oknem po prostu był raj! Wyciągnęłam rękę, by z gałęzi drzewa wchodzącej niemal do wnętrza sypialni zerwać brzoskwinie – moje pierwsze śniadanie w cudownej krainie.

Usłyszałam ciche skrzypnięcie. To Tancredi w samych bokserkach otworzył drzwi wewnętrzne. Później kochaliśmy się tak cicho, jak to było możliwe. Po jakimś czasie ubraliśmy się i zeszliśmy na dół. W tym kraju śniadanie raczej nie należało do najważniejszych posiłków. Rano nie zjadłam zbyt dużo, ale za to wypijałam gęstą i mocną kawę. Głupio mi było cokolwiek jeść, bo nikt oprócz mnie nie miał ochoty na śniadanie. Mimo to po kryjomu schrupałam maślaną bułeczkę.

Gdy siedzieliśmy przy stole z resztą rodziny, wszyscy chcieli wiedzieć, jak minęła nam podróż i co ciekawego słyhać w Rzymie. Bez przekonania zaczęłam opowiadać o swoim życiu. Członkowie rodziny bez skrępowania zadawali mi wiele pytań. Ale cokolwiek bym powiedziała, i tak od razu i serdecznie by mnie przyjęli, bo byłam wybranką Tancrediego.

W planie była krótka wycieczka po wyspie, na którą chętnie się zgodziłam. Calogero i Rozalia w zwyczajny sposób próbowali mi pokazać swoje posiadłości. Podczas tej wycieczki zrozumiałam, co to jest prawdziwe bogactwo. We Włoszech jazda przez gaje oliwne nie jest niczym nadzwyczajnym, ale niekończące się plantacje oliwek to już jest coś niewyobrażalnego. Od głównej ulicy rozgałęziały się szutrowe drogi, po których bez problemu jeździły traktory.

– Nie wszystkie oliwki są zrywane ręcznie – wyjaśnił Tancredi i dyskretnie muskał palcami moją szyję. – Niektóre spadają pod wpływem wiatru, inne zrywamy za pomocą maszyn. Po prostu ucina się wielkie gałęzie pełne owoców. Ale najczęściej... – stęknął i wskazał na swój

kręgosłup. – Parę razy zdarzyło mi się pomagać. Po takim dniu plecy i ramiona odmawiają posłuszeństwa.

– Jakoś ci to nie zaszkodziło – powiedziała Rozalia, roześmiała się i dodała gazu.

Siedzieliśmy w wygodnym i niepozornym samochodzie typu kombi. Lorenzowie nie obnosili się ze swoim bogactwem. Gdyby ktoś spojrział na nas z boku, rodzice Tancrediego wyglądali jak starsze małżeństwo na przejażdżce z przyjaciółką swojego syna.

Po plantacji oliwek przysła kolej na... migdały, wino i cytryny. To było niesamowite! Wszystko rozciągało się na wielkim obszarze i było świetnie zagospodarowane. Zwiedzanie plantacji i innych dóbr ziemskich Lorenzów zajęło nam całe przedpołudnie. Tylko raz wysiedliśmy z samochodu. Matka Tancrediego ze swoistą skromnością próbowała bagatelizować swoje bogactwo, ale nie umiała ukryć dumy płynącej z tego, że mieszka w tak cudownym kraju.

– My, Sycylijczycy, uprawiamy ponad połowę włoskich owoców – powiedziała.

Na obiad pojechaliśmy do osterii⁴⁶. Calogero bez słowa przywitał się z gospodarzami. Rozalia stała dwa kroki za mężem. Tancrediemu gratulowano narzeczonej.

– Auguri! Auguri! – krzyczano na powitanie.

Nie udało mi się jeszcze zrozumieć wszystkiego, może dlatego, że często mówiono w dialekcie sycylijskim, ale krótkie słowa typu sposa⁴⁷ rozumiałam od razu. Zdawałam sobie sprawę, że przyjechałam tu w oczywistym celu i oficjalnie pełniłam funkcję narzeczonej.

Po obiedzie rodzice Tancrediego bardzo się spieszyli. Szybko wsiedliśmy do samochodu i wróciliśmy do domu. Każdy poszedł do swojego pokoju. Zapanował spokój. Mimo że już od jakiegoś czasu mieszkałam w Rzymie, to nie potrafiłam jeszcze poddać się sjeście. W Cinecittà nie można było sobie pozwolić na parogodzinne leniuchowanie po pranzo⁴⁸. A tu musiałam znieść trzygodzinną przerwę. Leżałam na swoim łóżku, nie mogąc zmrużyć oka, i przez otwarte drzwi słyszałam regularny oddech mojego ukochanego. Dziwne, ale mimo tych wszystkich pięknych wrażeń w jego rodzinnym domu czułam się obco, gorzej niż w jakimś przypadkowym hotelu. „To tylko wizyta. Jeszcze kilka dni i będzie po wszystkim” – myślałam, próbując się pocieszyć.

Ale mimo to rzucałam się niespokojnie na łóżku i ustawiałam wentylator na najwyższe obroty, bo ciągle było mi duszno. Chyba najbardziej bałam się wejścia w rolę, od której uciekałam, i w rodzinę, która dla innych była czymś naturalnym, a dla mnie czymś sztucznym. Zanim zeszlśmy na dół na kawę, mieliśmy jeszcze chwilę dla siebie.

– Nie zdradziłeś mi jeszcze, gdzie chciałbyś mieszkać, kiedy się pobierzemy... – zaczęłam rozmowę.

– Mieszkać? – powtórzył po mnie.

– No tak. To znaczy nie tu, tylko w Rzymie – powiedziałam i poprosiłam, żeby zapiął mi suwak.

– Rzym, tak. Myślę, że Appia Antica byłaby odpowiednia, jeśli nie będzie tam zbyt drogo.

– W ciągu kilku minut można dostać się stamtąd do Cinecittà – oznajmiłam z radością.

Nie miało to dla mnie większego znaczenia, jaką dzielnicę czy ulicę zaproponuje. Ulżyło mi, że Tancredi również chciał zamieszkać w Rzymie.

– Appia Antica byłaby idealna – stwierdziłam szybko i go pocałowałam.

Późnym popołudniem wszyscy poszliśmy nad morze. Marina przylegała do zatoki, a mały port służył głównie do celów turystycznych. Tylko prywatni rybacy trzymali tam swoje łodzie. Dalej, gdzie mogły się zatrzymywać również duże statki, di Lorenzowie wskazali ogromny kuter. Z tyłu znajdował się stalowy trzpień, który służył do wciągania sieci.

– Tam jest większość naszych statków – powiedziała Rozalia, pokazując wschód, gdzie mogła znajdować się Gela – jeden z największych portów handlowych na Sycylii.

– Jakie ryby łowicie? – zapytałam.

– Tuńczyki, sardynki, sardele, ale również kraby, langusty i homary.

Calogero pokazał ręką coś spiczastego przed swoim nosem.

– Miecznik. Byłabym zapomniała – powiedziała z uśmiechem Rozalia.

Gdy zrobiło się chłodniej, zaczęliśmy spacerować po plaży. Z przyjemnością patrzyłam, jak ojciec i syn usiedli na piasku i zdjęli buty. Podpierali się wzajemnie, idąc po kamieniach rozgrzanych od słońca. Rozalia szła w pewnym oddaleniu od wody. Jak się później dowiedziałam, nie umiała pływać i z tego powodu nigdy nie kąpała się w morzu.

Wróciliśmy do domu, gdzie czekali na nas pozostali krewni. Kobiety gotowały w domu, a cena⁴⁹ zaczęła się o dziewiątej i trwała aż do północy. Przy stole zebrało się prawie pięćdziesiąt osób, a wśród nich – wujkowie, ciotki, bliźni i dalsi kuzyni oraz gruby mężczyzna o nieruchomych oczach, który był administratorem. Nie zabrakło również starych kobiety, młodych matek, ślicznych i grubych dzieci, nastolatków, świeżo poznanych ze sobą par, pięknych mężatek, przyjaciółek mężatek, notariusza rodziny Lorenzów, adwokata, geodety. W Wielkiej

Brytanii dla tylu gości to już byłaby wielka i zorganizowana impreza, a tu była zwyczajna rodzinna kolacja.

Przyszedł czas na poznanie Angielki. Byłam nieśmiała i sztywna, bardzo brytyjska. Czułam się nieswojo we własnym ciele i w swojej sukience. Zazdrościłam kobietom ich bujnych, gęstych włosów, bo mnie się wydawało, że przy nich wyglądam jak potargany ptak. Od czasu do czasu Tancredi rzucał mi spojrzenie, które miało mnie podnieść na duchu. Oznaczało ono, że wszystko jest dobrze i rodzina mnie pokochała.

Nagle do jadalni weszła siostra Tancrediego, ta sama, której pojawienie się w Rzymie tak nieopatrnie kiedyś rozumiałam. Podeszła i mnie objęła.

– Nareszcie możemy się poznać – powiedziała i chwyciła mnie za rękę. – Jaka ty jesteś śliczna. Prawda? – zwróciła się do zgromadzonych. – Połknęli cię już ze skórą i z włosami?

– Jeszcze jestem cała – odparłam.

– Tak? To dobrze.

Felicja była jedyną z czterech sióstr, która jeszcze nie została wydana za mąż.

Dziewczyny z południowych Włoch były jak piękne kwiaty, ale tylko do dnia swojego ślubu. Gdy zostawały żonami i na świat przychodziły ich pierwsze dzieci, piękne i młode dziewczyny nagle stawały się grubymi i nieatrakcyjnymi kobietami. Metamorfoza z Wenus w Demeter⁵⁰ wydawała mi się charakterystyczna, ale jednak smutna.

Jeszcze wolna Felicja studiowała politologię i mieszkała ze starą ciotką w domku nad morzem. Jedyńm mężczyzną był tam Guido, koń Felicji. W Rzymie siostra Tancrediego pracowała w kancelarii adwokackiej, chociaż jej marzeniem była walka o prawa dla kobiet. Felicja dokonała małego cudu. Dzięki jej obecności ten wieczór zupełnie się dla mnie zmienił. Zapomniałam, że byłam obserwowana i nie rozumiałam dialektu, że nie smakowało mi ciężkie wino i miałam dość rozmów. Zaczęłam się śmiać, dałam się ponieść i uznałam, że to wspaniałe. Powtarzałam sobie, że to Sycylijczycy, a ich sposób bycia różnił się nie tylko od tego w Anglii, ale nawet w Rzymie. Ludzie byli tu prostolinijni, szczerzy, prawdziwi i cieszyli się życiem. Czy mogłam życzyć sobie czegoś więcej niż mężczyzny, który przychylił mi nieba, chciał mi podarować swoje nazwisko i przewagę nad innymi lokalnymi żonami? Po krótkiej chwili uświadomiłam sobie, że znalazłam się w bardzo komfortowej sytuacji i zaczęłam się rozkoszować tym, co się wokół mnie działo. Czułam zainteresowanie Felicji, dumę Tancrediego i aprobatę jego uśmiechniętych rodziców. Wreszcie cudownie się bawiłam.

46 Gospoda, karczma (wł.).

47 Panna młoda (wł.).

48 Obiad (wł.).

49 Kolacja (wł.).

50 W mitologii greckiej bogini płodności, urodzaju, ziemi uprawnej, zbóż, rolnictwa (przyp. tłum.).

Rozdział jedenasty

Przygotowania do wesela zupełnie nas pochłonęły. Było wiele do zrobienia, ale wszystko szło sprawnie. Okazało się, że nawet w kraju, gdzie rosną cytryny i wszelkie wydarzenia świętuje się z ogromnym rozmachem, króluje jeszcze tradycja, że zaślubiny powinny się odbywać w ojczyźnie panny młodej. Zatem zgodnie ze zwyczajem postanowiliśmy wziąć ślub w Manchesterze.

Przez te wszystkie lata spędzone w Rzymie odwiedzałam moich rodziców raczej z poczucia obowiązku. Zazwyczaj podczas świąt. Mój ojciec sprzedał fabrykę guzików, ponieważ nie było w rodzinie nikogo, kto chciałby przejąć po nim interes i kierować zakładem. Rodzice byli już na emeryturze i niczego im nie brakowało, może poza wnukami. Cieszyli się, że postanowiłam się usatkwować, bo przedtem nawet nie odważyli się o tym marzyć. Nie komentowali tego, że zamierzałam wyjść za mąż za obcokrajowca. Największym problemem stała się kwestia wyznania. Ani ja, ani Tancredi nie uważaliśmy tej sprawy za zbyt istotną, ale rodzice się uparli. Oznaczało to mnóstwo formalności i przetłumaczenie dokumentów na dwa języki. W okolicy mojego rodzinnego domu nie było ani jednego katolickiego kościoła, dlatego ślub musiał się odbyć według obrządku anglikańskiego. Mimo że wszyscy byliśmy chrześcijanami, różnice między naszymi kościołami były duże. Głównie chodziło o przyszłe dzieci. W katolickim kościele Tancrediego nie zezwalano na to, by można było usunąć nienarodzone dzieci. Dlatego potrzebował dyspensy z Rzymu, by poślubić anglikankę. A ja musiałam poddać się katolickiemu przesłuchaniu. Odbyło się ono w biurze diecezji w bazylice świętego Jana na Lateranie⁵¹. Zza biurka otyły prałat próbował wymusić na mnie deklarację, że będę wychować swoje przyszłe dzieci w wierze katolickiej lub pozostawię wychowanie religijne mojemu mężowi. Zgodnie z regulaminem poinformował mnie, że mogę odmówić, ale wówczas sprawa zostanie poddana dalszym procedurom. Wiedziałam, że w kościelnym urzędzie takie sprawy mogły trwać latami, więc od razu na wszystko się zgodziłam. Jednocześnie poczułam się jak nic nieznacząca istota, która właśnie doznała łaski bożej.

Tancredi był w tym czasie miły, czuły, zrelaksowany i chyba bardzo szczęśliwy. Gdy

nachodziły mnie różne wątpliwości, jego pewność i zdecydowanie dodawały mi otuchy i wierzyłam, że wszystko się uda.

Postanowiliśmy pobrać się w kościele w ładnym otoczeniu, dlatego musiał to być kościół spoza mojej parafii. Mój ojciec wykazał się dobrym gustem, gdyż wybrał malowniczy, wiejski kościółek w Lake District⁵², nieopodal hotelu, w którym zamieszkali wszyscy goście. Oprócz teściów wśród rodziny Lorenzów były siostry z mężami i wielka gromada dzieci.

Ponowne spotkanie z Felicją sprawiło mi ogromną radość. Była jedyną osobą, która mówiła po angielsku. Właśnie z powodu bariery językowej Włosi i Brytyjczycy podzielili się na dwie frakcje i te trzy dni świętowali oddzielnie, mimo że próbowali się porozumieć za pomocą gestów. Staralam się pośredniczyć w niektórych rozmowach, ale nie mogłam być przy wszystkich. Głuchoniemy Calogero był chyba wówczas najszcześliwszy, bo mógł milczeć, a i tak nie dało się go nie zauważyć.

Mimo że moi teściowie chcieli uchodzić za światowców, to tak naprawdę sprawiali wrażenie zagubionych, nieradzących sobie w danej sytuacji i prowincjonalnych. Ich wielkość, która zaskoczyła mnie podczas kilkudniowego pobytu na Sycylii, zniknęła. Większość czasu spędzali w grupie najbliższych i rozmawiali mniej emocjonalnie niż w domu. Zamiast donośnych głosów słyhać było jedynie szepty. Nie rozumieli angielskich zwyczajów i tak naprawdę wcale nie chcieli ich poznać.

Niedługo po zameldowaniu w hotelu, w porze picia angielskiej popołudniowej herbaty, podano małe kanapki, które miały być przekąską przed obiadem. Dorośli Sycylijczycy znudzeni przeżuwali kanapki z ogórkiem, a dzieci zaczęły płakać. Najpierw sprawa została poruszona jedynie w kręgu Włochów, a po chwili ktoś do mnie podszedł i oznajmił:

– Dzieci chcą pastę.

Oczywiście w północnej Anglii słyszano już wówczas o spaghetti, ale nie było go w menu hotelowej restauracji. Kucharz i dyrektor hotelu mieli dylemat, bo nie wiedzieli, jak spełnić życzenie obcokrajowców. Do najbliższego miasta został wysłany goniec, który miał zdobyć makaron. Gdy goniec wrócił do hotelu, kucharz wstawił wodę i zaczął gotować pastę. W ostatniej chwili udało mi się zapobiec kolejnej katastrofie, bo kucharz chciał ulepszyć według niego nudną potrawę i dodać miejscowego sosu. Teściowa cały czas mnie pospieszała i jednocześnie tłumaczyła zachowanie wnuków:

– To włoskie dzieci. One potrzebują pasty.

Podczas przyjęcia Rozalia niechętnie sprawiła również przykrość moim rodzicom. Moja matka zamówiła obfity bufet, półmiski i salaterki. Potrawy na ciepło i zimno wypełniały całą salę. Rozalia była przyzwyczajona do rozrzutnych przyjęć, jakie odbywały się w jej ojczyźnie. W Anglii stawało się z małymi talerzykami, na które nakładało się małe porcje, skubiąc po trochu i jednocześnie rozmawiając. Na Sycylii do posiłku zasiadało się przy suto zastawionym stole. Dlatego nieświadoma Rozalia wielokrotnie napelniała swój talerz, próbowała przekąsek od innych, aż w końcu zapytała moją matkę, kiedy zostanie podane danie główne. Mama zrobiła się błąda, przeprosiła ją drżącym głosem i opuściła salę, żeby wyzalić się mojemu ojcu. Dla Rozalii bufet oznaczał jedynie przystawkę. Sycylijczycy nie mieli pojęcia o angielskiej kuchni i – delikatnie ujmując – uważali ją za specyficzną. Aby z twarzą wyjść z tej przykłej sytuacji, wiele razy trzeba było podawać makaron, bo dzieci głośno mówiły, że nic im nie smakuje.

A jak było na ceremonii ślubnej? Dla każdej kobiety to prawdopodobnie najszcześniejszy dzień w życiu. Ale dla mnie to była przereklamowana, żalosna i niemająca nic wspólnego ze świętością uroczystość. Wikary wiele się natrudził, żeby umieścić niesfornych Włochów na właściwych miejscach. Musiał wypraszać ich z pierwszych ław, bo te były zarezerwowane dla gości panny młodej. Ale Sycylijczycy nie chcieli się rozdzielać i nalegali, że chcą siedzieć razem. Jeszcze przed podejściem do ołtarza musiałam wyjaśniać obydwu rodzinom, gdzie powinny usiąść, bo chyba doszłoby do kłótni. Wielokrotnie pośredniczyłam między upartym wikarym a nieustępliwymi nowymi krewnymi. Ewidentnie urażeni wreszcie wszyscy usiedli w ciszy. W końcu jednak przyszedł ten moment, gdy wzięłam ojca pod rękę.

– Mogło być gorzej – stwierdził tata, który był zazwyczaj rzeczowy. – Skarbie, jesteś gotowa?

Ścisnęłam go za ramię.

– Jestem gotowa – odpowiedziałam.

Z rozstrojonych organów wydobył się wzruszający dźwięk i zrobiłam pierwszy krok w stronę nowego życia.

51 Katedra biskupa Rzymu, jedna z czterech większych bazylik (przyp. tłum.).

52 Obszar w północno-zachodniej Anglii. Jedno z najpopularniejszych miejsc wypoczynkowych w Wielkiej Brytanii. W centralnej części obejmuje Park Narodowy Lake District (przyp. tłum.).

Rozdział dwunasty

Miesiąc miodowy był zwyczajny – ani magiczny, ani nierozczarowujący. Te wspólnie spędzone chwile były czasem wytchnienia przed trudami życia małżeńskiego.

Gdy na początku naszego miesiąca miodowego spędziliśmy kilka dni w Londynie, odwiedzili nas teściowie. Pokazałam im najbardziej znane zabytki, którymi się zachwycali, ale miałam wrażenie, że robią to na pokaz albo żeby nie zrobić mi przykrości, bo najchętniej szybko wróciliby na swoją wyspę. Londyn pokazał się z jak najlepszej strony, bo było ciepło i słonecznie. Mimo że był dopiero początek września, Calogero miał na sobie zimową kurtkę i stale trząsał się z zimna. Nadal problemem dla moich teściów było jedzenie. Nawet wtedy, gdy specjalnie dla nich wynajdywałam włoskie knajpki, i tak nie mieli zaufania do Włochów, którzy otworzyli swój lokal na obczyźnie.

Któregoś dnia dałam wolną rękę Sycylijczykom i spotkałam się z przyjaciółmi. Z nostalgią odwiedziłam moje atelier w piwnicy na Lecky Street, gdzie znajdowała się teraz pralnia samoobsługowa. Patryk nie miał już prawie ani jednego włosa na głowie, zrobił się okrągłutki, ożenił się i był ojcem trójki dzieci, ale nadal miał smykałkę do interesów. Pogratulował mi i zbagatelizował moje różne wątpliwości. Gawędziliśmy wesoło, jakby od naszego ostatniego spotkania minęło kilka dni. Dokładnie tej swobody i naturalności brakowało mi w rozmowach z Tancredim. Byliśmy zakochani, łączyła nas wielka namiętność, a jednocześnie należeliśmy do dwóch różnych światów. Po spotkaniu z Patrykiem pomyślałam, że chciałabym po jakimś czasie tak samo przyjaźnić się z Tancredim. W końcu miałam z nim spędzić resztę życia. Martwiłam się, co będzie, gdy któregoś dnia namiętność się wypali i minie fascynacja.

Byliśmy potrzebni w Cinecittà, więc nie mogliśmy sobie pozwolić na dłuższą podróż. Polecieliśmy na tydzień do Kairu. To był pomysł Tancrediego. Dopiero później domyśliłam się, dlaczego obrał ten kierunek. Kair to miasto mężczyzn. Kobieta była tu na drugim planie. Trudno mi to było pojąć, a tym bardziej zaakceptować, ponieważ zawsze byłam przeciwna takiemu podejściu. Natomiast Tancredi czuł się tutaj jak ryba w wodzie. Nawet specjalnie zapuścił wąsy, co miało być wyrazem poparcia tutejszej kultury. Nie zapytał mnie, czy będzie mi to

przeszkadzać. A szkoda, bo mnie nie podobał się ten pomysł. Sztywny zarost drażnił moją skórę przy każdym pocałunku. Poza tym byłam przerażona szybką metamorfozą Tancrediego – ze szlachetnego sycylijskiego mężczyzny przeobraził się w tureckiego straganiarza. Nosił czapkę z daszkiem i zmuszał mnie, żebym codziennie chodziła z nim na bazar w poszukiwaniu okazji. Prawie żadna z tych kupionych rzeczy nie była nam potrzebna i po powrocie stała miesiącami w moim mieszkaniu, zanim jej nie wyrzuciłam. Dzięki temu łowieniu okazji zauważyłam u Tancrediego nieznaną cechę charakteru – cieszył się jak dziecko, gdy targował się o jakiś śmieszny artykuł, dopóki nie dopiął swego. Później patrzył na mnie radosnym wzrokiem, jakby chciał powiedzieć: „Zobacz, znowu mi się udało?”. Drażniło mnie to.

I tak kolejny mosiężny talerz oraz pokryta miedzią waza stały się naszą własnością. Tancredi najbardziej był dumny z siebie i cieszył się jak mężczyzna po udanym polowaniu po sporze, w który wdał się z pewnym muskularnym Arabem, który sprzedawał obrusy. Po otrzymaniu licznych ofert konkurencji i poznaniu cen innych sprzedawców, którzy obścapił nas z każdej strony, do Tancrediego podbiegł jakiś mężczyzna.

– Pan jest silny, bardzo silny. Proszę się ze mną siłować na rękę. Jeśli pan wygra, sprzedam panu obrus po pana cenie. Jeśli ja wygram, to zapłaci pan taką cenę, jaka jest na tabliczce – zaproponował.

Tancredi się zgodził. Po pierwsze, zabawy siłowe były we krwi każdego Sycylijczyka, a po drugie, chciał mi w ten sposób zaimponować. Sprzedawcy przynieśli stół, a któryś z nich natychmiast zaczął przyjmować zakłady. Wszyscy w okolicy zamknęli swoje budy, żeby oglądać pojedynek na rękę. Wokół przybywało ludzi. Tancredi ustawił mnie blisko siebie, zupełnie jakbym to ja miała być nagrodą. Mój mąż i jego przeciwnik podciągnęli rękawy, ustawili łokcie blisko siebie i zacisnęli dłonie gotowi do siłowania. Ich miny były zdecydowane i zacięte. Jakiś starzec dał znak i walka się rozpoczęła. Dla mnie wyglądało to tak, jakby obydwaj mężczyźni zamarli. Siedzieli naprzeciwko siebie i trzymali się za ręce. Tylko po napiętych żyłach na skroniach można się było zorientować, że jest to dla nich ogromny wysiłek. Przy tym muskularnym sprzedawcy Tancredi sprawiał wrażenie mizernego, dlatego handlarz myślał, że pójdzie mu z nim bardzo łatwo, i był zaskoczony jego siłą. Szkoda, że nie wiedział, iż Tancredi jako dziecko złamał sobie lewe ramię i po zrośnięciu regularnie je ćwiczył, więc ta ręka była mocniejsza niż przed wypadkiem. Walka zapowiadała się na długą. Mężczyznom splotywały się po twarzach pot. Zaciśnięte pięści raz przechylały się w jedną, raz w drugą stronę. Siłujący się Arab

w końcu chyba zdał sobie sprawę, że tym razem trudno mu będzie wygrać i sprzedać swój towar po narzuconej przez siebie wysokiej cenie. Tracił nie tylko nadzieję na zwycięstwo, ale także siłę do dalszej walki, bo z każdą chwilą Tancredi coraz mocniej przyciskał jego rękę, a ona coraz niżej opadała, aż w końcu została powalona na stół. Podniósł się wrzask. Wszyscy gratulowali zwycięzcy z obcego kraju wygranej i z uznaniem klepali go po plecach. Wygniecione banknoty wędrowały z ręki do ręki. Sprzedawca obrusów był podobno czempionem w siłowaniu się na rękę i do tej pory nikt go nie pokonał. Dlatego z wielkim trudem przyjął porażkę i podarował Tancrediemu obrus. Zaraz po tym dostaliśmy kilkanaście propozycji pójścia na kawę od ludzi, których nigdy wcześniej nie widzieliśmy.

Ten dzień dał mi do myślenia. Poznałam mojego męża od zupełnie innej strony. Do tej pory wydawał mi się uzdolnionym rysownikiem, obeznanym w życiu młodym Sycylijczykiem, którego ubóstwiała i potrzebowała rodzina. A w Kairze zobaczyłam w nim zacieklego handlarza, fanatyka swojej męskości, którą chciał okazywać na każdym kroku. Jednak byłam za bardzo zakochana, by odpowiednio zinterpretować te niepokojące sygnały.

Przed powrotem do domu spędziliśmy jeszcze dwa dni na Krecie. W Grecji każdy czuł się bardzo swobodnie, więc jak wszystkie turystki całymi dniami chodziłam w kostiumie kąpielowym. Na szerokiej plaży pojawiała się wielu skąpo ubranych mężczyzn. Mogło się zdarzyć, że zamieniłam słowo z którymś z nich, ale to nie miało żadnego znaczenia. Mimo wszystko nasza wieczorna rozmowa dotyczyła właśnie tego tematu.

- On jest biznesmenem ze Sztokholmu, prawda? – zapytał nagle Tancredi.
- Kto?
- Ten blondyn.
- Blondyn?... A no tak. Już wiem, o kogo ci chodzi.
- Rozmawiałaś z nim – powiedział stanowczo.
- To była taka nic nieznacząca pogawędka – stwierdziłam zgodnie z prawdą.
- O czym? – dociekał.
- Tylko parę zdań.
- Mianowicie?
- Pytał, skąd pochodzę.
- Powiedziałaś, że jesteś tu ze swoim mężem? – zapytał i spojrzał na mnie badawczo.
- Mówię ci, że tylko parę sekund... – próbowałam mu wytłumaczyć, zanim mi przerwał.

- Mógł więc pomyśleć, że jesteś sama – oznajmił.
- Naturalnie, że nie. Przecież widział, że jestem tutaj z tobą.
- Czyli już wcześniej go tu widziałaś? Siedzi tam, prawda?
- Ze swoją żoną.
- Podobają ci się mężczyźni o jasnej karnacji?
- Nigdy się nad tym nie zastanawiałam – odpowiedziałam zdziwiona.
- Tak mi się wydaje.

Ukryłam się za kartą dań i zapytałam:

- Zamówimy coś?
- Rozmawialiście po angielsku? – drążył temat Tancredi.
- No tak, naturalnie.
- Dlaczego to jest takie naturalne?

Wlepił we mnie wzrok.

- Bo nie znam szwedzkiego – odpowiedziałam zaczepnie.
- Co ci opowiadał o sobie?

I tak mógł mnie przepytawać bez końca. Ale ja znowu zlekceważyłam to jego niepokojące zachowanie. Nie wiedziałam, że dla Tancrediego nie istniało coś takiego jak zaufanie. W swojej wyobraźni nieustannie widział mnie z innymi mężczyznami i miał obsesję na punkcie niewierności. Nie wiem, skąd u niego brała się ta potworna zazdrość. Według niego byłam niewierna w myślach, gestach i czynach. Mimo że znał dobrze mój charakter i nigdy nie dałam mu okazji do podejrzliwości, on mi nie ufał. Nie rozumiałam, dlaczego mężczyzna, który tak dobrze wyglądał i przez całe życie był adorowany przez wiele kobiet, nie wierzył w siebie. W chwili zazdrości zmieniał się również fizycznie – czarujące oczy nagle robiły się malutkie i świdrujące, a poza tym miał lekceważącą minę. Jego zazwyczaj ciepły głos przybierał szorstką barwę. Wieczór wypominania przeważnie kończył się milczeniem, cichym pójściem do pokoju, szybkim rozebraniem się i odwróceniem się do siebie plecami. Gdy starałam się jakoś go udobruchać, odbierał to jako wyraz moich wyrzutów sumienia i jeszcze bardziej był przekonany, że jego podejrzania nie były bezpodstawne.

Następnego dnia budził się w dobrym humorze, jakby wymazywał z pamięci wspomnienia z poprzedniego wieczoru, i znowu zachowywał się normalnie. Jednak, gdy przed południem szłam na plażę, a Szwed wyciągał rękę na powitanie, chowałam się w zatoczce

skalnej. Oczywiście po chwili tego żałowałam, bo tam Tancredi nie mógł mnie widzieć.

Cały czas naiwnie myślałam, że po powrocie do Rzymu będzie lepiej i Tancredi znów stanie się tym samym mężczyzną, którego pokochałam. Pracowaliśmy w tym samym miejscu, ja gotowałam, wieczorem razem siedzieliśmy na balkonie i byliśmy spokojnym małżeństwem. Wreszcie skończył się ten wyjątkowy okres, kiedy to braliśmy ślub, obchodziliśmy miesiąc miodowy czy gościliśmy teściów. Miałam nadzieję, że w codziennym i zwyczajnym życiu mój mąż będzie spokojniejszy i pewny tego, że nie ma się czego obawiać.

Rozdział trzynasty

Czas po ślubie, który spędziliśmy w Rzymie, był najpiękniejszy w moim życiu. Nie tylko dlatego, że byłam zakochana w swoim mężu, ale również dlatego, że wiodło mi się w życiu zawodowym, a to wszystko dawało mi pewność siebie. Film *L'ultimo bacio* wszedł do kin i spodobał się widzom. Udowodniłam sobie i innym, że mogę pracować sama i być za wszystko odpowiedzialna. Poza tym potrafiłam to robić przy ograniczonych środkach finansowych. Dlatego zaangażowano mnie do kolejnego filmu.

Poszukiwanie mieszkania okazało się trudniejsze, niż sądziliśmy. Podobał nam się apartament przy rzece, ale ściany były pokryte grzybem. W Appia Antica upatrzyliśmy sobie piętro w pięknej willi. Jednak wyszło na jaw, że mężczyzna podający się za właściciela był tylko jednym ze skłóconych spadkobierców. Poza tym wiele okazji ktoś sprzątnął nam sprzed nosa. Pracowaliśmy cały dzień, a dojazd z Cinecittà do innej dzielnicy był często niemożliwy. Gdy docieraliśmy do celu, oferty mieszkaniowe były nieaktualne. Zimą spodobał nam się piękny apartament z tarasem, ale musieliśmy odłożyć sprawy mieszkaniowe, bo matka Tancrediego przeszła zawał serca. Już od jakiegoś czasu miała problemy z krążeniem i brała lekarstwa. Lekarze kazali jej się oszczędzać, ale ona nigdy nie słuchała ich zaleceń. W związku z tym Tancredi natychmiast musiał się zaangażować w sprawy rodzinne.

Don Calogero przejął interesy i kierowanie rodziną po swoim ojcu don Vincenzo. Jednak nie było to takie proste, ponieważ Calogero był głuchoniemy. On i Rozalia byli małżeństwem kilkadziesiąt lat. Od chwili, gdy się pobrali, matka Tancrediego była nieoficjalnie głową rodziny. To ona pilnowała, żeby wszystko dobrze funkcjonowało. Było to o tyle skomplikowane, że Rozalia musiała udawać, że odgrywa drugoplanową rolę, żeby nie umniejszać zasług męża. Nigdy nie mogła okazywać, kto rządzi w rodzinie, bo w ten sposób osłabiłaby pozycję Calogera wśród krewnych. W majątku i należącym do niego domu zatrudniała wielu pracowników, między innymi Tommasa, który pełnił funkcję zarządcy. Jednak ani on, ani nikt inny, a już na pewno nie Calogero, nie byli w stanie zająć miejsca mojej teściowej. Ta piękna i rozważna kobieta nieoficjalnie podejmowała wszystkie decyzje i wszystkim kierowała.

W tym momencie była poważnie chora i leżała w klinice specjalistycznej w Katanii⁵³. Tancredi spodziewał się, że kiedyś nadejdzie ta chwila, kiedy to on będzie musiał przejąć obowiązki zarządzania majątkiem. Z początku ukrywał to przede mną i mówił, że to przejściowe. Zapewniał mnie, że będzie mieszkał w Rzymie, a jeździł na Sycylię. Naiwnie mu uwierzyłam. W tym okresie byłam tak zadowolona i szczęśliwa, kochałam Tancrediego i swoją pracę, że nie chciałam tego psuć i odsuwałam niepokojące myśli.

Można było się tylko cieszyć, że jeszcze nie zainwestowaliśmy pieniędzy w mieszkanie w Rzymie. Nowy film nie był jeszcze sfinansowany, więc nie przerażała mnie myśl nieoczekiwanego wyjazdu na Sycylię. Zostawiłam w Cinecittà mój sycylijski numer telefonu. Wtedy nie wiedziałam, że będzie to podróż w jedną stronę.

Z małym bagażem wyruszyliśmy w drogę. Tym razem nasza podróż nie miała nic wspólnego z wyjazdem do raj. Tancredi zamknął się w sobie i był zmartwiony, bo bał się o życie swojej matki. Gdy znaleźliśmy się w klinice w Katanii, zostawiłam Tancrediego samego z matką. Rozalia nie leżała już na oddziale intensywnej terapii, czuła się lepiej i za parę dni miała wrócić do domu. „Nie jest tak źle” – myślałam wtedy. Zastanawiałam się tylko, czy to się nie powtórzy.

Przekazanie synowi rodzinnych interesów było jedynie formalnością. Później moi teściowie mogli się już tylko cieszyć spokojnym życiem i służyć radą nowemu padrone. Zresztą ważnej decyzji nigdy nie podjął bez ich wsparcia, chociaż przed rodziną to właśnie on za wszystko odpowiadał.

Mój mąż był spadkobiercą rodzinnego majątku Lorenzów. Od dziecka był przygotowywany do tej ważnej roli i właśnie teraz nadeszła ta chwila. Rodzina go potrzebowała.

Przyjechaliśmy do odmienionego Monteleone. Nastąpiła zima i zupełnie zmienił się krajobraz. Południowi Włosi nie traktowali poważnie tej pory roku. Dla nich Sycylia była gorącą wyspą na Morzu Śródziemnym, gdzie nie było miejsca na zimę. Mimo to czuło się ją tutaj coraz wyraźniej. Powietrze było rześkie i wilgotne, a chłód długo się utrzymywał. Na Sycylii było ciepło zazwyczaj aż do Bożego Narodzenia. W styczniu przeważnie padał deszcz, luty można było jakoś przetrwać, a w marcu czuło się już ciepło.

A my przyjechaliśmy na wyspę właśnie w styczniu, który okazał się wyjątkowo zimny i deszczowy. Ludzie nosili grube kurtki i płaszcze, wychodzili na zewnątrz tylko wtedy, gdy naprawdę musieli. W domach panowała ogromna wilgoć, bo prawie w żadnym nie było

ogrzewania. W mniej zamożnych rodzinach znaleziono inny sposób na gromadzenie ciepła – pod stół wstawiano miednice wypełnione rozpalonym węglem, dzięki czemu każdy mógł sobie ogrzać stopy. W mniejszych domach włączano kuchenki.

Rodzina Lorenzów miała ogromny dom z okiennicami. Wewnątrz było dość ponuro – ściany i meble były ciemne, a podłoga kamienna, bez dywanów. Wprawdzie Anglia nie była szczególnie zimnym krajem, ale domy urządzano tak, aby były przytulne. W chłodnych murach domu należącego do rodziny Lorenzów zatęskniłam za brytyjską herbatą. Wspominałam chwile, kiedy mogłam siedzieć przy kominku. Poza tym w Anglii w mieszkaniach czy domach instalowano ogrzewanie gazowe. Przyjemnie chodziło się po domu, w którym dywany były grube i miękkie, w oknach wisiały zasłony, a na kanapach leżały poduszki. W takim miejscu można było zwinąć się w kłębek i przeczekać do wiosny.

W sycylijskim domu położyłam się do łóżka jako pierwsza. Dotknęłam materaca i poczułam, że jest cały mokry. Tancredi postawił w pokoju grzejnik elektryczny, ale wydawał on bardzo nieprzyjemny dźwięk, poza tym śmierdziało stęchlizną. Jednak, gdy tylko wyłączałam piecyk, to znów robiło się zimno. Starłam się tym nie przejmować, bo mieliśmy poważniejsze problemy. Do naszej dyspozycji pozostawało całe skrzydło domu, ponieważ trzy siostry Tancrediego wyprowadziły się zaraz po wyjściu za mąż. Ta część willi była utrzymana w lawendowej kolorystyce.

Wieczorem miała się odbyć pierwsza kolacja, podczas której nie byłam już gościem, ale członkiem rodziny. Przyjechały siostry ze swoimi mężami i z dziećmi oraz młodszy brat Tancrediego, Goffredo. Z powodu złego stanu zdrowia Rozalii atmosfera była bardziej poważna niż zazwyczaj, jednak z każdą godziną robiło się coraz weselej. Po kolacji Tancredi, jego ojciec i zarządca wrócili do interesów. Zostałam sama z resztą rodziny. Wieczór był bardzo miły. Siostry Tancrediego były uprzejme i próbowały nawiązać ciekawą rozmowę. Zajmowały się mną, a szczególnie Felicja. Nie były prowincjuszkami, tylko wykształconymi, ciepłymi i serdecznymi kobietami z dużym poczuciem humoru. To były piękne Sycylijki, które próbowały walczyć ze swoją nadwagą. Ich mężowie byli również uprzejmi, a wśród nich znajdowali się architekt, notariusz i przedsiębiorca budowlany.

Brat Tancrediego był dość przystojny. W rodzinie traktowano go jak czarną owcę, co wcale mu nie przeszkadzało. Miał włosy czarne jak smoła. Była w nim jakaś ukryta namiętność. W jego oczach dostrzegłam rzymskiego papagalli. Goffredo nie był wobec mnie bezczelny, ale

mimo wszystko sprawdzał, na ile może sobie pozwolić. Tancredi wcześniej mi o nim opowiadał, więc wiedziałam, że jego brat nigdy nie pracował ani się nie uczył. Nie starał się, bo i tak zdawał sobie sprawę, że wszystko mu wolno. Przecież należał do rodziny, której niczego nie brakowało, więc nie musiał się wysilać.

Mimo że dobrze wypadłam podczas tego wspólnego wieczoru, to nie mogłam sobie wyobrazić, że od dzisiaj będę codziennie widywać tych ludzi. Byłam jedynaczką. Nigdy nie czułam potrzeby posiadania dużej rodziny, ale los ze mnie zakpił. Teraz wokół mnie ciągle kręciło się mnóstwo ludzi. Co jakiś czas wracało do mnie pytanie, czym będę się zajmować w przyszłości. Przecież musiałam coś robić! Nie mogłam tak beczynnie siedzieć. W Cinecittà było tyle pracy, że nie wiedziałam, w co włożyć ręce. Ciągle brakowało mi czasu. Cały dzień biegałam od studia do studia albo po rzymskich butikach. Od samego początku żyłam w szalonym tempie. W Londynie musiałam szybko myśleć i być energiczna, żeby nikt przede mną nie wprowadził nowego trendu w modzie. W przemyśle filmowym czas liczył się jeszcze bardziej. A na Sycylii? Czas biegł inaczej. Wstawałam rano i od razu załatwiałam to, co sobie zaplanowałam. Już po południu było mniej zajęć i można było odpoczywać. Wszyscy delektowali się obiadem i rozmowami w trakcie posiłku, a później rozchodzili się na sjęstę. Wieczór zaczynał się od kawy, spaceru i gier towarzyskich. Przez dom przewijali się ciągle goście, stale ktoś wchodził i wychodził. Najważniejsza była kolacja. Uwielbiałam tę południową powtarzalność i od czasu do czasu mogłam się jej poddać, ale nie pozwoliłabym, żeby stała się moją codziennością.

Gdybym tego zimowego wieczoru wiedziała, że tak będzie wyglądać moje życie, z pewnością bym uciekła. A tak zupełnie nieświadomie piłam z innymi limoncello⁵⁴ za zdrowie Rozalii.

Było już po północy. Siostry pojechały już do swoich domów, a służba sprzątała ze stołu. Weszłam na drugie piętro, otworzyłam okno, by przewietrzyć pokój. Ustawiłam grzejnik w stronę materaca i rozpakowałam swoją torbę. Wyjęłam z niej blok do rysowania, pisaki i kolorowe kredki. Postanowiłam, że następnego dnia wykonam kilka projektów. W wyobraźni zobaczyłam siebie w pokoju obok siedzącą i rysującą przed rozpalonym kominkiem. Był to bardzo dobry plan. Nie czekałam na Tancrediego, bo przypuszczałam, że jego spotkanie się przedłuży. Włożyłam grubą bieliznę, piżamę i zawiązałam szalik wokół szyi. Materac nadal był wilgotny. Deszcz bębnił o dach, a ja nie mogłam usnąć.

53 Miasto i port na Sycylii u podnóża Etny (przyp. tłum.).

54 Włoski likier cytrynowy.

Rozdział czternasty

Nad ranem przestało padać. Ktoś przyniósł mi do pokoju śniadanie, kawę i placuszki migdałowe. Tancredi już wyszedł. Również i ja opuściłam lawendowe skrzydło domu. Moim codziennym zajęciem stało się wędrowanie po korytarzach, dzięki czemu poznawałam dużo tajemniczych zakamarków. Jednak często gubiłam się w tym ogromnym domu i czułam się nieporadnie.

Odkryłam schody, które prowadziły na górę i weszłam po nich na dach. Krajobraz w dole był szary, drzewa bez liści, nawet morze miało bury odcień i wyglądało jak Morze Północne. Znalazłam gnijący migdał. Wówczas nie znałam zwyczaju suszenia owoców migdałowca podczas ciepłej pory roku.

W tym czasie w domu byli zatrudnieni jedynie służący. Znałam tylko ich twarze. Drzwi były otwarte. Dwóch mężczyzn wносиło jakieś worki do środka, a trzeci wydawał im polecenia. Chyba wiedział, czyją jestem żoną, ponieważ uklonił się i bąknął:

– Signora.

– Witam. Jestem Diana. Co was sprowadza do domu?

Najniższy z mężczyzn o mysim pyszczku wlepił we mnie wzrok.

– Jak masz na imię? – zapytałam.

– Chichi.

– Już się widzieliśmy, Chichi. Jestem Diana – powtórzyłam, bo chciałam przejść ze skomplikowanego *lei*⁵⁵ na łatwiejsze *tu*⁵⁶.

– Signora, czym mogę służyć? – spytał, znowu się kłaniając.

„No tak, jestem teraz żoną padrone, więc młody nie może mi mówić na ty” – pomyślałam.

– Czy to fasola? – zagadnęłam.

– Soczewica, signora.

Przez chwilę zastanawiałam się, gdzie on patrzy. Z zaskoczeniem zauważyłam, że na moje nogi. Spódniczka mini w paski w połączeniu z rajstopami w paski stanowiły dla tego

młodego człowieka niecodzienny widok. W Rzymie taki strój nikogo nie dziwił. Popelniłam błąd, ale było już za późno. Zaczęłam nerwowo skubać wełnianą spódnicę. Chichi dostrzegł moją niepewność i na chwilę na jego twarzy pojawił się szyderczy uśmiech.

– Soczewica...

Chciałam jak najszybciej pobiec na górę i się przebrać, ale nagle pojawiła się Antonia – cudowna kobieta z naszej kuchni.

– Czy mam coś pani przynieść? – spytała.

Spojrzałam na nią. Czarna spódnica, czarna bluzka, do tego wełniana chusta na ramionach, grube czarne rajstopy, solidne buty. Nagle wydałam się sobie kapryśną paniusią. Moja lekko opięta, kolorowa spódnica, mechate pantofle z pomponikami. Wyglądałam zupełnie jak nastolatka!

– Mogłabym w czymś pomóc? – zapytałam.

– Pomóc?

– W kuchni. Przygotowujecie przecież obiad.

– Tak. Robimy maccaruneddi⁵⁷.

Dość dobrze znałam włoską kuchnię, ale o takim makaronie jeszcze nie słyszałam.

– Mogę zobaczyć? – spytałam i poszłam za Antonią do kuchni.

Pracowały we trzy. Akurat były zajęte smaženiem bakłażanów. Na dużym stole leżało ciasto przygotowane na makaron.

– Jak to robicie?

Pozostałe kobiety zdziwionym wzrokiem spojrzały na Antonię.

Na stole leżały druty do robótek ręcznych. Wzięłam jeden do ręki.

– Jak to się robi?

– Z ciasta formujemy ruloniki – wyjaśniła i pokazała Antonia. – Później wtykamy drut do środka. O, tak. – Ostrożnie włożyła drut w rulonik z ciasta. – Wyciągamy i pozostawiamy pastę do wyschnięcia – powiedziała i zaprezentowała rezultat. – Później trzeba go tylko ugotować.

– A więc to trochę jak macaroni⁵⁸, tylko grubsze. A do tego?

– Salsa rossa⁵⁹ i melanzane⁶⁰.

– Czy smażyć bakłażany, żeby nie wchłonęły sosu pomidorowego?

Antonia pokiwała głową.

Młoda dziewczyna mieszała w garnku z bulgoczącym czerwonym sosem i bacznie mi się

przyglądała. Również jej wzrok padł na moją spódniczkę.

Pełna zapału potarłam dłonie i zapytałam:

– Co mogę robić?

Milczenie było bardzo wymowne. One nie chciały nikogo obcego w kuchni. Nie mogły mnie również skłonić do wyjścia, bo musiały być uprzejme.

– Jutro zejść wcześniej. Wtedy pokażecie mi, jak to się robi. Zrozumiano?

Uśmiechnęłam się, by je uspokoić.

To przekonało Antonię. Zaprezentowała solidne uzębienie z dwoma srebrnymi zębami.

– Zrozumiano, signora. Jutro gotuje pani z nami – oznajmiła.

Chyba domyśliła się, o co mi chodzi, a ja przyrzekłam sobie, by następnym razem założyć coś nierzucającego się w oczy. Rozejrzałam się po kuchni. Jedne drzwi prowadziły na zewnątrz, to było wejście dla dostawców. Z drugiej strony wchodziło się do jadalni. Trzecie drzwi chyba były do spizarni.

– Gdzie one prowadzą?

Zrobiłam krok w ich stronę i wyciągnęłam rękę. Antonia i jeszcze jedna kobieta zastąpiły mi drogę.

– Nie, tam nie – powiedziały stanowczo.

– Piwnica ma strome schody – wyjaśniła Antonia. – Doszło już do wielu ciężkich upadków.

Stały przede mną, jakby obawiały się, że ich nie posłucham i jednak zejść do spizarni.

– Przecież to nie jest piwnica na wino.

Wiedziałam, gdzie znajduje się stara piwnica, którą pokazał mi Tancredi.

– Nie, to jest... To jest piwnica, z której bardzo rzadko się korzysta.

– Dobrze – zgodziłam się z nimi.

Przypomniałam sobie, że miałam spędzić przedpołudnie na rysowaniu. Jeśli chciałam zacząć jeszcze przed obiadem, musiałam się pospieszyć. Pożegnałam się. Gdy wychodziłam, kobiety pracujące w kuchni odetchnęły z ulgą.

Ani tego dnia, ani następnego nie rysowałam. Nie mogłam się skupić, czegoś mi brakowało. W domu było bardzo spokojnie, jedynie słychać było tajemnicze odgłosy. Kto by pomyślał, że tak malownicze miejsce mnie nie zainspiruje. Zrobiłam tylko kilka projektów kapeluszy i ubrań do filmu, ale były zbyt konwencjonalne. Godzinami siedziałam nad stertą

zgniecionego papieru. Przeważnie pobudzało mnie do działania podziwianie natury. „Spraw, by otoczenie na ciebie podziałało, a przywróci ci to chęć do życia, więc próbuj do momentu, aż osiągniesz swój cel” – to motto miało na mnie szczególny wpływ. Założyłam najgrubszą kurtkę, jaką miałam, i wyszłam do ogrodu, który przechodził w park. Nawet zimą nie tracił swojego uroku, mimo że wydawał się ponury.

Niebawem wróciłam do domu. Tęskniłam za Tancredim. Odkąd przejął kierowanie majątkiem rodzinnym, miał na głowie wiele spraw. Rozumiałam go, jednak nie mogłam się pogodzić z tym, że odłożył mnie na półkę jak stary parasol. Wszyscy moi przyjaciele i koledzy z pracy byli w Rzymie. Czułam się tu osamotniona.

Nagle przyszła mi do głowy Felicja. Tylko ona wydawała mi się sympatyczna w Monteleone. Dowiedziałam się, gdzie mieszka. To było zdecydowanie zbyt daleko, żeby dotrzeć do jej domu na piechotę. Po raz pierwszy pomyślałam o własnym samochodzie. Przecież nie byłam więźniem w domu rodzinnym mojego męża?!

– Chciałabym odwiedzić Felicję – powiedziałam. – Kto mógłby mnie tam podwieźć?

– Ja – odezwał się Chichi.

– Dziękuję.

Ruszyliśmy w stronę ciężarówki. Na lawecie leżały rybackie sieci.

– Co łapiesz? – zapytałam.

– Wszystko – odpowiedział i dodał: – Wszystko, co nie jest rybą. Homary, kraby, langusty.

Chichi najwyraźniej nie miał nic więcej do powiedzenia, a ja nie miałam ochoty ciągnąć go za język. W milczeniu jechaliśmy wąską ulicą. Po jakimś czasie z daleka dostrzegłam na klifie dom, w którym Felicja mieszkała ze swoją ciotką, od kiedy zmarł jej mąż. Stamtąd roztaczał się piękny widok na morze. Wokół rosły drzewa oliwne i dęby korkowe, a między nimi pojedyncze wierzby. Koń Felicji pał się na łące. Jej samochód stał przed domem. Podziękowałam Chichiemu i wysiadłam. On pojechał dalej na połów.

– Już pierwszego dnia uciekłaś ze starej kasty? – spytała Felicja i objęła mnie, jakby doskonale wyczuła mój nastrój.

– Uciekłam? – powtórzyłam bez przekonania.

Staralam się być delikatna i nie narzekać na Tancrediego.

– Oni wszyscy cię uwielbiają. Możesz mi wierzyć – wyszeptła i położyła palec na

ustach. – Na pierwszym piętrze śpi moja ciotka. Pójdziemy do pokoju, w którym jest piękna podłoga. Kamienie, z jakich jest zrobiona, były wydobywane ręcznie, dlatego każdy z nich jest niepowtarzalny.

Kominek był rozpalony. Ku mojemu zaskoczeniu w środku było ciepło.

– Zdejmij buty – powiedziała, po czym przyniosła butelkę i dwa kieliszki.

Od kiedy byłam na Sycylii, nie wpadłam na to, by w którymś z wilgotnych pokoi ściągać buty, ale Felicja chodziła bosą.

– To nie może być prawda! – wykrzyknęłam, gdy pod stopami poczułam przyjemne ciepło.

– Dlaczego nie? Moi przodkowie wynaleźli to przed dwoma tysiącami lat.

– Rzymianie wynaleźli ogrzewanie podłogowe?

– Poprowadzili opary z paleniska pod kamienne płyty.

Felicja miała ubaw, gdy patrzyła, jak usiadłam na podłodze i z niedowierzaniem dotykałam podłogi.

– Dlaczego nie zrobicie tego wszędzie? Na przykład w domu twoich rodziców? – zapytałam zdziwiona, że tak wspaniały wynalazek nie jest wykorzystywany.

– Zbędny luksus. Zbyt skomplikowane. Za bardzo nowoczesne. Wolą marznąć.

Wiedziałaś, że ludzie z Monteleone mają problemy z oskrzelami? Zasztywiają się w swoich wilgotnych chałupach i czekają na wiosnę. Podczas zimy można spotkać jedynie dzieci, które ciągle kaszlą.

– Dziękuję, że ty... – wydusiłam z siebie. – Dziękuję, że mogłam tu przyjść.

Felicja przygotowała drinki z odrobiną alkoholu i to sprawiło, że po chwili się odprężyłam. Położyłam się na ciepłej podłodze. Zaczęła się luźna rozmowa, zupełnie inna niż te prowadzone w domu młodego padrone. Opowiedziałam jej o Rzymie i filmie. Chciała się dowiedzieć, jakie prywatnie są gwiazdy filmowe. A Felicja opowiadała o swoim koniu. Zapytałam, czy nigdy nie chciała stąd wyjechać.

– Ciotka mnie potrzebuje. Poza tym... – powiedziała i machnęła ręką. – Nawet jeśli na wiele rzeczy kręcę nosem, to Monteleone i tak jest rajem na ziemi. Dlaczego miałabym wyjeżdżać z rajów, który na dodatek jest moją ojczyzną?

Niestety, nie mogłam tego samego powiedzieć o moim rodzinnym mieście – Manchesterze.

Później delikatnie zapytałam o mężczyznę w jej życiu.

– W sumie dlaczego miałabyś się nie dowiedzieć?

Zrobiła mi drinka i zaczęła opowiadać.

– Mój ukochany był żonaty. Po jakimś czasie zaczęto mnie w mieście przezywać i wykrzykiwać na mój widok „dziwka”. Oskarżano mnie, że zniszczyłam jego małżeństwo. Nikt oczywiście nie powiedział tego wprost, bo jestem z rodu Lorenzów, a z nami lepiej nie zadzierać. Później jego żona zachorowała. Krążyła plotka, że to nieszczęście doprowadziło ją do choroby, więc i za to mnie obwiniano. Potem zmarła i on stał się wolny. – Roześmiała się i podeszła do tarasu. – Myślałam, że jego powściągliwość była oznaką żałoby i szacunku dla zmarłej żony. Ale byłam głupia.

Otworzyła drzwi na taras i wyszła na zewnątrz.

– Nie minął rok od śmierci jego żony, a on już zaczął się oglądać za innymi.

– A ty?

Od morza powiało chłodem.

– Staralam się go zatrzymać i to był mój ogromny błąd – stwierdziła i z powrotem weszła do domu, zamykając za sobą drzwi na taras. – On mieszka w okolicy. Znowu się ożenił i... wyłysiał.

– Kochasz go jeszcze? – zapytałam.

– To jest właśnie najgorsze. Od tego czasu nie istniał dla mnie nikt inny – oznajmiła i wrzuciła ramionami. – Mam wprawdzie ogrzewanie podłogowe, ale jestem Sycylijką. Takie jesteśmy. A ty, co kochasz w Tancredim? – zapytała nagle.

Wyliczyłam zalety mojego męża tak szybko, że nawet dla mnie stało się jasne, jak bardzo byłam w nim zakochana.

– Tak, on jest naszym skarbem, naszym małym księciem – powiedziała Felicja. – I w końcu zasłużył na szczęście.

– W końcu? – zapytałam zaskoczona.

– Jeśli wziąć pod uwagę to, co przeżył.

Nastąpiła krępująca cisza.

– Nie jestem pewna, czy rozumiem, o czym mówisz – odezwałam się po chwili.

Przyglądałam się jej badawczo.

– Na pewno ci o tym powiedział.

– Ale o czym? – spytałam coraz bardziej zniecierpliwiona.

Felicja próbowała zachować kamienną twarz, ale po jej gestach zorientowałam się, że jest zaskoczona. Zaciśnęła pięści.

– On musiał... No tak, widocznie myślał... Przepraszam, nie mogę się mieszać w wasze sprawy.

Pochyliłam się w jej stronę, a ona podniosła na mnie wzrok.

– No, powiedz. Nie będzie tak źle – próbowałam ją zachęcić.

– Przepraszam, przepraszam – powtarzała.

– Co miałaś na myśli? Z pewnością zapytam o to Tancrediego. Możesz równie dobrze...

– Nic mu nie mów – odpowiedziała przestraszona. – Nie zmuszaj go. Na pewno sam zdecyduje w odpowiednim czasie, żeby ci o tym opowiedzieć. Nie teraz, Diano. Wiesz, ten stan mamy, jej chore serce. Proszę, nie rób tego. Nie rozmawiaj z nim o tym.

Położyłam dłoń na jej zaciśniętej pięści, żeby ją uspokoić, i wyszeptałam:

– Nic nie wiem. Nie pisnęłaś mi ani słówka.

Szczerze mówiąc, nie przejęłam się tą sytuacją. W końcu każda rodzina miała swoje tajemnice, a żaden młody chłopak podrywający dziewczynę nie zwierzał się jej z rodzinnych problemów. Brałam pod uwagę, że ten, kto pochodził z bogatej, uprzywilejowanej rodziny, mógł mieć swoje dziwactwa. Ale do tej pory wydawało mi się, że Tancredi był rozpieszczonym chłopaczkiem, który znał jedynie jasne strony życia. Nagle przejął formalną władzę w imperium Lorenzów i dlatego nie chciałam go drażnić niepotrzebnymi pytaniami. Wtedy myślałam jedynie o tym, że powinnam mu pomagać. Byłam pewna, że gdy zda swój życiowy egzamin, wykona powierzone mu zadanie i spokojnie wrócimy do Rzymu, na pewno znajdzie się okazja, by wydobyć z niego wszystkie tajemnice.

Na szczęście udało mi się zapewnić Felicję, że wszystko pozostanie między nami. W końcu otrząsnęła się i zaproponowała mi kawę. Po chwili po całym domu rozchodził się przepiękny zapach. Z własnoręcznie upieczonym cytrynowym tortem pojawiła się stara ciotka Felicji. Za oknem morze było wzburzone, szare i z ogromną siłą uderzało o klif.

55 Pani (wł.).

56 Ty (wł.).

57 Forma makaronu przygotowywanego na drutach do robótek ręcznych, rozpowszechniona na Sycylii (przyp. tłum.).

58 Uformowany w rurki makaron długości około 30 cm i średnicy otworu około 3 mm (przyp. tłum.).

59 Czerwona salsa, czyli sos przygotowywany zazwyczaj z pomidorów i czerwonej papryki (przyp. tłum.).

60 Bakłażany (wł.).

Rozdział piętnasty

Wkrótce la mamma⁶¹ wróciła ze szpitala. Czuła się już dużo lepiej i roztaczała wokół siebie aurę królowej, która powinna być podziwiana przez swoich poddanych. Powitanie przypominało teatralny spektakl. Mimo że w tym roku zima była wyjątkowo surowa, akurat tego dnia, gdy wróciła mama Tancrediego, mocno świeciło słońce. Na niebie nie było ani jednej chmurki, więc ceremonia powitania odbywała się na zewnątrz. Rozalia zjawiła się punktualnie w porze obiadu. Trzydzieści osób siedziało już pod pergolą. Na przystawkę podano marynowane warzywa, które jeszcze niedawno rosły w przydomowym ogródku, trzy rodzaje pasty, wśród których znalazła się ciężkostrawna zapiekanka mięsno-bakłażanowa, a także smażone skorupiaki, rybę w czerwonym sosie, koźlątko, królika i prosię. Do tego zaserwowano czerwone, słodkie wino, które wyłaczał stary padrone. Przy okazji Calogero, gestykulując, pokazał mi, co nadało winu taką słodycz. Doskonale go zrozumiałam. Jego sekretem było dodanie do beczki przed jej zamknięciem gałązki z owocami brzoskwini. Mnie nie zachwycał smak wina, ale nie mogłam tego po sobie pokazać. Gdybym nie pozwoliła napełnić swojego kieliszka, a co chwila wznoszono toast, byłabym uznana za nietowarzyską. Po chwili poczułam szum w głowie, a tego dnia na sjęstę trzeba było czekać dłużej niż zwykle. Wróciła mama, więc była to świetna okazja do wznoszenia toastu za toastem.

Tego zimowego popołudnia Tancredi był czuły i męski, poruszał się z gracją i okazywał miłość swojej matce. W ostatnich dniach rzadko go widywałam. Gdy wieczorem wskakiwał do łóżka, od razu zasypiał. Rozalia patrzyła na niego ze spokojem i z podziwem. Tancredi doskonale wywiązał się ze swoich obowiązków w tym krytycznym momencie i świetnie zadbał o rodzinne sprawy.

- Narysowałaś coś? – zapytał, gdy po uściśnięciu wielu rąk znowu stanął obok mnie.
- Niedużo. Ja... – nie dokończyłam, ponieważ widziałam, że i tak mnie nie słucha.
- Tobie również wszystkiego dobrego! – krzyknął do mężczyzny siedzącego po drugiej stronie stołu.

Kilka osób uniosło kieliszki.

– Pomyślałam, że wyjadę na dzień lub dwa i spróbuję porysować – zwróciłam się do niego.

– Dokąd chcesz wyjechać?

– Gdziekolwiek. W plener, może na plażę.

– Nie możesz się włóczyć po okolicy – powiedział, wychylając kieliszek.

Jego wargi zrobiły się czerwone od wina.

– Włóczyć? Wezmę ze sobą blok, a może nawet sztalugę.

– To będzie źle odebrane w Monteleone. Oni nie rozumieją, gdy kobieta sama... – znowu przerwał i uniósł kieliszek.

– Nie ma u was malarzy, którzy malują w plenerze? – zapytałam poirytowana.

– Nie ma zamężnych kobiet, które malują w plenerze. Czy ziemia należąca do nas nie jest wystarczająco duża? Zostań tutaj. Dlaczego tu nie możesz malować?

– Tancredi, to brzmi tak, jakbym była tu zamknięta.

– Ty i twoje dziecinne skłonności do przesady – powiedział z uśmiechem i spojrzał na mnie z góry.

– Nie przesadzasz z tą swoją troską o to, co powiedzą inni?

Każdy na Sycylii znał siłę plotki. Ona sprawiała, że życie stawało się ekscytujące, a jednocześnie ponure i pełne tajemnic. W kraju, gdzie informacje przekazywane były z ust do ust, z domu do domu i z rodziny do rodziny, opowieść o życiu zmieniała się w zastraszającym tempie. Plotki żyły swoim życiem. Często nie było wiadomo, kto rozpoczął historię, który szczególnie jest prawdziwy. Niektóre były przekazywane od wieków i urosły do rozmiarów klątwy ciężącej na jakiejś rodzinie. Inne były młode i szybkie jak błyskawica, ostre i zjadliwe, a gdy już zebrały swoje żniwo, zapominano o nich. Dlatego Tancredi musiał dbać o dobre imię swojej żony, która była cudzoziemką. Jeszcze nie wiedziałam, jak daleko to zaszło i ile komplikacji niosło ze sobą.

– Pozwól, że omówimy to jutro – oznajmił, ponieważ chciał porozmawiać z gośćmi.

– O której? Zanim wstanie słońce, ciebie nie ma już w domu. Nie możemy porozmawiać ani przy obiedzie, ani przy kolacji.

Pogłaskał mnie po policzku, tak jak się uspokaja dziecko.

– Proszę, nie utrudniaj mi.

To było potworne zdanie, którego w tym momencie nie rozumiałam. Odezwało się we

mnie poczucie winy. Ostatnią rzeczą, jakiej Tancredi potrzebował, była kłótnia kobieta, która mimo jego problemów dostarczała mu kolejnych. Zmusiłam się do uśmiechu, spojrzałam, jak podchodzi do kolejnej grupki, i poczułam się bardzo samotna. Wprawdzie nie mogłam sama pojechać w plener, a jednocześnie nie chciałam za każdym razem odwiedzać Felicji, ale postanowiłam lepiej poznać Monteleone. Podczas mojej pierwszej wizyty sporo zobaczyłam. Miasto liczyło zaledwie dwadzieścia tysięcy mieszkańców, nie należało więc do wielkich. Chciałam iść na piechotę, ale dziwnym trafem zjawił się Chichi i zabrał mnie ze sobą. Posiadłość należąca do Lorenzów leżała w górach. Gdy opuszczało się brukowaną aleję z dębami korkowymi, od razu można się było znaleźć w innej rzeczywistości. Asfaltowa ulica była popękana w wielu miejscach, a krawędzie podmywał deszcz. Wjeżdżaliśmy do Monteleone. Miasto rozrastało się chaotycznie i bez widocznego planu architektonicznego. Po prawej stronie widać było zamek otoczony domami, a po lewej wzdłuż linii wybrzeża ciągnęły się stare uliczki i nagle przecinały je tory kolejowe. Na parterze wielu domów znajdowały się sklepy, a na wyższych piętrach mieszkania. Młodzi ludzie wyprowadzali się poza miasto, na jego obrzeża, żeby zamieszkać w nowoczesnych blokach. W większości domów na starówce było ciemno.

Pożegnałam się z Chichim, podziękowałam mu za propozycję jazdy powrotnej, z której nie miałam zamiaru skorzystać. Poszłam wzdłuż głównej ulicy. Latem było tu mnóstwo tandetnych przedmiotów dla turystów. Teraz wszystko było pochowane. Piekarnia, warsztat samochodowy, sklep rybny – te miejsca tętniły życiem. Usiadłam w kawiarni na tarasie, popijałam kawę i delektowałam się wiatrem, który rozwiewał mi włosy.

Gdy świeciło słońce, Włosi byli ożywieni. Prowadzili luźny tryb życia, dużą radość sprawiały im zakupy, wyprowadzenie psa na spacer czy spotkanie z dziewczyną. Miło spędzali przedpołudnia. Gdy była brzydka pogoda, nie wiedzieli, co ze sobą zrobić. Przesiadali wtedy przed domami i stale spoglądali w niebo, wypatrując słońca. Na Sycylii nie było inaczej. Tego dnia, gdy wybrałam się do Monteleone, pogoda była dość ładna, życie na ulicach miasteczka tętniło. Ludzie spacerowali w rozpiętych kurtkach. Kiedy tylko słońce zniknęło, a znad morza zaczęły nadciągać deszczowe chmury, Monteleone nagle opustoszało. Nie miałam ochoty jechać do domu, nie byłam głodna, ale też nie chciałam drugi raz iść do kawiarni bądź błąkać się bez celu po mieście. Nieróbstwo nie leżało w mojej naturze, chciałam zrobić coś pożytecznego. Nie wiedziałam, czy powinnam usiąść w deszczu na rogu ulicy i malować Monteleone, czy spróbować swoich sił jako malarka uwieczniająca na obrazach morze.

Byłam przed trzydziestką i już się zorientowałam, że bycie wyłącznie żoną nie wystarcza mi. Tancredi ciągle powtarzał, że nie muszę nic robić, bo wszystko jest załatwione. I tak było. Zawsze przynoszono mi śniadanie do pokoju. Lawendowe skrzydło domu, które zajmowaliśmy, było utrzymane w czystości. A wszystko po to, by młoda signora mogła się rokoszować życiem. I to chyba najbardziej mnie przerażało! Tym bardziej że zdawałam sobie sprawę z tego, że za chwilę rodzina Lorenzów będzie oczekiwała ode mnie urodzenia dziecka. Co prawda, nie miałam nic przeciwko temu, by mieć z Tancredim dziecko, ale nie chciałam tego robić wyłącznie dla zabicia czasu.

Tego dnia pojęłam, że aby malować, nie wystarczy dobry pomysł, ale również *genius loci*⁶². Potrzebowałam Rzymu, studia filmowego, a przede wszystkim presji! Kiedy producent naciskał i pytał: „Kiedy wreszcie zobaczymy projekty?”, to dodawało mi energii i pobudzało kreatywność. W pracowni do rana siedziałam nad wykrojami i pracowałam, dopóki nie skończyłam. A tutaj? Jeśli nie narysowałam czegoś dzisiaj, mogłam to zrobić jutro albo pojutrze. A nawet jeśli nic bym nie zaprojektowała, nie miało to większego znaczenia. Wiele razy finansowanie filmu stanowiło problem i często musiałam przekonywać innych, że kostiumy są naprawdę potrzebne. Teraz, gdy nie dotyczyły mnie problemy finansowe, zatęskniłam za czasami, gdy podejmowałam się pracy jako asystentka, by tylko zarobić na ogrzewanie. Co z tego, że mogłam mieć wszystko, jeśli czułam się jak w więzieniu. Nagle zdałam sobie sprawę, że nic nie zarabiam, przez co całkowicie uzależniłam się od Tancrediego i jego rodziny. Przedpołudnie, podczas którego leniuchowałam w Monteleone, uświadomiło mi, że znalazłam się w jakimś koszmarnym śnie. Czy tak miała wyglądać moja przyszłość? Śniadanie do łóżka, później spacer, powrót na obiad, ciężka głowa od wina, problemy z zaśnięciem podczas sjesty, smutne przebudzenie i wreszcie punkt kulminacyjny, czyli kolacja w gronie rodzinnym.

Już po paru dniach jako signora di Lorenzo wiedziałam, że coś muszę zmienić, żeby nie zwariować. Zatopiłam się w myślach i chodziłam bez celu po ulicach miasteczka. Mżawka mi nie przeszkadzała. Nagle stanęłam jak wryta. Na malutkim, ukrytym placyku zobaczyłam napis nad szklanym wejściem: KINO. Na drabinie stał garbaty mężczyzna i zmieniał litery na specjalnych szynach. Po chwili ułożyły się one w napis *L'ultimo bacio*. Roześmiałam się głośno. Wtedy mężczyzna się odwrócił.

– Dzień dobry, signora.

– Jak pięknie – powiedziała i wskazała na plakat.

– Zna pani ten film? – spytał bardzo miłym, ciepłym, śpiewnym głosem.
– Z czystym sumieniem mogę tak powiedzieć.
– To nie jest nowość – stwierdził i zszedł ostrożnie z drabiny. – Niestety na nowości nie mogę sobie pozwolić.

– Dlaczego nie? – zapytałam zdziwiona.
– Tu niewielu ludzi chodzi do kina – wyjaśnił i poprawił okulary. – Filmy, które pokazuję, mają już rok lub dwa lata. Ale nikt nie zwraca na to uwagi.

Podeszłam do plakatu i pokazałam mu coś palcem.

– To ja – powiedziałam.
– No proszę. Nic z tego nie rozumiem.

Wy tłumaczyłam mu, że zrobiłam kostiumy do *L'ultimo bacio*.

– Jestem wniebowzięty! – wykrzyknął i serdecznie uściskał mi dłoń. – Jak znalazła się pani w naszej okolicy?

Opowiedziałam mu wszystko z taką dokładnością, że aż sama byłam zdziwiona.

– Nazywam się Renato – przedstawił się.
– Jak pan sądzi, panie Renato, czy ten film stanie się tu hitem?
– To film o miłości. – Spuścił głowę. – Może być tak, że dziś wieczorem przyjdzie dziesięć do piętnastu osób.

– Tak mało? Czy panu się to opłaca?

– Po drugiej stronie domu mam interes z pralkami. Tak naprawdę z tego żyję.

Kinoman, który w zaspanym Monteleone stał na przegranej pozycji, mimo wszystko raz w tygodniu zmieniał program.

– Mogę panią zaprosić na mały pokaz specjalny?

Zanim zdążyłam odpowiedzieć, spojrział przerażony na zegar na wieży kościelnej.

– Nie, przepraszam panią. Musi pani iść do domu. Obiad, pani mąż...

– Wszystko w porządku, Renato. Jedzenie będzie gotowe i beze mnie, a mój mąż rzadko bywa w domu. Nie wie pan nawet, jaką przyjemność mi sprawi tą specjalną projekcją.

Ani przez chwilę nie zastanowiłam się, że jestem w miejscu publicznym, dlatego wzięłam garbatego właściciela kina pod rękę i weszliśmy do środka. Wydawało mi się, że mignęła mi czapka Chichiego, ale mogłam się mylić.

61 Matka (wł.).

62 Według mitologii rzymskiej to opiekuńcza siła, coś, co sprawia, że dana przestrzeń jest jedyna w swoim rodzaju (przytłum.).

Rozdział szesnasty

On jest kaleką! – krzyknęłam tak głośno, że było mnie słychać w całym lawendowym skrzydle domu.

– On jest kawalerem – powiedział spokojnie Tancredi.

Siedział na parapecie z rękami w kieszeniach, ale widziałam, że ma zaciśnięte pięści.

– Przypuszczam, że w Monteleone jest wielu nieżonatych mężczyzn.

– Z nimi też będziesz tak po prostu szła do domu? – spytał zaczepnie.

– Nie byłam u niego w domu, ale w budynku kina.

– Przez całe dwie godziny?

– Tak długo trwa *L'ultimo bacio*. Nie, to nie do końca tak. Miał problem z założeniem trzeciej szpuli, dlatego trwało to trochę dłużej.

– W ciemnej sali sama z mężczyzną...

– Co mi zarzucasz?

Poczułam się dotknięta.

– Chyba sama najlepiej znasz odpowiedź.

– Jeśli chcesz wiedzieć coś konkretnego, to po prostu mnie zapytaj.

– Sama mi powiesz, jeśli jest coś do powiedzenia.

– Co takiego? Czy chcesz usłyszeć, że poszłam do kina z mężczyzną i cię tam z nim zdradziłam?

– Nie prosiłem cię, żebyś tak powiedziała.

– To o co mnie prosisz, Tancredi?

– O nic, poza tym, żebyś się zachowywała jak moja żona – oznajmił i spojrzał mi prosto w oczy.

– A nie robię tego? – spytałam ze zdziwieniem.

– Widzisz, sama zadajesz sobie to pytanie.

Cała drżałam ze zdenerwowania, ale zamiast milczeć, znowu się odezwałam.

– Ten Renato...

- Mówiliście sobie na ty?
- Co? Nie! Nie znam po prostu jego nazwiska! Czy ty kiedykolwiek go widziałaś?
- Jak to?
- On ma garb! Wielki jak skała! Uważasz, że puściłabym się z garbatym?
- Nie wyrażaj się tak w tym domu!
- A jak inaczej można to nazwać? Posądzasz mnie właśnie o to!
- Wyłącznie pytam, dlaczego, gdy cała rodzina siedzi przy obiedzie, ty zaszywasz się w ciemnym kinie.
- Zagapiłam się. Nie wiedziałam, że jest już tak późno. Przykro mi!
- A więc ci przykro – wycedził.
- Tak.
- Masz nieczyste sumienie?
- Tego nie powiedziałam. Skończ już, Tancredi, do cholery! Skończ już z tym!
- Spotkaliście się po raz pierwszy?
- My się wcale nie spotkaliśmy! Mówię ci, że przypadkiem znalazłam się na tym placu, a tam...

Trwało to trzy godziny. Dom wypełnił się naszym krzykiem. W pewnym momencie Tancredi przestał zgrywać opanowanego i wrzeszczał głośniejsze ode mnie. W pozostałej części domu trwała kompletna cisza. Nie było słycać żadnych odgłosów, tylko echo naszej kłótni. Wszyscy ucichli, ponieważ każdy podsłuchiwał nas ze swojego pokoju: teściowie na pierwszym piętrze, krewni w salonie, a służba w kuchni. Zapytałam mojego męża, skąd wie o moim spóźnieniu. Ale zaraz sama znalazłam odpowiedź. Chichi mu powiedział. Była to najgorsza kłótnia od czasu, gdy się poznaliśmy, ale nie miałam pojęcia, że znajdowałam się dopiero u bram piekła. Ciemna strona Tancrediego właśnie dała o sobie znać, ale jeszcze nie do końca się ujawniła.

Dzień później chciałam jechać do Felicji, żeby wyjaśniła mi to, o czym nie chciała mi powiedzieć podczas pierwszej wizyty. Niestety nie było jej w domu. Pojechała na parę dni do Cosenzy. Poczulałam się opuszczona. Moja jedyna przyjaciółka wyjechała i zostałam sama. Cichutko wypłakałam się w swoim pokoju i od razu zrobiło mi się lepiej. Spojrzałam na to wszystko z innej strony. Postanowiłam znaleźć kogoś, kogo szanuję, a z kim do tej pory rzadko miałam kontakt.

Głuchoniemy Calogero zazwyczaj przesiadywał w swoim gabinecie. Weszłam do środka bez pukania, bo w tym przypadku nie miałyby to żadnego sensu. Na Sycylii nie widziałam zbyt wielu ludzi, którzy czytali książki. Chyba pogoda była zbyt piękna, żeby zagłębiać się w lekturze. Tym bardziej byłam zdziwiona, gdy weszłam do dużej, dobrze zorganizowanej biblioteki. Książki należące do Calogera nie były poukładane tematycznie czy alfabetycznie, ale według kolorów i wielkości. W pomieszczeniu znajdowały się niebieskie i czarne regały, a na każdym z nich stało wiele tomów. Po lewej stronie ustawiono małe książki, a po prawej grube tomiska. Mój teść tkwił przed jednym z kolorowych stosów i starał się wyciągnąć jedną z książek. Mimo że mnie nie słyszał, zamarł. Chyba zorientował się, że ktoś wszedł do biblioteki po ruchu powietrza. Zapytałam, czy przeszkadzam. Kiwnął na mnie, żebym podeszła bliżej, zabrał gazety z krzesła i zaproponował, abym usiadła. Wolałam jednak pospacerować po tym dziwnym królestwie najbogatszego człowieka w okolicy.

– Co czytasz? – spytałam.

Po ślubie zaczęłam mówić na ty do Calogero, a do jego żony cały czas „le”, czyli w formie grzecznościowej.

Pokazał mi, że jednocześnie czyta wiele książek, a w związku z tym ma mętlik w głowie i wszystko mu się miesza. Calogero przypominał mi brytyjskiego króla Jerzego VI. Mimo że jego wystąpienia publiczne nie były zbyt udane z powodu jego wady wymowy, musiał występować i rządzić. Głuchoniemy Calogero był w zdecydowanie lepszej sytuacji. Wszystko było na głowie jego żony, a on mógł uciekać do swojego świata książek.

Nie wiedziałam, co sprawiło, że byłam na tyle odważna, żeby zadać mu pewne pytanie:

– Jak to się stało, że ty i Rozalia się w sobie zakochaliście?

Powiedziałam to bardzo wyraźnie i stanęłam naprzeciwko niego. Podrapał się za uchem i zrobił szelmowską minę. Potem podeszedł do biurka i spojrzał w kierunku znajdującego się tam zdjęcia ślubnego.

– Ona była taka piękna – powiedziałam. – Zresztą nadal jest.

Calogero postawił pionowo dwa palce na biurku i przebiegł nimi po blacie.

– Ona uciekła? – zapytałam.

Dołożył do tego drugą rękę. Teraz biegły obok siebie cztery palce.

– Obydwoje uciekliście? – zapytałam ze zdziwieniem. – Od kogo?

Uśmiechnął się, wskazał na mnie, a potem na siebie. Nic nie rozumiałam. Zaprowadził

mnie do obrazu, który wisiał obok krzyża, i przedstawiał Trójcę Świętą. Wskazał na oko Boga Ojca.

– Uciekliście od twojego ojca?

Zasugerował wielu ojców.

– Od wspólnych krewnych? Dlaczego?

– Ojcowie nie stanowili problemu, tylko moja matka – usłyszałam nagle.

Odwrociłam się. To Rozalia weszła do pokoju. Przyniosła świeże kwiaty i plastikowe wiaderko. Widocznie przyszła z cieplarni. Od tej chwili rozmowa stała się łatwiejsza.

– Na Sycylii nie ma zbyt wielu rodzin takich jak Lorenzowie – powiedziała.

Postawiła wiaderko na środku pokoju i zaczęła układać kwiaty w wazonie.

– Ale niektóre są. Ja pochodzę z domu Nicolosi.

Zdziwiona i rozbawiona spojrzałam na nią, a później na teścia.

Calogero klasnął w ręce nad głową i teatralnym gestem wskazał, że od Nicolosich właściwie można tylko uciec.

– Waśń między rodzinami? – zapytałam zaskoczona otwartością Rozalii.

– Waśń zaszkodziłaby obydwu rodzinom i byłaby nieekonomiczna. Były między nami znaczące różnice w postrzeganiu świata.

Calogero dał mi znać, że teraz przyszedł czas na opowieść o znanej od dawna swadzie.

– My, Nicolosi, nie jesteśmy tradycjonalistami, ale Lorenzowie są zagorzałymi konserwatystami – powiedziała i objęła swojego stawiającego opory męża. – A przynajmniej taka była sytuacja, gdy się poznaliśmy. W tym czasie wiele się nauczyłeś, mój kochany Calo.

Spojrzała na mnie.

– Jego ojciec tęsknił za starymi, dobrymi czasami, gdy rządzili tu hiszpańscy Burbonowie, a wielcy posiadacze ziemscy mogli rządzić tak, jak im się podobało. Oni rozkazywali, a lud potulnie wykonywał ich polecenia.

Calogero udawał, że w ogóle nie słucha, tylko zajmuje się sortowaniem książek.

– Nicolosi nie byli tak ograniczeni – oznajmiła Rozalia, trochę podnosząc głos. – Byliśmy zwolennikami Garibaldiego⁶³! Mój pradziadek walczył u jego boku, brał udział w wyprawie tysiąca⁶⁴, która wylądowała w Marsali i wyzwoliła Sycylię. Moja rodzina była już skoncentrowana na demokracji, podczas gdy twoja jeszcze nie знаła tego słowa.

– Ale wy dwoje... – zaczęłam. – Jak to było, że mogliście się bliżej poznać, podczas gdy

wasze rodziny...?

– Tak jak inni młodzi ludzie – powiedziała i wzruszyła ramionami. – Dzisiaj młodzi jadą na skuterze w jakieś ustronne miejsce. My wówczas pojechaliśmy konno w góry.

– Dlaczego w góry?

– Bo tam stał letni domek. W zasadzie nadal stoi.

– I tam się... tam się... – Nie wiedziałam, jak dobrać słowa.

– Nie to, o czym myślisz. On był bardzo nieśmiały i bardzo wierzący – oznajmiła i uśmiechnęła się jak młoda dziewczyna. – Spaliśmy w osobnych pokojach, a przed pójściem spać jedynie mówiliśmy sobie dobranoc.

– Ale czemu miało to służyć?

– Ona naprawdę nie rozumie – powiedziała do swojego męża. – Ludzie mieli wierzyć, że mamy tam swoje miłosne gniazdko, a szczególnie moja matka.

– Mieli tylko w to uwierzyć?

– Na tym właśnie polegała fuitina⁶⁵. Nie chodziło o to, co wydarzyło się naprawdę, ale o to, o czym wszyscy myśleli. Podczas gdy my spokojnie siedzieliśmy w górach, miasteczko ogarnęło szaleństwo. Przedstawiciele naszych rodzin spotkali się i wzajemnie obrażali. Mój ojciec przypisywał winę ojcu Calo, że ten uwiódł mnie, niewinną dziewczynę. A to przecież był mój pomysł. Wiedziałam, że moja matka sama z siebie nigdy nie zgodzi się na nasz związek. Musiałam jej w tym pomóc.

Uśmiechnęła się. W tym momencie wyobraziłam sobie przekorną, młodą dziewczynę.

– Po trzech dniach nas znaleźli. Przed domem zatrzymał się samochód. Wysiedli z niego mężczyźni z obydwu rodzin. Pobiegłam do pokoju Calo i zdjęłam z siebie kilka rzeczy. Później udawałam, że byłam bardzo zaspana i otworzyłam okiennice – opowiadała z przejęciem Rozalia. – I co? Zobaczyli roznegliżowaną dziewczynę w pokoju rozkochanego, młodego chłopaka. Co mogli wówczas pomyśleć? To oczywiste. Doniesiono o tym mojej matce, że jej córka straciła godność. Jeśli nie chciałam skończyć jak stara panna, natychmiast musiałam zostać wydana za mąż. I to na dodatek powinnam poślubić mężczyznę, z którym uciekłam.

Calo i Rozalia wymienili porozumiewawcze spojrzenie.

– Tak to wówczas zrobiliśmy. Dlatego uważam, że dzisiejszej młodzieży brakuje polotu.

Calogero spojrział na nią wzrokiem pełnym miłości.

– Nie mam racji?

Uśmiechnęła się i podeszła do niego. Zamiast odpowiedzieć, wyjął jeden kwiatek z wazonu i wręczył żonie.

– Moja matka wbrew sobie uczestniczyła w uroczystości ślubnej i weselu, ale nie odwiedzała nas w domu, dopóki nie urodził się nasz pierwszy syn – powiedziała Rozalia i złapała mnie za ręce. – A to, jak dobrze wiesz, trwało dosyć długo. Cztery dziewczyny! Całe Monteleone myślało, że na naszym małżeństwie ciąży klątwa.

– A wówczas na świat przyszedł wasz król Słońce – powiedziałam.

Specjalnie przesadziłam z określeniem małego Tancrediego.

Rozalia pokiwała głową z zadowoleniem.

– Ród Lorenzów ma słońce w herbie. Jeden musi być królem, aby wszyscy mogli się ogrzać w jego blasku.

– No proszę, i słyszę to z ust zwolenniczki Garibaldiego? – Roześmiałam się.

– Dla matki jej pierworodny jest zawsze kimś szczególnym. Gdy w końcu mieliśmy syna, rodzina świętowała przez cały tydzień. Co ja mówię, całe miasto przyszło i powitało maleństwo.

– Całe miasto?

– Możesz mi wierzyć. W ogrodzie było sto stołów. Wszyscy jedli i pili bez końca. Pod złotym baldachimem, na perskim dywanie stała kołyska, a w niej obiekt naszej radości i miłości – nasz książę. Ludzie przychodzili i przynosili prezenty.

Staralam się wyobrazić sobie cały ten rytuał. Widziałam małego Tancrediego podziwianego, ubóstwianego i rozpieszczanego. Może dlatego tak było do dzisiaj.

Spędziłam cudowne popołudnie z teściami. Byłam szczęśliwa, że mogłam zbliżyć się do nich, a oni dawali mi wyraźne sygnały, że mnie akceptują i mi ufają. Tancredi i ja nie musieliśmy organizować fuitiny, aby być razem. Zostałam serdecznie przyjęta przez rodzinę, która robiła wszystko, by ułatwić cudzoziemce przyzwyczajenie się do nowego świata.

Tego wieczoru Rozalia i ja pierwszy raz wspólnie gotowałyśmy. Przedstawiła mi menu, zaprosiła do kuchni, przydzieliła zadania, dzięki czemu dla Antonii i innych kobiet stało się jasne, że od tej pory angielska dziewczyna jest jedną z nich. Przygotowałyśmy spaghetti alla trapanese⁶⁶, rigatoncini, czyli specjalny makaron z sosem, oraz jagnię z dzikim koprem włoskim. Z uwagi na moją mało sycylijską figurę kuchenny fartuch był na mnie za duży, więc musiałam owinać się nim dwa razy. Staralam się zrobić wszystko naraz. Gdy rozbrzmiał dźwięk rozpoczynający kolację, byłam tak podekscytowana, jak podczas pierwszej prezentacji moich

kostiumów. Rodzina wyrażała aprobatę, a Rozalia chwaliła mój wkład. Po raz pierwszy, od kiedy tu byliśmy, zobaczyłam prawdziwą radość i dumę w oczach Tancrediego. Pewnie tak wyobrażał sobie swoją żonę, a ja zapragnęłam robić to dla niego. Z wielką przyjemnością nałożyłam mu makaron na talerz, a jego pełen zadowolenia wzrok potraktowałam jako komplement. Mało było takich wspaniałych wieczorów. Wyjątkowo długo siedziałam przy stole, być może dlatego, że czułam się współodpowiedzialna za tę kolację. Nawet smakowało mi słodkie wino. Cały czas spotykałam się z aprobującymi spojrzeniami krewnych. Najbardziej chwycił mnie za serce przyjazny wzrok Calogera. Jego oczy zdawały się mówić:

– No widzisz. Dlaczego nie mogło być tak od początku?

W myślach zgodziłam się ze starym padrone. Musiało minąć trochę czasu, żebym w końcu się dostosowała i przyzwyczała.

63 Giuseppe Garibaldi był włoskim awanturnikiem, rewolucjonistą, żołnierzem i politykiem, działaczem i bojownikiem na rzecz zjednoczenia Włoch (przyp. tłum.).

64 W 1860 roku wybuchło krwawo stłumione powstanie w Messynie i Palermo. W ciągu kilku tygodni Garibaldi zorganizował akcję nazywaną „wyprawą tysiąca”, dążąc do obalenia dynastii Burbonów (króla Franciszka II) i włączenia Królestwa Obojga Sycylii do niepodległych Włoch (przyp. tłum.).

65 Porwanie panny spod opieki rodziców lub prawnych opiekunów. Kobiety same często się na to godziły, widząc, że rodzina stara się je wydać za mąż (przyp. tłum.).

66 Spaghetti z sosem zawierającym migdały, czosnek, pomidory, bazylię i inne przyprawy (przyp. tłum.).

Rozdział siedemnasty

Słońce znowu zaświeciło nad Sycylią. Wraz z chłodem i wilgocią zniknęło też ogólne zniechęcenie. Morze zmieniło swój kolor z ponurego szarego na turkusowy. Puchowe kurtki zostały odwieszane do szaf. Zaczął wiać ciepłutki wiatr, a wokół coraz częściej widziało się lekko ubranych ludzi w okularach przeciwsłonecznych. Uliczki wypełniły się spacerowiczami. Drobnymi handlarze otwierali swoje stoiska, a pizzerie – ogródki.

Nadal zastanawiałam się nad swoją przyszłością, ale już nie tak intensywnie jak przedtem. Stałam się bardziej cierpliwa. Jeszcze ani razu nie wróciłam do Cinecittà i obawiałam się, że chyba nie jestem im zbytnio potrzebna, bo nikt specjalnie nie zabiegał o kontakt ze mną. Pocieszałam się myślą, że żyję w Monteleone jak w raju i nie muszę się martwić o pieniądze. Mogłam beztrudnie czekać na realizację mojego kolejnego filmowego projektu. Czy to możliwe, że zrobiłam się leniwa? Czy po prostu podobało mi się spokojne życie na Sycylii, które stopniowo zaczęłam akceptować? Byłam przerażona jedynie wtedy, gdy zerkałam na kalendarz i zdawałam sobie sprawę, że oto minął kolejny miesiąc, a ja nadal nie pracuję. Jednocześnie nachodziła mnie refleksja dotycząca poprzedniego stylu życia, jakie prowadziłam w Londynie czy w Rzymie, kiedy to byłam ciągle zabiegana i zajęta. Przecież teraz umiałam żyć wolniej, podziwiałam z okna pąki na drzewie, cieszyłam się, że mogę ugotować pyszny obiad dla rodziny i patrzeć na Tancrediego w białej koszuli, w czapce i ze strzelbą pod pachą. On i Chichi polowali na króliki, których na ziemiach Lorenzów było bardzo dużo. Tancredi został padrone. Od tej pory stał się o wiele spokojniejszy. Przekazanie tytułu było nadzwyczaj uroczyste. Dostaliśmy niezliczoną ilość prezentów, kosztownych i takich o symbolicznym znaczeniu – ostatni snop oziminy, pierwsza winorośl, chleb i sól, chleb i grappa⁶⁷, wyszywany obrus w kolorach rodu Lorenzów. Punktem kulminacyjnym uroczystości była wizyta rady gminy Monteleone. Radni zebrali się w dużej hali, a każdy z nich schylał się, żeby uściskać dłoń Tancrediego. Od tej chwili mój mąż panował nad przedsiębiorstwami i ludźmi, którzy w nich pracowali. Jego obowiązkiem było dbanie o ich dobro. Do jego zadań należało również nakładanie kar. Było za wcześnie, aby powiedzieć, że pozycja go zmieniła, a jednak z zuchwałego mężczyzny kierującego sportowym

samochodem zmienił się w statecznego, życzliwego i ostrożnego właściciela ziemskiego. Również do mnie odnosił się inaczej. Traktował mnie tak, jakbyśmy od wielu lat byli małżeństwem. Spacerowaliśmy wysoko położoną ścieżką wzdłuż wybrzeża, wieczorami graliśmy w karty. Przy stole nakładałam mu na talerz same smakołyki. Pozostali musieli poczekać. Kiedyś Calogero siedział u szczytu stołu, teraz jego miejsce zajął Tancredi. Ja siedziałam po jego prawej stronie, Rozalia po lewej, a stary padrone obok niej. Stałam się żoną najbogatszego i najbardziej wpływowego mężczyzny na Sycylii.

Pewnego upalnego dnia wybrałam się do Monteleone. Znałam już większość uliczek i wielu mieszkańców pobliskich domów. W samym sercu Monteleone domy stały tak blisko siebie, że nie docierało do nich słońce. Z koszykiem na zakupy w ręku przechadzałam się zacienionymi uliczkami. Nagle obok mnie z hukiem otworzyły się drzwi, a w nich stanęła starsza kobieta. Byłam pewna, że nigdy jej nie widziałam. Najwyraźniej zobaczyła mnie z okna i specjalnie wyszła z domu.

– Proszę poczekać, signora – zwróciła się do mnie szeptem. – Proszę poczekać. Pani nie uważa. Proszę poczekać. Proszę zostać. Niech pani uważa.

Z początku pomyślałam, że mnie z kimś pomyliła i za chwilę zorientuje się, że to nie o mnie chodziło. Jednak patrzyła na mnie świdrującymi oczami i stała wyprostowana. Wyciągnęła ręce w moją stronę, jakby chciała mnie pobłogosławić.

– Na co mam uważać? – zapytałam.

– Choroba jest w korzeniach. A korzenie są zgniłe – powiedziała.

– Czyja choroba?

Wskazała jakiś punkt nad miastem w górach. Tam też znajdował się dom rodziny Lorenzów.

– Każdy to wie, ale wszyscy boją się rozmawiać o chorobie.

– Jakiej chorobie? – spytałam zaniepokojona.

Jeśli ta kobieta miała jakieś żale czy porachunki z członkami rodziny Lorenzów, to powinna rozmawiać z nimi, a nie ze mną.

– Grzech pierworodny – powiedziała i spojrzała na mnie tak, jakby mówiła o czymś oczywistym. – Grzech ciemnego spadku. Proszę uważać, żeby i na panią nie przeszła ta zaraza. – Wypowiadając te słowa, odwróciła się. – Oni grają w swoją grę. Proszę grać we własną.

Po tych słowach zniknęła, zamykając za sobą drzwi.

Stałam bez ruchu. Poczułam się bezradna. Spojrzałam na fasadę budynku. Okienne były zamknięte. Mój wzrok powędrował wzdłuż budynku w poszukiwaniu numeru domu. Nigdzie go nie znalazłam. Spojrzałam na nazwę ulicy: Via dei Vespri.

Pod wpływem pierwszego impulsu od razu poszłam do Tancrediego. Nie miałam powodu, by przemilczeć ten incydent. Poza tym szukałam wyjaśnienia tej zagadki. Jednak nie było to takie proste, żeby spotkać się z nim w ciągu dnia. Na pierwszym piętrze domu między gabinetem Calogera a buduaem Rozalii znajdował się ogromny gabinet padrone. Na biurku Tancrediego leżało mnóstwo segregatorów. Ludzie wchodzili i wychodzili. Najczęściej odwiedzał go zarządca, czasem Chichi, a oprócz nich osoby odpowiedzialne za różne firmy i dzierżawcy. Rozalia była jedyną osobą, która mogła wejść do gabinetu niezapowiedziana. Gdy przyszłam do domu, od razu pobiegłam do teściowej i powiedziałam, że natychmiast muszę się zobaczyć z Tancredim.

– Nie przed obiadem – oznajmiła zdecydowanie Rozalia, co rzadko jej się zdarzało.

– Ale to ważne – próbowałam ją przekonać.

– Są u niego ludzie, którzy podróżowali wiele godzin, by zasięgnąć u niego porady.

Porozmawiaj z nim podczas sjeisty – zaproponowała.

Zlekceważyłam jej radę.

– Chcę go tylko zapytać, kiedy znajdzie dla mnie kilka minut – powiedziałam i weszłam do jego gabinetu.

Atmosfera była poważna i chłodna. Tancredi rozmawiał ze starym i z młodym mężczyzną. Obydwaj mieli na sobie czarne garnitury, które specjalnie założyli na spotkanie z padrone.

– Nie ma trzeciego odroczenia. Wiedzieliście o tym wcześniej – stwierdził stanowczo Tancredi.

Starszy mężczyzna chciał coś odpowiedzieć, ale im przeszkodziłam. Wszyscy odwrócili się i spojrzeli na mnie. Zaraz za mną weszła Rozalia.

– Przepraszam – odezwałam się po angielsku, zapewne z powodu zdenerwowania. – Możemy zamienić dwa słowa?

Widziałam, że Tancredi chciał mi odmówić, ale nie mógł sobie pozwolić, żeby strofować żonę przy gościach. Wstał, wykonał gest wyrażający ubolewanie, spojrzął na mnie i powiedział:

– Naturalnie.

Tancredi chciał iść do pokoju swojej matki.

– Nie tam. Lepiej u nas – oznajmiłam i dostrzegłam przerażony wzrok Rozalii.

W oczach męża zauważyłam złość. Musiał szybko podjąć decyzję, po czym zwrócił się do gości.

– Dlaczego nie zjecie z nami? – zapytał niechętnie.

Obydwaj mężczyźni wstali i podziękowali za zaproszenie. Bez upewnienia się, że za nim poszłam, Tancredi podążył do lawendowego skrzydła domu. Czułam na sobie ciekawski wzrok Rozalii i żałowałam, że nie poczekałam do sjesty.

Weszliśmy do pokoju.

– Przykro mi, jeśli ci... – zaczęłam.

– O co chodzi? – przerwał mi.

– Znasz starszą kobietę z Via dei Vespri?

Wydawało się, że nie wie, o czym mówię.

– Ona mieszka po prawej stronie ulicy, mniej więcej pośrodku. Zaczepiła mnie, gdy tamtędy szłam.

– Kiedy?

– Przed chwilą.

Potrząsnął głową.

– Co chciała?

– Trudno powiedzieć... – zawahałam się.

Gdy miałam powtórzyć jej słowa, wydały mi się zbyt teatralne. Miałam wrażenie, jakby poinformowała mnie o jakiejś przepowiedni. Jednak nie chciałam, żeby Tancredi pomyślał, że wywołałam go z ważnego spotkania z powodu błahostki.

– Ona mówiła o chorobie w waszym domu – odezwałam się po chwili.

– Chorobie? Kto jest chory?

– Tego nie powiedziała. Zjawiała się tak nagle, a potem mówiła o chorobie, grzechu pierworodnym i zniknęła.

Nie dostrzegłam poruszenia na twarzy mojego męża, ale czułam, że wie, o czym mówię.

– Grzechu pierworodnym? – zapytał i przeszedł parę kroków.

– Powiedziała, że każdy boi się mówić o chorobie.

– Ludzie są przesądni.

– Tak właśnie pomyślałam. Ale o co lub o kogo mogło jej chodzić?
– Co jej odpowiedziałaś? – zapytał.
– Nic. Nie miałam nawet możliwości... – odpowiedziałam zgodnie z prawdą.
– To dobrze. Nie zwracaj uwagi na ludzkie urojenia – stwierdził i stanął pod światło tak, że widziałam jedynie zarys jego sylwetki.

– Bardzo się przestraszyłam. Ona była taka zdecydowana, ale to brzmiało jak brednie.

Dyskretnie spojrział na zegarek.

– Dobrze, zajmę się tym – zapewnił mnie.

– Zajmiesz? Co to oznacza? – próbowałam się dowiedzieć.

– Zapytam ją, o co jej chodziło.

– Masz jakieś podejrzenia, kto to był?

– Zostawmy to.

– Ale co? – zdziwiłam się.

– To niestosowne, by cię obciążać.

– Obciążać to za dużo powiedziane. Tylko to, w jaki sposób ona to powiedziała...

– Rozumiem. – To ostatnie słowo nie miało na celu uspokojenia mnie, ale raczej służyło zakończeniu rozmowy. – Porozmawiam z nią.

– Czyli wiesz, kto to był?

– Via dei Vespri? – Zrobił krok w stronę drzwi. – Tak mi się wydaje, że wiem.

– Tancredi, co ta kobieta od was chce?

– Dziękuję, że mnie od razu poinformowałaś.

– Porozmawiamy o tym później? – zapytałam z nadzieją w głosie.

– Jutro – odpowiedział.

– A dlaczego nie dziś?

– Muszę jechać do Agrigento.

– Nic o tym nie mówiłeś – powiedziałam rozczarowana.

– Tak.

Próbowałam zatrzymać go przy drzwiach, ale poszedł dalej.

– Zaniepokoiło cię to, co powiedziałam?

– Nie – oznajmił i wzruszył ramionami.

Nie poszłam za nim. Byliśmy już na korytarzu, gdzie każdy mógł nas słyszeć. Po chwili

zamknęły się za nim drzwi do biura.

67 Włoski dość mocny napój alkoholowy z przefermentowanych wyłoków i pestek winogron (przyp. tłum.).

Rozdział osiemnasty

Tancredi nie nawiązał do naszej ostatniej rozmowy ani po swoim powrocie z Agrigento, ani później. Znowu wyjechał, tym razem do Mesyny, na rozmowy z zarządem prowincji. Towarzyszyła mu Rozalia. Spędzili tam tydzień. Uspokoilo mnie, że nie przejął się tą sprawą. Prawdopodobnie był świadomy, że w okolicy było wielu ludzi, którzy uważają za ekscytujące przypisywanie różnych historii bogatej rodzinie. Plotka ma różne oblicza. Najczęściej chodzi o zasianie ziarna niepokoju.

Parę dni później znowu znalazłam się na uliczce Via dei Vespri. Późnym popołudniem, niedługo po sjeście, w mieście ponownie budziło się życie. Szłam wzdłuż uliczki i już z daleka dostrzegłam dom, którego szukałam. Wszystkie okiennice były zamknięte, co podczas upału nie było niczym niezwykłym. Stanęłam, rozejrzałam się, czy nikt mnie nie obserwuje, zdobyłam się na odwagę i zapukałam. Ze środka nie dobiegały żadne odgłosy. Nikt nie wyjrzał przez okno. Prawie mi ulżyło i chciałam iść dalej, ale ta cisza wydała mi się niepokojąco dziwna. W starych domach zazwyczaj mieszkało sporo ludzi, bo sycylijskie rodziny były duże. Dlatego wydało mi się niemożliwe, że nikogo nie było w środku. Jeszcze raz zapukałam.

– Signora! – krzyknęłam. – Czy mogłybyśmy chwilę porozmawiać?

Znowu cisza. W domu naprzeciwko zaskrzypiały drzwi. Byłam żoną Tancrediego di Lorenzo i nie powinnam wzbudzać niczyjzego zainteresowania, więc poszłam dalej w stronę nabrzeża.

– Oni wyjechali – usłyszałam głos zza zamkniętych okiennic.

– Słucham? – Spojrzałam w górę. – Rodzina z naprzeciwka wyjechała? Dokąd?

– Do krewnych.

Skrzypnęły okiennice i się otworzyły.

– Jak długo ich nie ma? – zapytałam.

– Od jakiegoś tygodnia.

– Kiedy wrócą?

– Trudno powiedzieć.

Podeszłam pod okno i zobaczyłam wąski nos i przymrużone oczy mężczyzny.

– Zajmuje się pan domem podczas ich nieobecności?

– Nie – odpowiedział szybko. – Nie mam z tym nic wspólnego.

– Z czym?

– Nie wiem, ile czasu ich nie będzie – oznajmił i energicznie zamknął część okiennicy.

– Signore, czy może mi pan jeszcze powiedzieć...

Nic się już więcej nie dowiedziałam. W zamyśleniu powoli poszłam przed siebie. Za chwilę wpadło mi do głowy, kogo z rodziny mogłabym zapytać o całe zajście. Pomyślałam o Felicji. Minęło trochę czasu od momentu, gdy mogłyśmy spokojnie porozmawiać. Rzadko się kontaktowałyśmy. Ja wsiąkałam w życie rodzinne, a ją pochłonęła praca zawodowa i dopiero wróciła z Cosenzy. Wieczorem miała się zjawić na kolacji, co było dobrą okazją do rozmowy.

Felicja miała swój ulubiony deser – pesche ripiene, czyli nadziewane brzoskwinie. W tym czasie byłam w kuchni częstym gościem, a jednak miałam wrażenie, że kobiety nie czuły się zbyt swobodnie podczas mojej obecności. Gdy tego popołudnia postawiłam swoje zakupy i przywitałam się ze wszystkimi, w kuchni już gotowano i smażono. Antonia rozbierała trzy kurczaki i kładła kawałki mięsa na dużej patelni. Była też młoda dziewczyna o imieniu Mira. To siostra Chichiego. Znalazłam wolne miejsce, gdzie mogłam przygotować deser. Teraz nie było świeżych brzoskwiń, więc musiałam otworzyć słoik z wekami z zeszłego roku. Nasączyłam migdałowe ciasteczka w winie marsala i soku cytrynowym, a następnie rozgniotłam je widelcem i zmieszałam z cynamonem i żółtkiem. Duży piec był zajęty, musiałam więc wstawić je do starej kuchenki, która była opalana drewnem. Antonia zaproponowała, że mi pomoże.

– Dziękuję, sama sobie z tym poradzę – stwierdziłam. – W Anglii wiemy, jak dobrze rozpalić ogień.

– Drewno znajdzie pani na zewnątrz – powiedziała Antonia.

Przed kuchnią znajdowało się pomieszczenie przypominające zimowy ogród. W chłodne dni wystawiano tu potrawy do ostygnięcia. Drewno, które znalazłam, było grubo rozłupane i całkiem spore. Spróbowałam je rozpalić za pomocą papieru. Zapaliło się, zadymiło i znowu zgasło. Do angielskiego kominka używałam brzozy albo sosny. Z drewnem z drzewek oliwnych nie miałam do czynienia. Po następnej nieudanej próbie przyszła Antonia i ostrym nożem przekroiła kawałek drewna. Tym razem płomienie buchnęły wysoko. Szybko wyszłam na zewnątrz, żeby przynieść więcej drewna. Gdy wróciłam, Mira właśnie zniknęła w drzwiach,

które prowadziły do nieużywanej piwnicy. Tylko mi mignęła, więc sama nie byłam pewna, czy dobrze widziałam. Niosła talerz ze smażoną polentą⁶⁸ i czymś z bakłażanów. Nie rozumiałam, po co tam poszła. Pozostałe kobiety nadal pracowały w kuchni. Dyskretnie obserwowałam drzwi do piwnicy. Podczas gdy piecyk się nagrzewał, wypełniłam brzoskwinie masą z ciasteczek i udekorowałam je migdałami. Wysmarowałam blachę masłem i położyłam na niej brzoskwinie. Od kiedy Mira zeszła do piwnicy, minęło już dziesięć minut. Ogień dogasał, więc doniosłam drewno. Wróciłam z paroma kawałkami na opał. Mira stała już przy zlewozmywaku i płukała warzywa. Nigdzie nie widziałam talerza, który zaniósła do piwnicy. Kobiety stanęły do mnie plecami. Na kolację nie przygotowywały polenty ani bakłażanów. Dołożyłam drewno, stanęłam obok Miry i umyłam ręce. W skupieniu obierała marchewkę. Najłatwiej byłoby ją zapytać, co robiła, ale nie chciałam wprawiać jej w zakłopotanie. Miałam nadzieję, że nadarzy się okazja, by porozmawiać o tym w cztery oczy. Włożyłam deser do piecyka.

Pół godziny później wyjęłam go i postawiłam do ostygnięcia. Później posypałam cukrem pudrem. Chciałam jeszcze przed obiadem pójść do swojego pokoju i trochę porysować, gdy w korytarzu zadzwonił telefon. Byłam właśnie przy schodach, dlatego bez zastanowienia podniosłam słuchawkę. Jakiś mężczyzna chciał rozmawiać z Rozalią. Powiedziałam, że nie ma jej w domu.

– Jestem doktor Siragusa. Proszę jak najszybciej zawiadomić signorę di Lorenzo. Jej córka miała wypadek. Spadła z konia.

– Felicja? – zapytałam przerażona i wyjaśniłam, że jestem żoną Tancrediego.

Potwierdził. Felicja była cała połamana i podejrzewano wstrząśnienie mózgu. Obiecałam, że wszystkich powiadomię. Przerażona stałam w korytarzu. Zbliżał się wieczór. Tancredi był jeszcze w Mesynie, a Rozalia na plantacji. Szukanie jej nie miało sensu. Postanowiłam natychmiast pojechać do szpitala, ale wcześniej musiałam poinformować resztę rodziny o tym, co się stało. Poszłam na górę do gabinetu Calogera.

⁶⁸ Włoska potrawa ludowa sporządzana pierwotnie z mąki kasztanowej, obecnie z mąki kukurydzianej lub kaszki kukurydzianej, niekiedy z dodatkiem sera i różnych sosów, na przykład pomidorowego. Rodzaj mamałygi (przyp. tłum.).

Rozdział dziewiętnasty

Doktor Siragusa, szef kliniki w Monteleone, był przysadzistym mężczyzną o szarym kolorze skóry.

– Najbardziej martwi mnie ten krwiak. Może świadczyć o tym, że tętnica za okiem pękła, a to jest oznaka złamania kości czaszki – stwierdził lekarz.

W szpitalu zjawilo się niemal natychmiast tuzin członków rodziny Lorenzów. Płaczące siostry Felicji były pocieszane przez swoich mężów. Same uspokajały swoje krzyczące dzieci. Stara ciotka Felicji przyprowadziła korowód starszych pań, które z pomarszczonymi dłońmi złożonymi do modlitwy patrzyły w sufit, a po ich policzkach spływały łzy. Wszyscy zastanawiali się nad tym, jak mogło dojść do takiego nieszczęścia. Wszędzie było słycać głosy:

– Czy Calogero pozwolił Felicji zostawić tego dzikiego konia?

– Niemożliwe, przecież ona świetnie jeździła.

– Może koń przestraszył się węża.

– Co za tragedia!

Felicja leżała w sali na oddziale intensywnej terapii, więc nie mogliśmy do niej wchodzić.

– W tym szpitalu mogę zrobić jedynie zwykłe prześwietlenie czaszki – wyjaśnił doktor Siragusa. – Żeby dokładnie zdiagnozować waszą córkę, potrzebowalbyam zdjęcia trzech warstw struktury kostnej czaszki.

– Gdzie można je zrobić? – zapytała Rozalia.

Przyjechała prosto z plantacji migdałów. Nie chciała tracić czasu, więc nie zdążyła się przebrać. Miała na sobie starą bluzkę, kalosze i była rozczochrana.

– W Katanii. Ale teraz przewiezienie waszej córki byłoby zbyt ryzykowne.

– W takim razie co można zrobić?

– Robimy wszystko, co w naszej mocy, signora. Stan zdrowia pani córki jest stabilny.

Aktualnie nie ma poważnego zagrożenia życia – zapewnił lekarz.

– Co znaczy poważnego?

– Kilka żeber jest złamanych, ale żadne nie uszkodziło płuc. Pani córka będzie miała

jeszcze transfuzję krwi.

Gdy doktor Siragusa objaśniał nam stan, w jakim znajdowała się Felicja, Calogero położył rękę na ramieniu Rozalii.

– Musimy czekać, aż wybudzi się ze śpiączki. Najważniejsze, żeby dobrze zniosła noc.

– Nie można tego... aparatu rentgenowskiego sprowadzić tutaj? Może helikopterem? – zapytała Rozalia drżącym głosem.

– To niestety niemożliwe, signora di Lorenzo.

– A co będzie, jeśli Felicja nie przeżyje nocy? – zadała kolejne pytanie.

W tym momencie Calogero objął ją czule, jakby chciał jej powiedzieć, że nikt z nas nie ma na to wpływu.

Rodzina wypełniła prawie całą dużą poczekalnię. Również obcy ludzie z podekscytowaniem opowiadali o tym, co się stało. Był już późny wieczór. Zbliżała się dziesiąta, a ja zdałam sobie sprawę, że żaden z członków rodziny Lorenzów nie jadł kolacji. Poprosiłam Chichiego, żeby zawiózł mnie do domu. Na miejscu spakowałam, co mi wpadło w ręce, i z prowiantem wróciłam do szpitala. Jedliśmy zimne naleśniki z mięsem i warzywa ze słoika. Ciotka Felicji kroїła szynkę i salami. Wszyscy zostali zaproszeni na posiłek, nawet ci, którzy nie należeli do rodziny. Nie pomyślałam o winie, ale po kilku minutach znalazło się kilka butelek. Rozdzielono papierowe kubeczki i napiliśmy się za zdrowie Felicji. To był posiłek na cześć Felicji. W ten sposób dodawaliśmy jej sił. Wzięłam ze sobą również nadziewane brzoskwinie, które przygotowałam specjalnie dla niej. Pokroiłam je i rozdałam na serwetkach. Z każdej strony słyhać było pochwały. Gdy wybiła północ, wznieśliśmy toast za Felicję, bo nikt nie miał wątpliwości, że niedługo wyzdrowieje.

W końcu przyszedł doktor Siragusa i wyjaśnił, że nie ma sensu czekać w szpitalu, dopóki Felicja jest w śpiączce. Dwie siostry pojechały do domu, żeby ułożyć dzieci do snu. Pozostali jednak czekali. Szef szpitala dał się nawet namówić na kubeczek wina. Około trzeciej zjawił się Tancredi. Wyglądał na bardzo zmęczonego. Najpierw objął swoją matkę, a później mnie. Przyjście Tancrediego oznaczało pojawienie się głowy rodziny i doktor Siragusa szybko wyjaśnił mu, co dolega Felicji. Pozwolił też na jej odwiedzinę.

– Mamo, tato – powiedział Tancredi, a potem spojrzał na mnie. – Wchodzimy.

– Ale tylko na parę minut – poprosił lekarz.

Znaleźliśmy się na oddziale intensywnej terapii. Na końcu korytarza było przeraźliwie

cicho. Weszliśmy do sali, w której leżała Felicja. Miała całą spuchniętą twarz, ale najgorszy był jej wyraz. Śpiączka, w której się znalazła, nie przypominała spokojnego snu, tylko niekończący się koszmar. Felicja oddychała miarowo. W milczeniu staliśmy przy jej wątłym ciele, które było przysłonięte wieloma rurkami i otoczone aparaturą.

Nagle Rozalia usiadła na brzegu łóżka i ostrożnie wzięła swoją córkę za rękę.

– Jesteśmy tu. Wszyscy jesteśmy przy tobie. Jesteśmy.

Calogero wydawał się opanowany, tylko jego mocno zaciśnięta szczęka zdradzała, że jest bardzo spięty i boi się o swoje dziecko.

Po chwili lekarz poprosił, żebyśmy wyszli. Rozmawiał ze specjalistą z Katanii, który właśnie jechał karetką do Monteleone. Dzięki jego pomocy następnego dnia mieli postawić precyzyjną diagnozę. Rozalia nalegała, że chce być przy córce, a Calogero nie mógł zostawić jej samej. Obydwoje przekonali mnie i Tancrediego, żebyśmy pojechali do domu i odpoczęli.

W drodze do domu Tancredi objął mnie, a ja przytuliłam się do niego i rozkoszowałam się rześkim nocnym powietrzem. Dojechaliśmy do domu. Tancredi był potwornie zmęczony, mimo wszystko pocałował mnie czule przed wejściem. Bez pośpiechu weszliśmy po schodach. W pokoju padł na łóżko w ubraniu. Położyłam się obok niego. Złączyliśmy się w namiętym uścisku. Podniecony, a zarazem pełny romantycznej melancholii Tancredi kochał się ze mną z wielkim oddaniem. Poczułam ogromną rozkosz. Kurczowo się go trzymałam i chciałam, żeby został przy mnie jak najdłużej. W końcu zorientowałam się, że usnął. Pocałowałam go, a sama się rozebrałam. Tancredi mamrotał coś przez sen. Gdy go przykryłam, rozplakałam się z nadmiaru emocji.

Otworzyłam okno, opuściłam moskitierę i wsłuchiwałam się w odgłosy nocy. Poczułam jedność z jego rodziną i ogarnęła mnie radość. Najpierw myślałam o tym miejscu, w którym się znalazłam, i moim mężu, a później o Felicji, która leżała sama wśród urządzeń podtrzymujących ją przy życiu. Później miałam przed oczami niemego ojca rodziny i Rozalię, która dzisiejszej nocy nie mogła zrobić nic poza czekaniem. Oczami wyobraźni widziałam tę rodzinę jako rozgałęzione drzewo. Korzenie, pień i korona były nierozdzielnie ze sobą połączone. Nawet ptaki, które uwiły w jego gałęziach swoje gniazda, należały do jednego organizmu, który zwał się Lorenzowie. Również i ja znalazłam się pod koroną tego drzewa. Zawsze myślałam, że to ja sama będę pojedynczym drzewem, niezależnym od nikogo. W objęciach Tancrediego poczułam się szczęśliwa. Angielka, która chciała ustalać nowe zasady, zniknęła. Stałam się jedną z nich.

Wstałam, założyłam szlafrok i wyszłam z pokoju. Jak duch zesłam cicho po schodach, a później korytarzem poszłam do kuchni. Gdy były w niej gotujące kobiety, wydawała się przytulnym miejscem. Bez ludzi była zimna i nieprzyjemna. Napiałam się wody, usiadłam i przyglądałam się wszystkiemu wokół. Nagle mój wzrok padł na drzwi do piwnicy. Nie były zamknięte. Pchnęłam je. Spodziewałam się schodów, ale zobaczyłam wąski, oświetlony korytarz. Na ścianie wisiał wizerunek Jezusa z krwawiącym sercem, a pod nim stał świecznik z płonąca świecą. Korytarz prowadził do ukrytej części domu, której nigdy nie widziałam. Przez chwilę się wahałam, ale w końcu zamknęłam za sobą drzwi. Kamienne płytki były stare i wytarte. Później zrobiło się ciemno. Otworzyłam szeroko oczy. W oddali było widać nikłe światło. To dziurka od klucza. Doszłam do kolejnych drzwi, wstrzymałam oddech i zaczęłam nasłuchiwać. Wszędzie panowała cisza, a jednak czułam, że za tymi drzwiami ktoś był. Zapukałam tak cicho, że prawie sama tego nie usłyszałam.

– Permesso69?

Żadnej odpowiedzi. Zawiązałam mocniej pasek od szlafroka, tak jakbym się czegoś obawiała. Ostrożnie otworzyłam drzwi. Rzuciłam okiem na pokój, który w tym bogatym domu wydawał się wyjątkowo skromny. Stały w nim nieduże metalowe łóżko, stół i taboret. Na ścianach wisiały dwa obrazy – jeden z wizerunkiem Jezusa, a naprzeciwko Madonna na tle sycylijskiego krajobrazu. Szafa z bielizną była otwarta. Pokój był malutki, a mimo to wydawało się, że jest tu wszystko potrzebne do życia. Na łóżku siedziała starsza pani. Kobieta miała na sobie czarną sukienkę, chustę na ramionach, a jej włosy były cienkie i zaczesane do tyłu. Na nogach miała czarne rajstopy i buty w takim samym kolorze. Siedziała bez ruchu, a jej wzrok zwrócony był w stronę małego okna. Patrzyła w bliżej nieokreśloną przestrzeń. Ręce miała splecione na kolanach. Nie odezwałam się ani nie poruszyłam, mimo wszystko wyczuła, że ktoś wszedł, więc odwróciła głowę w moją stronę. Miała jasne, przejrzyste i dziecinne oczy.

– Dobry wieczór, signora. Mam nadzieję, że nie przeszkadzam – odezwałam się.

Jej wzrok wyrażał zainteresowanie, a jednocześnie wydawał się nieobecny, tak jakbym przeszkodziła jej w ważnych rozmyśleniach.

– Jestem Diana. Żona Tancrediego. Nie miałyśmy okazji się poznać.

Ostrożnie podeszłam bliżej, bo myślałam, że poda mi rękę.

Przechyliła głowę i nagle promiennie i bezzębnie się uśmiechnęła.

– Jak się pani nazywa? Ja jestem Diana – powtórzyłam.

Prawie niezauważalnie poruszała ustami, jakby mówiła razem ze mną. Wyrwał jej się cichy ton, ale ani jednego słowa, żadnego zdania, raczej coś, co przypominało gaworzenie niemowlaka. Uniosła dłonie, w których trzymała różaniec.

– Przeszkodziłam pani w modlitwie? Proszę mi wybaczyć.

Ze splekanych, bezzębnych ust wydobył się cichy dźwięk przypominający skrzek. Dostrzegłam drugie drzwi. Chciałam zobaczyć, czy prowadzą na zewnątrz.

– Pozwoli pani?

Otworzyłam je i zapaliłam światło. Za drzwiami znajdowała się łazienka prawie tak duża, jak pokój, a w niej ręcznik, papier toaletowy, mydło. Gdy się odwróciłam, zobaczyłam talerz, który został przyniesiony poprzedniego wieczoru.

– Smakowała pani polenta? Jak się pani nazywa? – Usiadłam obok niej na łóżku. – Należy pani do rodziny czy pracowała pani wcześniej w kuchni?

Wydawało mi się, że mnie nie rozumie. Obracała w palcach różaniec i tylko się uśmiechała.

– Nie chce się pani położyć spać? – spytałam i pogłaskałam ją po dłoni.

Chyba jej się to spodobało. Przyglądała mi się uważnie, po czym odwzajemniła mój uścisk. Gdy tylko przestałam, straciła zainteresowanie, a jej wzrok powędrował w stronę okna, tak jakby o mnie zapomniała.

Nie od razu wstałam. Zastanawiałam się, dlaczego żaden z członków rodziny, nawet Tancredi, nie powiedział mi o istnieniu tej kobiety, a kucharki ukrywały to, że się nią opiekują. Ktoś musiał się troszczyć o jej posiłki, sprzątać pokój. Dlaczego nic wcześniej nie zauważyłam? Jeśli rzeczywiście należałam do rodziny, to dlaczego o tym nie wiedziałam? Co było złego w tym, żebym dowiedziała się o starszej krewnej, która spędzała tu ostatnie lata swojego życia? Rodzina miała niezliczoną ilość ciotek i kuzynek. Czym ta kobieta różniła się od innych? Już samo to, że nie miała zębów, nie było niczym niezwykłym. W najbliższym otoczeniu było wiele kobiet i mężczyzn, którzy mieli tylko jeden ząb. Z jego pomocą bez problemu można było sobie poradzić z miękkimi potrawami. Polentę ugotowano specjalnie dla tej starszej pani. Westchnęłam i wstałam, ale ona nie zwróciła na to uwagi.

– Dobranoc. Wkrótce ponownie panią odwiedzę, signora. Wtedy już będę wiedziała, kim pani jest i dlaczego tu mieszka.

Nawet na mnie nie spojrzała. Wyszłam i ostrożnie zamknęłam drzwi. Świeca pod

wizerunkiem Chrystusa nadal płonęła. Ktoś musiał ją zapalić na krótko przed pójściem spać.

Gdy stanęłam przed śpiącym Tancredim, przez chwilę miałam ochotę go obudzić, żeby się wszystkiego dowiedzieć. Jednak zrezygnowałam. Wskoczyłam do łóżka i pogłaskałam jego posiwiały tors. Jeszcze długo potem nie mogłam usnąć.

69 Można (wł.).

Rozdział dwudziesty

Gdy obudziłam się nad ranem, Tancrediego nie było ani w łóżku, ani w łazience. Po nocnych przeżyciach czułam się jakoś nieprzyjemnie. Wszyscy w domu żyli jedynie losem Felicji, a ja myślałam wyłącznie o moim odkryciu. Prawie zapomniałam o wypadku. Rozalia znowu była w domu. Rodzina zebrała się w salonie i rozmawiała. Właśnie skończyli jeść śniadanie. Przyszły nie tylko siostry, ciotki i ich dzieci, ale również mężowie. Nikt nie myślał o pracy. Rodzinne nieszczęście było ważniejsze niż obowiązki. Rozalia akurat coś opowiadała. Przysiadłam się do niej. Dowiedziałam się, że Felicja jeszcze się nie obudziła, ale odwiedził ją lekarz z Katanii, najlepszy specjalista na Sycylii. Jeśli ktoś mógł pomóc mojej szwagierce, to podobno tylko on.

– Zazwyczaj kości czaszki zrastają się same – oznajmiła Rozalia w taki sposób, jakby sama była lekarzem. – Operacje wykonuje się tylko w wyjątkowych sytuacjach. Specjalista powiedział, że jest nadzieja, iż krwawienie w oku ustąpi.

Podobno lekarz wykonał test, który polegał na wprowadzeniu fluorescencyjnej cieczy. Ciotki i córki kiwały głowami jakby to, co powiedziała Rozalia, było dla nich jasne jak słońce.

– Możemy ją odwiedzić, ale w pokoju mogą być najwyżej trzy osoby – zakończyła swój wywód Rozalia i zaczęła ustalać kolejność odwiedzin.

Później zwróciła się do mnie:

– Tancredi chce jechać z tobą do kliniki przed obiadem. Powiedział, że cię odbierze.

Pokiwałam głową i podziękowałam Antonii za to, że przyniosła mi kawę. Przez chwilę miałam ochotę pójść za nią do kuchni i odwiedzić starszą panią. Zastanawiałam się, z kim mogę porozmawiać o odkryciu, jakiego dokonałam zeszłej nocy. Jednak stwierdziłam, że na razie jest to niewłaściwy moment.

Krótko przed obiadem byłam gotowa do wyjazdu. Siedziałam beczynnie i wyglądałam przez okno, wypatrując samochodu Tancrediego. Minęła godzina. W końcu zeszłam na dół. Na parterze natknęłam się na zarządcę, którego postanowiłam zapytać o swojego męża.

– Tancredi nie wróci do domu przed wieczorem – odpowiedział zdziwiony. – Nie

poinformował pani?

Tancredi musiał pojechać do Geli, ponieważ jeden z największych statków rybackich miał awarię silnika. Trzeba było przeladować ryby na otwartym morzu, żeby się nie popsowały. Pierwszy raz sama siedziałam przy obiedzie. Ani jednej ciotki, ani jednej bratowej z dzieckiem, nikogo poza mną i służbą krzątającą się po domu. Czekałam przy ogromnym stole, aż Antonia przyniesie misę z pastą. Nałożyła mi i poszła z powrotem do kuchni. Wzięłam parę kęsów, przyjrzałam się starym, ciemnym meblom i obrazom przedstawiającym krewnych. Poczulałam się tak, jakbym była jedyną osobą, która przeżyła w wielkim zamku. Odłożyłam widelec, odsunęłam od siebie talerz i wstałam od stołu.

– Dziękuję, już nie będę jadła – powiedziałam do Antonii i poszłam do swojego pokoju.

Kolejny raz żałowałam, że nie mam samochodu. A nie chciałam gdziekolwiek jechać w towarzystwie Chichiego. Chwyciłam kurtkę i pobiegłam na dół.

– Gdzie są kluczyki do ape70? – zapytałam w kuchni.

Antonia i Mira spojrzały na mnie ze zdziwieniem.

– Po co ci one, signora?

– Wyjeżdżam – oznajmiłam.

– Zawołam Chichiego.

– Bez Chichiego – powiedziałam stanowczo i zagroziłam im drogę. – Tancredi pokazał mi, jak działa ape. Gdzie są kluczyki?

Po chwili wahania Antonia zaprowadziła mnie do wieszaka z przeróżnymi kluczykami. Nie wiedziała, czy wolno jej wydać jedno z nich.

– Który to? Ten? – zapytałam.

Nie odpowiedziała, ale zdradził ją wzrok.

– Dziękuję.

Energicznym krokiem wyszłam z domu.

– Co mam powiedzieć pani Rozalii, jeśli...?

– Jadę do szpitala. Sama jej powiem!

Ape był najdziwniejszym włoskim pojazdem, jaki widziałam. Przypominał moped71 na trzech kołach. Miał malutką kabinę kierowcy i miejsce do załadunku. Był to niezastąpiony środek transportu dla właścicieli niewielkich gospodarstw, którzy wozili swoje produkty z pola do sklepu. Oczywiście Tancredi nie miał ani czasu, ani powodu, by pokazać mi, jak to działa, ale

stwierdziłam, że sobie poradzę. Pojazd stał pod pergolą. Wsiadłam do środka i przekręciłam kluczyk w stacyjce. Silnik zapalił. Dźwignia zmiany biegów była nieopisana, więc niechętnie włączyłam bieg wsteczny. Ape nie ruszył z miejsca. Po trzech próbach już wszystko wiedziałam. Pojazd koszmarnie hałasował. Skręciłam w aleję. Gdy znalazłam się piętnaście kilometrów od willi, ogarnęło mnie uczucie nieoczekiwanej wolności. Czy naprawdę potrzebowałam na to aż pół roku? Postanowiłam, że poproszę Tancrediego o samochód. Ja, która w swoim kraju wszystko zawdzięczałam wyłącznie sobie, teraz musiałam prosić swojego męża, żeby zorganizował mi środek transportu. Na trzecim biegu, przy czterdziestu kilometrach na godzinę z terkotem wjechałam na główną ulicę. Dojechałam do miasta, a chwilę później – do kliniki. Wsiadłam tak dumna, jakbym właśnie zamykała za sobą drzwiczki jakiegoś luksusowego samochodu. Kręcąc kółeczkiem od kluczyka na palcu, weszłam do szpitala.

– Minęła się pani z signorą di Lorenzo. Wyszła kilka minut temu – powiedziała pielęgniarka.

Mój wzrok powędrował w kierunku ściennego zegara. Druga po południu. Nawet tego dnia rodzina pojechała do domu, by skorzystać ze sjesty. Zapytałam o stan Felicji. Niestety nic się nie zmieniło.

– Jest u niej ktoś jeszcze? – zapytałam.

Siostra pokręciła głową.

– Mogę do niej wejść?

– Proszę. Tędy na wprost – powiedziała i wskazała mi drogę przez korytarz.

Znowu znalazłam się w sali wypełnionej aparaturą medyczną. Usiadłam na krześle obok łóżka. Pielęgniarka wyszła. Zaległa cisza. Obrzęki na twarzy Felicji powoli zanikały, a jej twarz miała teraz fioletowy kolor. Słyszałam własny oddech. Moje myśli krążyły bez celu. Przed oczami pojawiły się obrazy z mojej przeszłości, które mieszały się z teraźniejszością. Patryk i ja w fabryce guzików, moje malutkie mieszkanko w Londynie, starsza, modląca się kobieta w ukrytym pokoju w domu Lorenzów. Poczułam jakiś ciężar na sercu, westchnęłam i usnęłam. Gdy się obudziłam, Felicja właśnie mi się przyglądała. Jej prawe oko było bardzo przekrwione, a usta ledwo się poruszały, jakby coś przeżuwała. Wolną ręką przycisnęła igłę z doczepioną rurką na swojej dłoni. Jej wzrok powoli wędrował po pomieszczeniu. Chyba próbowała ocenić, gdzie się znajduje. Rozpoznała mnie i próbowała się uśmiechnąć, ale jej twarz była nieruchoma. W jej oczach dostrzegłam ból i cierpienie.

– Znowu jesteś z nami – powiedziałam i przysunęłam się do niej. – Jeszcze raz miałaś szczęście. Wszyscy troszczyli się o ciebie. Rozalia dopiero wyszła.

Felicja chciała coś powiedzieć, ale tylko westchnęła. Nie mogła podnieść głowy ani się ruszyć.

– Nie wiem, czy powinnaś mówić – oznajmiłam, głaszcząc ją po dłoni.

– Jak... jak długo? – wybełkotała.

– Wczoraj miałaś wypadek. Przypominasz sobie? Spadłaś z konia.

– Guido – wyszeptała imię swojego konia.

– Tak, Guido cię zrzucił.

W pierwszej chwili chciałam zawołać lekarza. Wyrzałam na korytarz, ale nikogo nie było. Panowała absolutna cisza, typowa dla poobiedniej włoskiej sjesty. Siedziałam obok Felicji, trzymając ją za rękę.

– Jak właściwie nazywa się ta starsza kobieta, która mieszka w pokoju obok kuchni? – zapytałam nagle.

Wiedziałam, że to nie był dobry moment na zadawanie takich pytań, ale stwierdziłam, że inaczej niczego się dowiem. Uważnie obserwowałam jej reakcję.

– Benedetta – odpowiedziała, jakby to było oczywiste.

– Czy ona jest...? Mieszka tam od dawna?

Felicja oblizła wargi i powiedziała:

– Przez całe swoje życie.

Wskazała na dzbanek z zimną wodą. Nalałam szklankę wody i delikatnie podsunęłam jej do ust. Upiła parę łyków. Natychmiast lekko otrzeźwiała. Przyglądała mi się teraz trochę bardziej przytomna.

– Kiedyś jednak Benedetta opuściła swój pokój? – zapytałam.

Felicja chwilę się zastanowiła i mrugnęła.

– Czyli jednak wychodziła. Kiedy to było?

– W tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym drugim. Wtedy odnawiano jej mieszkanie.

– Siedzi tam dzień i noc?

– Podoba jej się to. Ona dużo się modli.

– Kim jest Benedetta? Pracowała kiedyś u was?

– Moją ciotką – stwierdziła.

– Twoją ciotką? Siostrą Rozalii? – spytałam zaskoczona.

– Nie...

W tej samej chwili nasunęło mi się rodzinne podobieństwo. Nos, spojrzenie pełne czułości. Benedetta była siostrą Calogera i kolejną krewną starego padrone. Mogła przejąć najbardziej szanowaną pozycję w domu, a zamiast tego została zamknięta w pomieszczeniu za kuchnią.

– Dlaczego twoi rodzice jej to zrobili? – zapytałam. – Czy Benedetta jest chora?

– Co się dzieje z moją głową?

– Było krwawienie... – zaczęłam i stwierdziłam, że muszę wreszcie zawołać lekarza. – Powiedz mi jeszcze jedno. Co się stało z Benedettą?

– Ona... ona została dzieckiem – oznajmiła Felicja, po czym się zakrztusiła.

Kaszel sprawiał jej ból. Nacisnęłam dzwonek, a potem wyskoczyłam na korytarz i pobiegłam po pomoc. Za rogiem znalazłam pielęgniarkę, a później zjawił się lekarz dyżurny. Wezwał specjalistę z Katanii.

– Obawiam się, że musi już pani iść, signora – powiedziała grzecznie pielęgniarka.

Przez szklaną szybę obserwowałam, jak Felicja z ciekawością patrzyła na lekarzy, którzy stanęli przy jej łóżku.

Zdenerwowana wyszłam ze szpitala. Nie przeszkadzał mi nawet popołudniowy żar. Siedziałam przez chwilę w ape ze spuszczoną głową. Byłam przerażona, ale nie tyle tym, że rodzina Tancrediego tak traktowała chorą krewną, lecz że trzymali to przede mną w tajemnicy. Benedetta była opóźniona w rozwoju. Nie oddano jej pod opiekę obcym czy do zakładu psychiatrycznego, tak jak by to się odbyło w Anglii. Zatrzymano ją w domu. Całe życie przesiadziała w tym małym pokoju za kuchnią. W ten sposób była chroniona przez rodzinę. Gdy ją odwiedziłam, miałam wrażenie, że obcowałam ze szczęśliwym człowiekiem, jednak cały czas unosiła się nad nią tajemnicza aura. Miałam mętlik w głowie – myśli krążyły wokół Benedetty, tego, co w domu Felicji usłyszałam o Tancredim, a później tych dziwnych słów kobiety z Via dei Vespri. Wszystko to było niepokojące. „Dlaczego nikt mnie w to nie wtajemniczył?” – zastanawiałam się coraz bardziej rozgotyczona.

Ruszyłam w dalszą drogę. Jechałam uliczkami starówki i zatrzymałam się na Via dei Vespri. Nie oczekiwałam, że uda mi się porozmawiać z tamtą kobietą. Postanowiłam, że nie odjadę stąd, dopóki czegoś się nie dowiem. Tym większe było moje zaskoczenie, gdy

zobaczyłam szeroko otwarte drzwi do jej domu. Krzesła, lampy, sprzęty domowe były zgromadzone przed wejściem. Dwóch mężczyzn wynosiło właśnie na zewnątrz kuchenną komodę. Za rogiem dostrzegłam rozklekotaną ciężarówkę.

– Dzień dobry. Szukam pani domu – przywitałam się z tragarzami.

Jeden odwrócił się do swojego kolegi, który bez słowa wskazał mi wewnątrz domu. Gdy nieśli komodę, cały czas rozmawiali w niezrozumiałym dla mnie dialekcie. Weszłam do środka. Mały przedpokój prowadził do kuchni, która jednocześnie była jadalnią. Prawie wszystkie meble zostały wyniesione. Na dole nikogo nie było, więc weszłam na pierwsze piętro.

– Halo? Signora?

W sypialni leżał obraz, który przedstawiał anioła na tle idyllicznego krajobrazu. Prawdopodobnie wcześniej wisiał nad łóżkiem. Po pomieszczeniu kręcił się młody mężczyzna. Ściągał ze ściany fotografie. Był szczupły, mniej więcej w wieku Tancrediego, miał gęste włosy. Uwagę przykuwały jego oczy, bo miał tak grube rzęsy, że wyglądały jak umalowane. Przez chwilę staliśmy naprzeciwko siebie bez słowa w oczekiwaniu, aż jedno z nas odezwie się pierwsze.

– To pani jest tą Angielką – zaczął.

– Skąd pan to wie?

– Matka mi opowiadała.

– Signora, czy ona tu jest?

Nie wiem, dlaczego zadałam to bezsensowne pytanie. Przecież widziałam, że prawie wszystkie meble zostały już wyniesione.

– Nie mogła zostać – odpowiedział. – Tylko dlatego, że z panią rozmawiała.

– Co? – Jego agresywny ton mnie zaskoczył. – To nieprawda.

Wskazał puste pomieszczenia.

– Mieszkała tu przez czterdzieści lat.

– Gdzie teraz jest? – zapytałam.

– To nie pani sprawa. Nie chce zostać jeszcze raz wypędzona.

– Kto ją wypędził?

Nie odpowiedział, tylko dalej pakował fotografie do kartonowego pudła.

– Skąd pan wie, że jestem Angielką?

– Każdy to wie – powiedział i podszedł do mnie bliżej. – Na każdej ulicy i w każdym

domu. Każdego interesuje, co się dzieje na górze, w pałacu. Dlatego że to tam decydują się nasze losy. Jest nowy padrone. Zaczęły się nowe czasy. Poślubił Angielkę, a ona doniosła mu o mojej matce.

Spojrzał na mnie drwiącym wzrokiem.

– Nie jestem tak naiwny jak ona. Moja matka wierzyła, że należy mówić prawdę. Za karę musiała się wynieść – powiedział stanowczo.

– Sumienie będzie panią dręczyć za każdym razem, gdy przejdzie pani Via dei Vespri, signora di Lorenzo. To nie przypadek. Powinna pani, mimo że jest żoną padrone, rozróżniać sprawiedliwość od niesprawiedliwości?

– Jakiej niesprawiedliwości? – zapytałam szorstko. – Proszę skończyć ze swoimi oskarżeniami i powiedzieć, o co tu chodzi.

– Co to zmieni? Żaden sąd tego nie rozwiąże, dopóki Lorenzowie mają coś do powiedzenia.

– Co ma z tym wspólnego sąd?

Po wyrazie jego twarzy zorientowałam się, że rozważał, czy odpowiedź bardziej mu zaszkodzi, czy pomoże.

– Pańska matka mówiła coś o grzechu pierworodnym. Proszę wyjawić mi swoje oskarżenia, a ja postaram się wstawić za...

Co mi przyszło do głowy? Rozmawiałam z kimś, kogo poznałam zaledwie przed minutą. Skąd miałam wiedzieć, że mówi prawdę? A może moim obowiązkiem było jako pierwszego zapytać męża?

– Nie trzeba od razu uciekać się do grzechu pierworodnego – odezwał się. – To tylko słowa rozczarowanej, starej kobiety. W rzeczywistości... – przerwał i wyjrzał przez okno.

Na dole zatrzymał się duży, ciemny samochód należący do rodziny Lorenzów.

– Ach, zamówiła pani szofera? – zapytał drwiącym tonem. – Mogłem to przewidzieć.

– Bzdura – odpowiedziałam gwałtownie, ponieważ mnie również zirytowało pojawienie się samochodu.

Tragarze weszli do środka. Zdenerwowali się i nie wiedzieli, jak się zachować.

Mężczyzna szybko wyjaśnił im, żeby czekali przy ciężarówce.

– Nie ufaj nigdy nikomu, kto nazywa się di Lorenzo – powiedział na zakończenie.

Chciałam jeszcze z nim porozmawiać, ale usłyszałam, że ktoś na dole odpalił silnik

mojego ape. Co to miało znaczyć? Podczas gdy młody mężczyzna był już na ulicy, ja dobiegłam do drzwi. Chichi manewrował moim pojazdem w stronę bramy, by mógł przejechać duży samochód. Wysłali Chichiego! Wiedzieli, gdzie byłam! Kazali mnie śledzić! W tej chwili byłam tak wściekła, że krzyczałam na Chichiego już od progu domu.

– Zostaw to! Co ty tutaj robisz?

Nie odpowiedział, bo cały czas manewrował pojazdem.

– Nie słyszałeś? Ja tu parkuję!

Bez pośpiechu wysiadł i wskazał na samochód, którym przyjechał.

– Proszę pójść ze mną, signora. – Chichi był służalczym typkiem, ale teraz mówił do mnie stanowczym tonem. – Czekają na panią.

– Mogę sama pojechać do domu.

– Proszę, signora – mówił uparcie.

Po chwili zrozumiałam, że to nie Chichi zachował się nieodpowiednio, tylko ja. Tak przynajmniej musiało to wyglądać. Byłam obca i na dodatek sprowokowałam awanturę w Monteleone. Szukałam kontaktu z każdym, kto żył w niezgodzie z moją rodziną. To, czego się podjęłam również i w tym przypadku, nie miało prawa się wydarzyć. Puściłam w ruch maszynę, której nie można już było zatrzymać. Z pewnością czekała mnie teraz rozmowa z Tancredim, a on będzie musiał mi wszystko wyjaśnić.

– Do widzenia! – krzyknęłam do młodego mężczyzny, który stał w milczeniu z kartonem w ręku przy ciężarówce.

Wsiadłam do samochodu, a Chichi zamknął za mną drzwi.

– Co będzie z ape?

– Zostanie stąd zabrany.

Gdy wracaliśmy do willi, Chichi ustawiał boczne lusterko, które musiał złożyć na wąskiej uliczce. Widziałam ludzi w oknach. Ten młody mężczyzna miał rację. Każdy był ciekawy, czego tu szukała żona padrone. Teraz siedzieli w swoich ciemnych pokojach i z pewnością o tym rozmawiali. Dałam im powód do plotkowania.

70 Mały dostawczy trzykołowy pojazd silnikowy produkowany od 1948 roku we Włoszech (przyp. tłum.).

71 Mechaniczny pojazd jednośladowy lub dwuśladowy wyposażony w silnik spalinowy (przyp. tłum.).

Rozdział dwudziesty pierwszy

Rozmowa odbywała się w biurze Tancrediego. Mimo że chciałam się przebrać i odświeżyć, Chichi od razu mnie tutaj przyprowadził.

– Skąd go znasz? – zapytał mój mąż.

– Spotkałam go przypadkowo – tłumaczyłam się, stojąc przed jego biurkiem, jakbym była dzierżawcą, który spóźnił się z płatnościami.

– Przekładkowo? – Tancredi przyglądał mi się uważnie. – Chociaż pojechałaś dokładnie w to miejsce?

– Nie wiedziałam, że on tam będzie. Chciałam spytać jego matkę...

Szybkim ruchem ręki uciął moją wypowiedź.

– Dlaczego akurat z nim? – zapytał.

Tancredi miał na sobie świeżo wyprasowaną koszulę, a włosy wokół twarzy mokre, jakby przed chwilą je umył.

– O to właśnie chciałam ciebie zapytać. Kim jest ten mężczyzna i co ma przeciwko wam?

– Wam?

Twarz mojego męża wyraźnie się zmieniła, co mnie przeraziło. Wysunął dolną szczękę do przodu.

– Wam? – powtórzył. – Tak mówisz o swojej rodzinie?

Usiadłam w fotelu.

– Coś ewidentnie wydarzyło się między rodzinami Lorenzów a tego mężczyzny. Czy nie powinnam o tym wiedzieć?

– Nie masz prawa wchodzić między swoją rodzinę a tych ludzi, Diano! Nieważne, co się wydarzyło i co powiedział ci ten mężczyzna lub ktoś inny. Ty masz stać po stronie swojej rodziny! Jesteś jedną z nas! Rodzina cię chroni i oczekuje od ciebie lojalności. Nieważne, co usłyszałaś albo czego się domyślasz. Rodzina jest zawsze na pierwszym miejscu i zawsze przed innymi! Stawanie przeciwko rodzinie to najgorsze, co możesz zrobić. To najpodlejsza rzecz! To oficjalna zdrada!

– Tancredi, na miłość boską...

Odskoczył ode mnie tak gwałtownie, że z biurka spadło zdjęcie jego matki.

– Ci ludzie łamią prawo! Oczerniają i oszukują innych, bo to im pomaga we własnych interesach. Oni są hańbą Monteleone!

– Dlatego zmusiłeś ich, by wyjechali z miasta? – zapytałam.

Odsunął fotel, który uderzył w ścianę.

– Tak, zrobiłem to! Rodzina Randazzów to nieroby i wichrzyciele. Od dłuższego czasu musiałem ich znosić.

– Decydujesz o tym, kto może tutaj mieszkać? – spytałam zdenerwowana. – Ty decydujesz za innych ludzi, narzucając im swoją wolę?

Zignorował moje pytanie.

– Spotkałaś się z Andream Randazzo w jego domu! Pojechałaś tam, nie ukrywając tego przed nikim. Wszyscy to widzieli! Teraz każdy wie, że moją żonę coś z nim łączy!

– O czym ty mówisz? – spytałam coraz bardziej zniecierpliwiona. – Rozmawiałam z nim krótko, bo chciałam wiedzieć... Intrygowało mnie...

Tym razem Tancredi odczekał, aż skończę.

Zastanawiałam się, jak go zapytać o wyjaśnienie tajemniczych słów, które usłyszałam od tej starszej kobiety, a także o bezzębną staruszkę ukrytą za kuchennymi drzwiami. Od tych sekretów i moich odkryć miałam mętlik w głowie. Niby już byłam na właściwym tropie, a wystarczyło, że znalazłam się w gabinecie Tancrediego, i od razu przestałam logicznie myśleć. Teraz wydawało mi się, że wszystko, co ostatnio przeżyłam, było jedynie urojeniem.

– Dlaczego nigdy nie opowiadałaś mi o Benedecie? – zapytałam nagle.

– O Dette? – Spojrzał na mnie zdumiony. – Co Detta ma z tym wspólnego?

– Żyję z tobą pod jednym dachem, ale nie wiem, co tu się dzieje. Wydaje mi się, że należałoby mi powiedzieć, kim ona jest i dlaczego mieszka w takim skromnym pokoiku.

– Detta jest kochaną, dobrą duszą... – zaczął, szukając odpowiednich słów. – Ale kto ją zobaczy po raz pierwszy, może się jej przestraszyć.

– Tak bojaźliwa to ja nie jestem – oznajmiłam. – Dlaczego musi wegetować w tym malutkim pokoju?

– Ona ma tam wszystko, czego jej potrzeba – powiedział.

Jednak, gdy zobaczył mój powątpiewający wzrok, dodał:

– Ona tak chce.

– Nie wierzę.

– To dlaczego sama jej o to nie zapytasz?

– Benedetta potrafi mówić? – spytałam.

– Oczywiście. – Jego twarz rozluźniła się. – To, czy i z kim rozmawia, zależy tylko od niej.

Widać było, że Tancrediemu ulżyło.

– To była ta sprawa, która tak cię martwiła? Moja stara ciotka? – spytał. – W każdej chwili możemy ją odwiedzić.

– Od kiedy ma to...? Od kiedy jest taka?

– Nie znałem jej innej. – Usiadł obok mnie na sofie. – Ona jest młodsza od mojego ojca.

Od niego wiem, że Detta była normalnym, wesołym dzieckiem. Przynajmniej do trzynastego czy czternastego roku życia. Na starych fotografiach widać, że była ładna.

Próbowałam sobie wyobrazić twarz Benedetty jako małej dziewczynki.

– W takim razie co się stało?

Zanim Tancredi odpowiedział, zmierzył mnie wzrokiem. Chyba zrezygnował z kłótni i przypominania mi, jakie zasady obowiązują w rodzinie Lorenzów.

– To się stało podczas przyjęcia. Moja babcia Marianna chciała wprowadzić Dettę do towarzystwa i zaprosiła kilku młodych mężczyzn z dobrych rodzin, kandydatów na męża. Piknik na trawie odbywał się pod drzewami eukaliptusowymi. Bawiono się w różne gry. Marianna chciała, żeby tego dnia Benedetta wyglądała wyjątkowo pięknie, więc wystroiła ją w szmaragdowy naszyjnik. Podczas gry w chowanego Detta zniknęła. Szukali jej przez całe popołudnie. Wieczorem wyczołgała się z jaskini, która znajdowała się obok wyschniętego koryta rzeki. Była cała brudna i rozczochrana, bez naszyjnika. Nie umiała opowiedzieć, co się stało. Od tego dnia coraz rzadziej się odzywała i coraz bardziej zamykała w sobie.

– Czy w tej jaskini ktoś jej zrobił krzywdę?

– Nie to, co myślisz. Badał ją lekarz. Wszystko było w porządku. Ale życie wesołej dziewczynki zmieniło się nie do poznania.

– Nigdy później nie spotkała żadnego mężczyzny, którego by chciała poślubić?

– Rada rodzinna zdecydowała, że będzie lepiej...

– Ach tak, znowu rodzina zdecydowała, co ma się stać z człowiekiem – powiedziałam z

przekąsem.

– Uspokój się. Jej obłąkanie pogłębiało się z dnia na dzień. Żaden mężczyzna nie podjąłby ryzyka, żeby mieć z nią dziecko.

– Ile ona ma dzisiaj lat?

– Tata będzie miał za rok sześćdziesiąt, więc Detta musi mieć jakieś pięćdziesiąt siedem albo pięćdziesiąt osiem.

– Czterdzieści lat spędziła w tym pokoiku?

– Wcześniej chętnie pomagała w kuchni i dlatego zaczęła nocować w pokoju obok. Aż pewnego dnia nie chciała z niego wyjść.

Mój gniew gdzieś uleciał. Z każdym słowem Tancrediego czułam się coraz bardziej zawstydzona. Zastanawiałam się, skąd u mnie się wzięła ta podejrzliwość wobec jego rodziny. Pomyślałam, że przecież w żadnej, nawet kochającej się rodzinie nie jest tak, aby wszystko było w porządku. Dlatego to, co powiedział młody mężczyzna na Via dei Vespri, zapewne było stekiem bzdur i bezpodstawnych oskarżeń. Nie wiem, dlaczego tak szybko uwierzyłam jemu i jego matce. Przecież nie przedstawili żadnych dowodów. Mogli mną łatwo manipulować, bo nie znałam historii rodziny Lorenzów. Natomiast z przekazu Tancrediego zrozumiałam, że jeśli miałam wątpliwości, powinnam przede wszystkim zasięgnąć jego rady. Byłam pewna, że popełniłam błąd. Wzięłam swojego męża za rękę.

– Przepraszam cię. Byłam nieroztropna. Nie chciałam nikomu zaszkodzić. Ostatnio ciągle byłeś zajęty. Później wydarzyło się to nieszczęście związane z Felicją i... spotkałam tę dziwną kobietę na Via dei Vespri. Wybaczysz mi?

Mówiłam to prosto z serca. Jednocześnie czułam, że były to odpowiednie słowa, by udobruchać mojego męża. Od kiedy stał się głową rodziny Lorenzów, musiał całkowicie się temu poświęcić. W związku z tym sam też się zmienił. Może dlatego nawet oczekiwał ode mnie przeprosin.

Tancredi wziął mnie w ramiona.

– Przeczuwałem, co przynoszę do rodzinnego gniazda, ale nie przypuszczałem, że okażesz się kukułczym jajem... – stwierdził, po czym się roześmiał.

To podobało mi się w nim szczególnie – mimo swojej sycylijskiej surowości potrafił siebie, a także innych traktować z ironią.

Trzy dni później na krótko przed obiadem Tancredi wszedł do pokoju, w którym

pracowałam. Siedziałam nad rysunkami. Byłam zaskoczona jego niespodziewaną wizytą. Rzadko spotykaliśmy się w ciągu dnia.

– Piękny dzień, prawda? – zaczął rozmowę, trzymając w ręku marynarkę.

– Cudowny – odpowiedziałam i sięgnęłam po kredkę.

– Dzisiaj wszystko wydaje mi się piękniejsze niż zwykle: powietrze, kolory. Wyjrzyj przez okno.

Tancredi nie miał w zwyczaju rozmawiać o pogodzie, więc tym bardziej byłam zdziwiona.

– Pozwolisz tylko, że to skończę? – spytałam, nie przerywając pracy.

Nie chciał jednak czekać. Delikatnie wyjął mi kredkę z ręki.

– Kolory są naprawdę wyjątkowe – czerwony, niebieski, fioletowy, a nawet... miętowy – powiedział i otworzył okno.

Po czymś takim zaczęłam się zastanawiać nad jego słowami i wyjrzałam przez okno na podwórze. Zaparło mi dech w piersiach. Na dole stał nie za duży, ale najbardziej zachwycający samochód, jaki widziałam. To był fiat topolino w kolorze mięty.

– To dla mnie?

Najpierw nie mogłam uwierzyć, a później ogarnęła mnie wielka radość głównie dlatego, że Tancredi nie miał mi za złe samotnej przejażdżki ape, a nawet więcej – wreszcie zrozumiał, że jest mi potrzebny samochód. Spełnił moje marzenie, co było zaskakujące.

– Można nawet otworzyć dach – zachwalał prezent, jakim mnie obdarował.

– Dach... Ojej, o tak. To wyjątkowo piękny samochód – wykrztusiłam z siebie i rzuciłam mu się na szyję.

Tancredi zauważył moje łzy szczęścia i po jego minie widać było, że również jest zadowolony. To był dobry pomysł.

– Co powiesz na jazdę próbną?

Pociągnął mnie za rękę i wyprowadził z pokoju. Zupełnie zapomniałam o swoich rysunkach. Pobiegliśmy na dół. Tancredi podał mi kluczyki, tak jakby przekazywał mi berło.

– Może najpierw ty... – zaproponowałam, bo sama miałam obawy co do prowadzenia nowiutkiego samochodu.

– Dałaś sobie radę z najtrudniejszym wehikułem, jaki mamy, więc ten pojazd wyda ci się banalny w obsłudze. Spróbuj!

Chwilę później pędziliśmy cudowną drogą, mijając tereny należące do rodziny Lorenzów. Jednym ruchem otworzyłam dach i wiatr zaczął rozwiewać nasze włosy. Tancredi nalegał, żebym przyspieszyła. Wcisnęłam gaz. Samochód płynnie wchodził w zakręty, zostawiając za sobą tumany kurzu. Śmiałam się głośno i prowadziłam samochód z niewyobrażalną radością. Mijaliśmy gaje oliwne, aż w końcu dotarliśmy nad morze i zrobiliśmy pętlę wzdłuż Lungomare. Na promenadzie ludzie odwracali za nami głowy. To musiał być wyjątkowy widok – Tancredi di Lorenzo i jego żona w zielonym samochodzie wybuchający śmiechem.

W wyśmienitym nastroju wróciliśmy do domu. Po tej jednej szalonej przejażdżce samochód był cały pokryty kurzem. Czule się obejmując, weszliśmy do willi. Od razu natknęliśmy się na Rozalię, która koniecznie chciała wiedzieć, czy spodobał mi się prezent. Później zorientowałam się, że to ona wpadła na ten pomysł. Wtedy nie zdawałam sobie sprawy, że smycz, na której byłam, zrobiła się jedynie dłuższa, ale obroża nadal tkwiła na mojej szyi. Miałam nadzieję, że przy obiedzie w drobnych szczegółach opowiem całej rodzinie, jak cudownie jeździ się takim małym samochodem.

Tego samego dnia dostałam kolki. Zawsze miałam problemy z żołądkiem, dlatego zbyt nie tym nie przejęłam. Leżałam w łóżku i zwijałam się z bólu, ale nie chciałam nikomu o tym mówić, bo nie było to nic wielkiego. Zrobiłam ciepły kompres i czekałam, aż kolka sama mi przejdzie. Jednak ból nie ustępował. Poczułam mdłości. W końcu zrezygnowałam z kolacji. Do mojego pokoju przyszła Rozalia.

– To tylko problemy z żołądkiem – zapewniłam ją.

Przyłożyła dłoń do mojego czoła, pokiwała głową i wyszła.

Następnego ranka wydawało mi się, że ból ustąpił. Pojechałam „miętówką” – bo tak zaczęłam nazywać swoje auto – do miasta. Weszłam do sklepu, w którym można było kupić czekoladę z pieprzem, a tam poczułam nagłe klucie w okolicy brzucha i upadłam. Przerazona ekspedientka od razu wezwała pogotowie. Zabrali mnie do szpitala. Na miejscu zajął się mną sympatyczny lekarz. Wyjaśniłam mu, że od dłuższego czasu mam kłopoty z żołądkiem. Zadał mi kilka pytań dotyczących mojego odżywiania, później mnie zbadał i wreszcie zapytał:

– Kiedy ostatni raz miała pani miesiączkę?

Gdy już byłam wolna, pobiegłam na trzecie piętro, żeby jak najszybciej zobaczyć się z Felicją. Była już w dużo lepszym stanie. Leżała w sali z widokiem na morze. Podeszłam do jej łóżka i wzięłam ją za rękę. Wyglądała na bardzo zmęczoną.

To właśnie ona jako pierwsza dowiedziała się, że jestem w ciąży.

Rozdział dwudziesty drugi

Od kiedy zostałam żoną Tancrediego, chciałam należeć do jego rodziny. Czasami jednak pojawiały się wątpliwości. Wpływały na to bezsensowna zazdrość Tancrediego, a także moje podejrzenia, że z członkami tej rodziny coś jest nie tak. Ale ta zaskakująca i radosna nowina, że jestem w ciąży, zupełnie mnie odmieniła. Poczułam więc ze wszystkim i z wszystkimi wokół. Zaczęłam doceniać stary, cudowny dom, a także serdeczność otaczających mnie ludzi. Próbowалам im to odwzajemnić. Sama wiadomość, że spodziewалам się dziecka, przyniosła mi tyle przychylności, że w normalnych warunkach byłaby ona nie do zniesienia. Ale zaakceptowałam to. Rozkoszowałam się tym, że rodzina traktuje mnie wyjątkowo. W końcu miałam podarować rodzinie Lorenzów spadkobiercę lub spadkobierczynię.

Byłam zbyt niecierpliwa, żeby poczekać na odpowiedni moment i stworzyć romantyczną atmosferę do oznajmienia Tancrediemu, że będziemy mieli dziecko. Wkrótce po opuszczeniu szpitala pojechałam do domu i z piskiem opon zatrzymałam się przed domem. Mój mąż wyszedł mi na spotkanie i właśnie wtedy mu powiedziałam. Zareagował inaczej, niż się spodziewалам, czyli zupełnie bez entuzjazmu. Był spokojny i milczący. Jeszcze nigdy go takim nie widziałam. Młody padrone usiadł na murku, zdjął czapkę i położył dłonie na udach. Potrząsnął głową, zasłonił oczy i nagle podskoczył. Dopiero wtedy wydał z siebie radosny okrzyk. Zrozumiałam, że wiele to dla niego znaczyło. Objął mnie i poprowadził do domu, oczywiście wprost do swoich rodziców.

Zaczęło się wielkie świętowanie. Na początku w wąskim gronie wypito marsalę, później szampana, a dopiero później powiadomiono krewnych. Nieważne, jak daleko mieszkali, niebawem zjawili się dosłownie wszyscy. Tego wieczoru odbyła się spontaniczna feta, podczas której wyniesiono ze spiżarni i piwniczki z winem najlepsze specjały. Wszyscy rozmawiali na przeróżne tematy, ale gwiazdą wieczoru stałam się ja i moja ciąża. Rodzina uznała mnie za ogromne źródło radości. Zawsze byłam zachęcana przez żeńską część rodziny do tego, abym więcej jadła i wszystkiego próbowała, ale teraz jedzenie dosłownie podstawiali mi pod nos i gdyby mogli, pewnie podawali mi je wprost do ust. Podczas tego święta, które nazwano

powitaniem owocu naszej miłości, zjadłam chyba najwięcej w życiu. Zaczęłam się obawiać o stan mojego żołądka. Jednak zniosłam wszystko i nic mi nie zaszkodziło.

Członkowie rodziny snuli plany dotyczące przyszłości jeszcze nienarodzonego dziecka. Trzeba było natychmiast urządzić pokój dziecinnie. Już było ustalone, że powinien być jasny, ale nie za gorący, a także znajdować się w pobliżu sypialni matki, ale również blisko babci. Tego wieczoru Rozalia była często bliska łez. To było dla mnie zaskakujące, że signora zazwyczaj mająca nad wszystkim kontrolę zmieniła się w płaczącą i wrażliwą kobietę. Calogero wydawał się odprężony i pogodny. Chyba czuł, że z jego ramion został zdjęty ostatni ciężar. Oczywiście, każdy miał pomysł na imię dziecka, które dopiero za kilka miesięcy miało się pojawić na świecie, i nikt nie pytał mnie o zdanie. Jeśli urodziłby się chłopiec, miał się nazywać Tancredi, Calogero albo jak pradziadek – Michele. Stary wujek zaproponował imię Fabrizio, bo tak nazywał się protoplasta rodu, który właściwie był księciem. Jeśli chodziło o imię dla dziewczynki, to poświęcano mu znacznie mniej uwagi. Mogła nosić imiona Dominika, Ninetta, a także Marianna.

– Auguri! Auguri! – krzyczeli. – Wolimy myśleć, że to będzie chłopiec.

Mimo że byłam podekscytowana i cieszyłam się z powodu mojej ciąży, w głowie rozbrzmiewały mi słowa starszej kobiety, które wyprowadziła się z miasteczka: „Grzech ciemnego spadku”. Znowu zastanawiałam się, co miała na myśli.

– Powinniśmy zrobić sobie badania – zaproponowałam Tancrediemu.

– Oczywiście, teraz szczególnie powinnaś o siebie dbać. Powiadomię naszego lekarza rodzinnego.

– Mężczyznę? – spytałam zaniepokojona. – Myślałam raczej...

– Masz rację. Poszukamy najlepszej położnej w Monteleone. Załatwię to jak najszybciej.

– Może byłoby dobrze, gdybyś i ty... – zawahałam się i przestraszyłam jego reakcji, ale jednak dokończyłam: – Może byłoby dobrze, gdybyś i ty się przebadał.

– Dobrze – powiedział. – Badania krwi i wszystko, co będzie trzeba. Może nawet jutro pojedziemy do kliniki.

Czy mi ulżyło? Dlaczego podejrzewałam, że z Tancredim może być coś nie w porządku? Kto rozwiałby moje wątpliwości? Spojrzałam na Rozalię. Właśnie wycierała łzy w chusteczkę.

– Tancredi? – Złapałam go za ramię.

– Co się stało, moja kochana?

– Chodźmy do Benedetty.

Mój mąż uniósł brwi i zapytał:

– Ale po co?

– Chciałabym jej powiedzieć, że zostanie cioteczną babcią.

– Obawiam się, że ona nie zrozumie tego, co chcesz jej powiedzieć.

– W głębi serca zrozumie – zapewniłam go.

Tancredi wykonał taki gest, jakby chciał wziąć ze sobą rodziców.

– Nie, tylko my dwoje – poprosiłam go.

– Jak chcesz – powiedział i pogłaskał mnie po twarzy.

Wyszliśmy z pokoju, przeszliśmy przez kuchnię, gdzie były przygotowywane różne smakowite potrawy. Zbliżyliśmy się do tajemniczych drzwi. Tancredi jednym gestem uspokoił przerażoną Antonię, która jak zwykle krzątała się po kuchni.

– Czy ona śpi? – zapytał.

– Nie wiem. Nie miałam czasu... – odpowiedziała Antonia i wskazała na stertę garnków i patelni.

Otworzyłam drzwi. Weszłam do środka i zaczęłam na Tancrediego. Przeszliśmy przez ciemny korytarz. Starsza pani nieruchomo siedziała na łóżku. Wyglądała tak, jakby nie poruszyła się od momentu moich poprzednich odwiedzin. Tym razem miała we włosach spinkę, jedyny znak, który świadczył o tym, że po mnie jeszcze ktoś u niej był.

– Dobry wieczór, ciociu Benedetto – przywitałam się i ukucnęłam przed nią. – Mogę do pani mówić „ciociu”?

Powoli odwróciła głowę w moją stronę.

– Jest tu pani bratanek. Przynosimy pani cudowną nowinę.

Tancredi uśmiechnął się i podszedł do okna. Powiedziałam Benedettcie, że spodziewam się dziecka. Patrzyła na mnie bez wyrazu, więc powtórzyłam. Nagle spochmurniała, uniosła wątlą dłoń i palcem wskazała Tancrediego.

– Z nim? – zapytała.

– Tak – odpowiedziałam ucieszona, że udało mi się nawiązać z nią kontakt.

Benedetta przyjrzała się swojemu bratankowi i po chwili jej wzrok ponownie powędrował w stronę okna.

– To się nigdy nie skończy – oznajmiła.

– Co się nie skończy? – spytałam i złapałam ją za rękę. – Benedetto, co masz na myśli?

Jednak starsza pani najwyraźniej nie miała ochoty więcej się odzywać.

– Ciociu Benedetto... – odezwałam się prosząco.

– Ona cię już nie słucha – stwierdził Tancredi.

– Wydaje mi się, że wcale się nie ucieszyła – powiedziałam rozczarowana.

– Mówiłem ci, że ona tego nie zrozumie.

Wróciliśmy ciemnym korytarzem do kuchni, a później do pokoju z suto zastawionym stołem. Byłam rozczarowana wizytą u Benedetty, bo nie takiej reakcji oczekiwałam. Później nie rozmawiałam z Tancredim na ten temat. Może bałam się jego wyjaśnień, a może po prostu nie chciałam psuć tej cudownej atmosfery.

Rozdział dwudziesty trzeci

Mimo iż właśnie rozpoczęła się kalendarzowa jesień, słońce w Monteleone jeszcze mocno przygrzewało. Na Sycylii zbierano oliwki i przygotowywano się do zbioru winogron, które zaczynały już dojrzewać na krzewach. Tymczasem cała sycylijska rodzina szykowała się na powitanie nowego członka rodziny. Moi teściowie traktowali mnie z ogromną serdecznością i otaczali czułą opieką. Któregoś dnia przyjechali też do mnie lekarz i położna, a z kolei ja wybrałam się kiedyś do kliniki. Przy okazji odwiedziłam wówczas Felicję. Powoli wracała do zdrowia i lekarze zapewniali, że uraz czaszki nie pozostawi po sobie żadnych śladów. Szwagierka miewała jeszcze bóle głowy, a niektóre ruchy sprawiały jej problem, ale w porównaniu ze stanem po wypadku czuła się o wiele lepiej. Felicja ucieszyła się z wiadomości, że jestem w ciąży, ale przyznała, iż trochę mi zazdrości. Chociaż wydawała się szczęśliwą osobą, również pragnęła mieć dziecko i być z kimś, kto będzie ją kochał. Akurat wtedy ja i Tancredi byliśmy bardzo szczęśliwi. Ciągłe rozmawialiśmy o przyszłości. Nawet zaczęłam się interesować szkołami w Monteleone z myślą o dziecku. Przy okazji opowiedziałam mężowi, że sama byłam kiepską uczennicą i za naukę wzięłam się dopiero wówczas, gdy postanowiłam pracować w świecie mody.

Tej pięknej jesieni czułam się doskonale i często spacerowałam. Po raz pierwszy miałam dużą swobodę. Teraz, gdy nasza więź z Tancredim się zacieśniła, jego podejrzliwość zniknęła.

Podczas jednego z długich spacerów doszłam na skraj Monteleone aż do starej wieży, która kiedyś należała do obronnych zabudowań miasta. Była podobna do większej zwanej Torre di Leone, która osłaniała miasto od strony morza i była jedną z największych atrakcji turystycznych tego zakątka. Byłam tu po raz pierwszy, dlatego postanowiłam na nią wejść i ją obejrzeć. Na dole znajdowało się okrągłe pomieszczenie, a od góry wieża była osłonięta ogromnym dębem. Przez wąski otwór można było wyjść na taras widokowy. Oddałam się marzeniom i wyobraziłam sobie, że urządzam tutaj swoje atelier, a wokół rozwieszam projekty. Nigdy nie robiłam tego w domu, ponieważ obawiałam się krytyki Tancrediego i opinii krewnych. W tej cichej wieży zdałam sobie sprawę, że w ogromnej willi właściwie nie miałam miejsca dla

siebie. Mój pokój był jednocześnie naszą sypialnią, a jedyne pomieszczenie, które można było wykorzystać, miał się stać pokojem dziecięcym. Wiedziałam, że w nadchodzących latach będę miała mało czasu na pracę, a Cinecittà – świat filmów i mody – oddalał się ode mnie w zastraszającym tempie. Spacer do wieży zainspirował mnie do zrealizowania kolejnego skrytego marzenia.

Od kiedy stałam się integralną częścią sycylijskiej rodziny, Tancredi i ja byliśmy zasypywani zaproszeniami na uroczystości rodzinne, ale także na różne oficjalne imprezy, na przykład ślub jakiegoś ważnego członka gminy czy święcenia. W jednym miesiącu otrzymaliśmy dwadzieścia dwa zaproszenia. Zdziwiło mnie, że Tancredi oprócz swojej pracy uczestniczył prawie w każdym wydarzeniu społecznym. Zorientowałam się jednak, że to również należało do jego służbowych obowiązków. Od niego zależał los wielu ludzi, dlatego czuli by się urażeni, gdyby nie zaszczycił ich swoją obecnością. Gdy gdzieś wychodziliśmy, na śniadanie piłam jedynie kawę, ponieważ wiedziałam, że później nie będę mogła niczego odmówić podczas obiadu. Popołudniami z siostrami Tancrediego jeździliśmy na plażę. Wówczas zajmowałam się dziećmi i pływałam w morzu. Później wracałam do domu, przebierałam się i odbierałam Tancrediego z biura.

Często gościliśmy na obiedzie u jednej z trzech rodzin – Albanese, Sant'Agata lub Siragusa. Przy stole zbierało się wówczas około dwudziestu osób, które nieustannie zasypywały nas gratulacjami. Na takie okazje Tancredi zabierał małą torbę podróżną, żeby zmieściły się do niej wszystkie prezenty. Trzygodzinny obiad był dla mnie wielkim wysiłkiem. Mimo że byłam w ciąży, bardzo często namawiano mnie do picia alkoholu. Sycylijczycy uważali, że to, co smakuje kobiecie w ciąży, odpowiada również jej dziecku. Byli także przekonani, że wino czy likier własnej roboty ułatwiają trawienie. Kilka razy zdarzyło się, że upał, ciężkie potrawy, głośne rozmowy były dla mnie nie do zniesienia, a wtedy prosiłam męża, żebyśmy wcześniej wyszli. Wówczas musiałam patrzeć na zatroskane twarze i wysłuchiwać życzeń lepszego samopoczucia. Wiele kobiet komentowało, że jestem za szczupłą, bo za mało jem. Po powrocie do domu rozkoszowałam się sjeścią, czyli jedyną chwilą dnia, która zapewniała ciszę. Spokój i cisza zaczęły mieć dla mnie ogromne znaczenie. W trakcie posiłków i spotkań towarzyskich bardzo często uciekałam myślami gdzieś daleko i milczałam, podczas gdy inni nieustannie mówili.

Po sjeście na dole czekali już goście zaproszeni na kawę. Gdy w domu nie było teściów, w czasie upałów siadywaliśmy na werandzie i się wachlowaliśmy, a gdy na dworze robiło się

wilgotno, sadowiliśmy się wokół naczynia z żarem, które nas ogrzewało. Gdyby nie Rozalia, która miała niezwykle dar opowiadania rodzinnych historyjek, te późne spotkania byłyby nudne. Często miałam ochotę opuścić towarzystwo, pójść do siebie do pokoju i rysować. Jednak było to niemożliwe, bo gdy zegnaliśmy jednych gości, w drzwiach pojawiali się kolejni. Każda kolacja była dla mnie udręką, jeśli chodzi o ilość jedzenia. Stale odmawiałam sobie różnych przyjemności, żeby nie przytyć, a i tak wieczorem miałam pełny żołądek. Tancredi uwielbiał biesiadowanie. Jadł i pił wszystko, co mu smakowało, około północy kładł się do łóżka, natychmiast zasypiał i budził się jak nowo narodzony. Jednak zauważyłam, że mój ukochany stracił już figurę rzymskiego boga i coraz bardziej stawał się okrągłym, nie za wysokim, typowym Sycylińczykiem. Z początku patrzyłam na niego z wielką miłością i byłam tak szczęśliwa, że otaczający mnie świat widziałam jedynie w jasnych barwach. Stałam się Sycylijką, zaczęłam rozumieć ten rytm życia i rozkoszowałam się tutejszym spokojem, pięknymi krajobrazami i bezpieczeństwem, jakie zapewniła mi rodzina.

Każdy kolejny dzień był właściwie podobny do poprzedniego, tylko od czasu do czasu ten poukładany świat burzyło jakieś niecodzienne wydarzenie lub mały skandal. Na przykład wtedy, gdy pewnego popołudnia siostry Atanasio, trzy młode niezamężne dziewczyny, wybiegły ze swojego rodzinnego domu w Monteleone i zaczęły się rozbierać na środku ulicy, wykrzykując wulgarne słowa. Siostry nigdy wcześniej nie były widywane poza domem bez osoby towarzyszącej. Gdy w końcu udało się je zaprowadzić do domu i przebadał je lekarz, okazało się, że dziewczyny zatrwały się grzybami. Jesienią wielu mieszkańców zbierało je w okolicznych lasach. A te, które zjadły siostry Atanasio, zapewne miały działanie halucynogenne. Było też wielce prawdopodobne, że szalony striptiz na ulicy skończy się dla nich wieloma problemami, również i tymi ze znalezieniem męża. Wkrótce po tym zdarzeniu zmarł ich ojciec, któremu podobno z rozpaczy pękło serce.

W połowie grudnia moje spokojne życie nagle się zmieniło. Tancredi był w podróży służbowej. Tego wieczoru goście pożegnali się wyjątkowo wcześniej. Przed dziesiątą byłam już w swoim pokoju. Chciałam wziąć kąpiel, a później poczytać. Gdy nalewałam wodę do wanny, usłyszałam jakiś dziwny dźwięk. Brzmiał jak szept, ale było niemożliwe, żeby ktoś stał pod oknem, bo mój pokój znajdował się na piętrze. Byłam już w szlafroku, wychyliłam się i próbowałam dostrzec coś w ciemnościach. Wydawało mi się, że widzę sylwetkę jakiegoś szczupłego mężczyzny. Musiał wspiąć się po drzewie brzoskwiniowym.

– Signora – wyszeptał.

Nie mogłam dostrzec jego twarzy. Powinnam była wezwać wówczas pomoc, bo jakiś obcy włamał się do Lorenzów, wspiął się po fasadzie domu i ośmielił się do mnie zbliżyć. Jednak gdy tylko pomyślałam o tym, co może się stać z włamywaczem, nie zrobiłam tego. Wolałam sama zapytać go o to, co tu robi.

– Kim pan jest?

– My już się spotkaliśmy – powiedział.

– Proszę podać swoje nazwisko.

– Randazzo.

Zastanowiłam się przez chwilę.

– Andrea Randazzo? – zapytałam.

– Tak, tak.

To był ten młody chłopak z Via dei Vespri.

– Oszalał pan? Czego pan tu szuka?

– Muszę pani coś powiedzieć.

– Nie w ten sposób! Proszę stąd iść, zanim ktoś pana zobaczy.

– Nie mogę tego zrobić. Będzie ze mną koniec, jeśli mi pani nie pomoże, signora.

– Nonsens – odpowiedziałam.

Z upływem czasu zorientowałam się, że Sycylijczycy lubią wszystko wyolbrzymiać.

– Chciałem powiedzieć, że pani mąż rujnuje mnie i moją rodzinę.

Milczałam.

– Proszę, niech mnie pani wysłucha!

– Jeśli ma pan coś do zarzucenia mojemu mężowi, proszę to omówić bezpośrednio z nim.

Zaraz zawołam kogoś z ochrony.

– Przez to może pani mieć wielkie wyrzuty sumienia – powiedział i błagalnie uniósł ramię w górę.

– Co pan ma na myśli?

– Lorenzowie nie cofną się przed żadną zbrodnią, gdy widzą zagrożenie swoich interesów i swoich przeklętych pieniędzy! Proszę, niech pani pozwoli mi wejść na górę. Udowodnię, że mówię prawdę.

Mimo że nie chciałam spełnić jego prośby, to udało mu się wzbudzić we mnie ciekawość.

– Proszę już iść! – powiedziałam stanowczo.

Nagle zaniemówiłam, bo dostrzegłam snop światła. Z domu wybiegli jacyś ludzie, którzy mieli ze sobą latarki. Psy się rozszczękały. Przez chwilę chciałam wydać tego mężczyznę, ale obawiałam się, że Tancredi nabierze jakichś podejrzeń. Pomyślałam, że przecież ten młody człowiek nie zrobił niczego złego poza tym, że wszedł na naszą posesję. Tymczasem Tancredi na pewno potraktowałby go jak przestępcę.

– Proszę natychmiast stąd zniknąć!

Zwinnie zeskoczył na gzyms pod balkonem, wskoczył na drzewo brzoskwiniowe i zjechał po nim. Zdradził go trzask gałęzi. Światła skierowały się w jego stronę. Mężczyźni zaczęli krzyczeć, żeby wstał. Nagle jeden z nich podszedł do fasady i spojrzał w moje okna.

– Signora?

Widać było zapewne zarys mojej sylwetki.

– Wszystko w porządku? – zapytał Chichi.

– Tak, bez obaw – odpowiedziałam.

– Z kim pani rozmawiała?

– Z nikim. Ja tylko... usłyszałam jakiś hałas.

Chichi dostrzegł moje wahanie.

Nagle padł strzał, a między drzewami ujrzałam uciekającą postać. Później słychać było kolejne wystrzały i uderzenia w drzewa. Zobaczyłam światła oddalające się w kierunku, w którym zniknął Randazzo. Chichi cały czas stał pod balkonem i uważnie wpatrywał się w moje okno.

Rozdział dwudziesty czwarty

Zaufanie, jakie udało mi się zdobyć i które sprawiło, że moje życie na Sycylii stało się udane, nagle zniknęło. Czułam, że mój mąż jest mną rozczarowany. Już drugi raz zostałam nakryta na rozmowie z Andrea Randazzo. Tym razem było jeszcze gorzej, bo wydarzyło się to nocą. Martwiłam się tym, jak Chichi przedstawił sprawę Tancrediemu. Widział mężczyznę pod oknem mojej sypialni i co mógł pomyśleć – pewnie najgorsze, że na przykład intruz był w moim pokoju. Ale to, co Chichi powiedział Tancrediemu, było drugorzędną sprawą. Przede wszystkim bałam się, że mój mąż podejrzewa mnie o zdradę. W końcu jego żona i wróg spotkali się w nocy podczas jego nieobecności, a jemu nie potrzeba było wiele, żeby wyobrazić sobie najgorsze sytuacje. Gdy wezwał mnie na rozmowę po kłótni, która miała charakter przesłuchania, na własnej skórze poczułam pierwsze konsekwencje tego, co się stało.

Tancredi opuścił naszą sypialnię i zaczął nocować w gabinecie. Rodzina rozważała zgłoszenie sprawy na policję z powodu włamania. Uciekający Randazzo nie został schwytany, ale rozpoznany. Podczas oficjalnej rozmowy, w której nie brałam udziału, zdecydowano o działaniu na własną rękę. Randazzo znalazł się w trudnym położeniu z własnej winy, ale mimo to miałam wyrzuty sumienia. „Może powinnam go wtedy wysłuchać? A może jednak zawiadomić policję?” – rozmyślałam.

Podczas naszego krótkiego spotkania pod oknem Randazzo mówił coś o morderstwie i o tym, że Lorenzowie nie cofną się przed żadną zbrodnią, żeby bronić swoich interesów. Wtedy pomyślałam, że przesadza. A może chciał jedynie zasiać ziarno niezgody w małżeństwie swojego wroga, który przecież miał wszystko, podczas gdy Randazzo wszystko stracił. Nie wiedziałam, jak się zachować i co zrobić. Kochałam sycylijską rodzinę, mimo to nie wydawało mi się, że to, co robili, było dobre. Nie umiałam ślepo zgodzić się na lojalność wobec nich, choć bardzo się starałam. W tym sensie Andrea Randazzo osiągnął swój cel. Ja miałam wątpliwości, a mój mąż stał się wobec mnie podejrzliwy. Nie potrafiłam tak łatwo zapomnieć o tym, co powiedział ten człowiek.

Minęły dwa dni od tego wydarzenia. Tancredi nadal był na mnie obrażony, chociaż już

nie wybuchał złością. Z jego gniewem było tak jak z wulkanem – był uśpiony jedynie do kolejnego wybuchu. Pełna obaw i wątpliwości zaszyłam się w małym salonie. Wtedy usłyszałam szybkie kroki. Tancredi wszedł do środka i zanim cokolwiek powiedział, zaryglował drzwi.

– Wiesz, co w tym kraju spotyka niewierne żony?!

Uderzył w szklaną szafkę, gdzie przechowywał strzelbę myśliwską, i chwycił dubeltówkę. Przysunęłam się do ściany.

– Nie byłam niewierna! Nigdy!

Sytuacja była tak nieprawdopodobna, że zabrakło mi słów. Staliśmy naprzeciwko siebie – ja przerażona pod ścianą, a on wściekły ze strzelbą wycelowaną we mnie. Poczułam się jak w jakimś melodramacie – pozornie niewierna żona i jej mąż ogarnięty szałem z powodu domniemanej zdrady.

– Czego chciał Randazzo? – wycedził przez zaciśnięte zęby Tancredi.

To, że mój mąż groził mi bronią, było dla mnie bardziej brutalne, niż gdyby jej użył.

– On chciał ze mną porozmawiać! Wytaczał oskarżenia przeciwko tobie.

– Jeśli chce mnie pozwać, to dlaczego staje pod oknem mojej żony?

– Nie wiem! – Zasłoniłam twarz dłońmi. – Co na to poradzę, że wszyscy Sycylijczycy mają nierówno pod sufitem?

– Kochasz go! – wykrzyknął. Stanął tak blisko, że prawie dotknął mnie lufą. – Jesteś z nim! Przyznaj się albo cię zabiję!

Wiedziałam, że mówi poważnie. Gdyby w tej chwili miał naładowaną broń, to na pewno by to zrobił.

– W takim razie strzelaj! – krzyczałam. – Zabij mnie! Mordowanie wydaje się być rodzinnym sportem Lorenzów! Zabij mnie, ty morderco! Zabij swoją żonę i swoje nienarodzone dziecko!

Urojenie Tancrediego doprowadziło do tego, że brałam udział w tym spektaklu zazdrości. Krzyczałam i dramatyzowałam jak Sycylijka. Przerażony moim wybuchem Tancredi opuścił broń i zaczął się we mnie wpatrywać. Wykorzystałam moment jego nieuwagi, doskoczyłam do drzwi, otworzyłam je i wybiegłam z salonu. Zamknęłam się w sypialni i bardzo długo płakałam z bezsilności. Po jakimś czasie otrząsnęłam się i zaczęłam trzeźwo myśleć. Postanowiłam, że nie zostanę w tym domu ani jednej nocy dłużej. W Tancredim zobaczyłam nagle szalonego, wybuchowego i zazdrosnego mężczyznę, który mnie przerażał. Wydał mi się zdolny do

wszystkiego, w najgorszym tego słowa znaczeniu. A ja chciałam natychmiast wyjechać, wydostać się z tej wyspy, w ogóle z Włoch, i wrócić do Anglii – cywilizowanego kraju! Jeszcze dziś opuścić ten dom i szalony kraj!

Szybko spakowałam walizkę. Wzięłam najważniejsze rzeczy, znalazłam paszport i w pośpiechu zaczęłam się ubierać. Wyszłam na korytarz i ostrożnie się rozejrzałam. Nastąpiła noc. Cały dom wydawał się uśpiony. Skradałam się schodami do wyjścia, ciągnąc za sobą walizkę. Czułam się jak przestępca. W końcu znalazłam się na podwórku. Wsiadłam do swojego samochodu, nie zapalając świateł, uruchomiłam silnik i odjechałam. Na pewno ktoś usłyszał odgłos silnika. Zastanawiałam się tylko, czy będą mnie ścigać. Zatrzymałam się. Znowu dopadły mnie wątpliwości. Dokąd miałam pojechać w środku nocy? Gdzie mogła uciec żona padrone? Następny samolot do Londynu odlatywał dopiero rano z Palermo. Gdzie miałam przenocować? Jeśli wynajęłabym pokój w hotelu, to Tancredi pomyślałaby, że dzielę go z Andream Randazzo. Albo stwierdzi, że z nim uciekłam. Mogły z tego wyniknąć jeszcze większe komplikacje. Musiałam pojechać w jakieś bezpieczne miejsce, a jednocześnie nie zaszkodzić temu Randazzo. Mój mąż powinien mieć pewność, że tej nocy nie robiłam niczego zabronionego. Oczywiście pierwsza przyszła mi do głowy Felicja. Ruszyłam w drogę do domu mojej szwagierki. Ledwo cokolwiek widziałam, bo cały czas płakałam. Felicja wyszła już ze szpitala i odpoczywała w swoim domu na klifie. Było mi przykro, że musiałam ją obudzić w środku nocy, ale nie miałam innego wyjścia.

Szwagierka otworzyła mi w szlafroku. Była blada i zaspana.

– Czy mogę wejść? Jestem zrozpaczona. Nie wiem dokąd pójść – błagałam pod jej drzwiami.

Felicja zaprosiła mnie do środka. Szłam za nią przez ciemny dom. W salonie usiadłam na podłodze i zaczęłam płakać. Minęło trochę czasu, zanim się uspokoiliłam i opowiedziałam jej, co się stało. Gdy Felicja poznała szczegóły, pogłaskała mnie i przyniosła tabletki na sen, które właściwie przepisane były dla jej ciotki. Zaparzyła herbatę rumiankową, którą popiłam lekarstwa. Później zaprowadziła mnie do łóżka.

– Wyśpij się, Diano. Jutro jeszcze raz to przemyślisz. Wtedy wszystko omówimy – powiedziała łagodnie.

W końcu udało mi się usnąć.

Następnego dnia obudziłam się przygnębiona. Usłyszałam, że Felicja rozmawia z kimś

przez telefon.

– Tak, jest tutaj. Była bardzo zdenerwowana. Powiedziała, że chce wracać do Anglii. Lepiej tu nie przyjeżdżaj. Niech żaden z was tu nie przyjeżdża. Zostaw ją samą. Porozmawiam z nią. Spróbuję... Tak, tak, spróbuję. Kogo obchodzi, co myślą ludzie? Powiedz pracownikom... A zresztą powiedz, co chcesz. Są teraz ważniejsze sprawy niż ludzka gadanina – mówiła do słuchawki.

Mimo że bałam się tej rozmowy, pojawiałam się przy stole na śniadaniu. Felicja знаła od dawna wybuchy Tancrediego i jego gniew, ale to, że groził własnej żonie bronią, wyraźnie ją zszokowało.

– Nie zrobiłby tego – starała się mnie uspokoić i może przy okazji siebie. – Nie nacisnąłby na spust. Nie mógłby tego zrobić.

Felicja pokroiła ciasto i przyglądała się, jak smaruję je masłem.

– Nie może tak dalek być – wyszeptalam i ugryzłam kęs.

– Nie, tak dłużej być nie może – potwierdziła. – Ostrzegałam Tancrediego, również mama mu to mówiła, że jeśli nie poradzi sobie ze swoją zazdrością, to cię straci.

Przyglądałam się jej i byłam zaskoczona. Przeraziło mnie ostatnie zdanie Felicji. Strata? Rozstanie? Zupełnie o tym nie pomyślałam. Chciałam potrząsnąć Tancredim, żeby przejrzał na oczy, zrozumiał swój błąd, ale nie go zostawić. Felicja powiedziała coś, czego nawet sobie nie wyobrażałam w pierwszym roku naszego małżeństwa. Chciałam wyjechać jak najdalej, odpocząć od niebezpiecznego człowieka, ale też dlatego, że miałam nadzieję, iż coś się w nim zmieni i będzie się normalnie zachowywać. W ten sposób moglibyśmy zacząć wszystko od początku.

– Nie uciekaj, Diano – powiedziała Felicja tak, jakby z mojego wczorajszego zachowania wynikało, że chcę zakończyć ten związek. – Wiesz, pracuję w kancelarii. Mamy często do czynienia z sycylijskimi żonami, które uciekły od mężów. Prawo byłoby przeciwko tobie, stałoby po stronie Tancrediego. W świetle prawa opuściłabyś wasze wspólne *petto coniugale*, czyli wasze małżeńskie schronienie. Stanęłabyś przez to na granicy prawa.

– A ta sprawa z bronią? – spytałam oburzona.

– Twoje słowo przeciwko jego słowu. On jest padrone, ty jesteś liberalną Angielką, która nie respektuje naszych reguł. Nie zapominaj, że sędzią byłby Sycylijczyk. Przede wszystkim, Diano, pomyśl o przyszłości swojego dziecka.

Jeszcze przed tą rozmową byłam w pokojowym nastroju, ale w trakcie odezwała się moja

przekora. Miałam wrócić do tyrana? Paść przed nim na twarz, poddać się tylko dlatego, że nie udałoby mi się nic wskórać w sądzie? Nie mogłam tego zrobić. To nie byłabym ja!

– Nigdy więcej nie przekroczę progu domu na wzgórzach!

– Nie dzisiaj, nie jutro – uspokajała mnie Felicja. – Możesz u mnie zostać tak długo, jak będziesz chciała. Nie może tylko... – zawahała się. – Nie może to tylko z zewnątrz wyglądać tak, jakbyś uciekła od Tancrediego. Straciłby wtedy twarz. Musimy wymyślić jakiś powód.

Zaniemówiłam. „Mówiło się! Słuchało! Opowiadało. Młoda, nieokiełznana Angielka! Padrone z taką niewdzięczną żoną! Boże, co ten biedny mężczyzna będzie jeszcze musiał znieść!” – pomyślałam rozgniewana. Słyszałam te szeptane plotki, słowa za swoimi plecami, jeszcze zanim zostały wypowiedziane. Oczami wyobraźni widziałam mieszkańców Monteleone, którym nie zamykały się usta, a także pochmurną twarz Tancrediego. Czułam jego gniew i atmosferę, jaka panowała w przeklętej willi. Ja miałam być za wszystko odpowiedzialna? Mierzono do mnie ze strzelby, niesłusznie oskarżono o niewierność i ja mam ponieść za to karę? Znalazłam się w jakiejś absurdalnej sytuacji. Zaczęłam się zastanawiać, dlaczego nie uciekłam z tej zacofanej wyspy.

Odpowiedź była prostsza, niż by się mogło wydawać. Cały czas kochałam mojego męża. Darzyłam miłością kogoś, kto był o mnie chorobliwie zazdrosny. Mój przeklęty i przerażający, a zarazem ukochany Tancredi. Oczekiwałam przyjścia na świat jego dziecka. Chciałam naszego dziecka i żebyśmy je razem wychowywali! Nie mogłam stąd uciec, ale na pewno nie z powodu zhańbienia rodziny Tancrediego. Musiałam tu zostać, bo go kochałam. Był moim mężem, któremu przysięgałam wierność oraz życie w zdrowiu i chorobie. Zbyt wiele dla mnie znaczył, żeby go opuścić.

Zostałam u Felicji kilka dni, tak jak zaproponowała. Ale jakiś tydzień później znowu spakowałam swoją niedużą walizkę, wsiadłam do „miętówki” i pojechałam na wzgórze do willi, która niektórych napawała strachem. Wjechałam na dziedziniec wyłożony kamiennymi płytami i nie zawróciłam. Postanowiłam zaryzykować.

Rozdział dwudziesty piąty

Moje życie się zmieniło. Pozornie wyglądało tak samo, jak zazwyczaj – rano piłam kawę, później jadłam obiad, a po nim odpoczywałam, znowu kawa i plotkowanie, a w końcu kolacja. Niestety lekkość życia zniknęła. Rodzina jedynie była wdzięczna, że znowu jestem w domu, a pozory zostały zachowane. Tej zimy między mną a Tancredim panował chłód. Mimo że byłam w czwartym miesiącu ciąży, który jest uważany za najlepszy okres dla kobiety, cały czas martwiło mnie, że dziecko, które noszę, odczuwa napięcie i odrzucenie, jakiego ja doświadczałam.

Zbliżały się święta Bożego Narodzenia, które okazały się dla mnie wyjątkowo przygnębiające. Zaczęłam bardzo tęsknić za swoim krajem. Wiele czasu spędzałam w samotności. Nic dziwnego, że stałam się smutna i rozmawiałam jedynie ze swoim nienarodzonym dzieckiem. W tym okresie bardzo lubiłam patrzeć przez okno. Krajobraz stawał się coraz bardziej ubogi. Nasycone barwy zmieniały się w szare i brązowe.

Gdy Tancredi zjawiał się na posiłkach, nigdy się ze mną nie witał. Coraz częściej siadał obok ojca. Rozmawiał ze swoimi rodzicami, z zebranymi gośćmi, ale nie ze mną. Gdy sprzątano ze stołu, wracał do biura. W ogóle nie odwiedzał lawendowego skrzydła. Z powodu osamotnienia i rozpaczyci rzuciłam się w wir pracy. Zaczęłam malować nie tylko projekty kostiumów, ale i krajobrazy, portrety z pamięci, a czasem nawet motywy abstrakcyjne. Któregoś dnia wróciłam ze spaceru znad morza i zastałam swoje projekty inaczej ułożone. Ktoś je przeglądał. Czyżby to Tancredi szukał w nich zdradliwych motywów, by upewnić się w swoich podejrzeniach? Wiele lat później zastanawiałam się, dlaczego wtedy nie odważyłam się przeprowadzić z nim otwartej i oczyszczającej rozmowy.

Mimo że moja ucieczka z willi i pobyt u Felicji miały być dla Tancrediego sygnałem ostrzegawczym, to jego obojętność i podejrzliwość były tak ogromne, że już nie widziałam szansy na odnowienie naszych relacji. Zdawałam sobie sprawę, że znowu będę obserwowana i szpiegowana, zwłaszcza że krąg informatorów jeszcze się powiększył. Teraz Tancredi miał ich w całym mieście. Zawsze wiedział, gdzie pojechałam, co robiłam i z kim rozmawiałam. Mimo że byłam pod obserwacją cały dzień, to starałam się żyć w miarę normalnie.

Któregoś dnia założyłam ocieplaną kurtkę, wsiadłam do swojego sportowego samochodu i wyruszyłam w nieznane, licząc na to, że zgubię szpiegów. Podczas samotnej wyprawy pojechałam do ulubionej starej wieży. Mimo że była zrujnowana i zarośnięta, gdy tylko znalazłam się w środku, poczułam się wolna i bezpieczna. Miałam nadzieję, że nikt mnie nie obserwuje, więc dałam upust wszystkim nagromadzonym emocjom i wybuchnęłam płaczem. Gdy w końcu się uspokoiłam, zaczęłam głośno błagać o wsparcie, o to, żeby ktoś mi pomógł i wskazał mi drogę wyjścia z tego koszmaru.

– Dlaczego ja?! – krzyczałam. – Nie zrobiłam niczego złego! Dlaczego jeszcze tutaj jestem?

Po tym, jak wszystko wykrzyczałam, trochę się uspokoiłam i stwierdziłam, że to nic nie zmieni w mojej sytuacji. Otarłam łzy i chciałam wyjść, gdy nagle spostrzegłam jakąś sylwetkę w zaroślach. Przeraziłam się. Wydawało mi się, że nikt mnie nie śledził. Z rozżaleniem pomyślałam, że to jeden ze szpiegów Tancrediego, który nakrył mnie w mojej ukochanej kryjówce.

– Czy coś się stało? – zapytał ktoś męskim głosem.

Bez słowa patrzyłam przed siebie, próbując opanować płacz.

– Signora, proszę powiedzieć, czy wszystko w porządku? – spytał, próbując jednocześnie dostać się do środka.

Chociaż nie był tak zwinny jak ja, po chwili udało mu się przecisnąć przez deski i wejść. Był garbaty.

– Ach, to pani – powiedział z uśmiechem.

– Tak. Dzień dobry.

Otrzepywał zakurzone spodnie.

– Dzień dobry, dzień dobry. Co za niespodzianka. Co pani robi w tym zakętym miejscu?

Słowo „zakęty” przywołało pewne wspomnienie. Przed oczami miałam małą uliczkę, niewielki budynek, a na nim napis „kino”. Garbaty mężczyzna wymieniał wtedy litery w nazwie wyświetlanego filmu.

– Signore! – zawołałam z ulgą. – Jak się ma pańskie kino?

– Może być. Jak zawsze – powiedział i poprawił okulary.

– A pani, moja droga kostiumolog, przyszła tu szukać inspiracji? Pracuje pani nad swoim następnym filmem?

– Moim... filmem?

– Co słyhać w Rzymie? Co aktualnie kręci się w Cinecittà?

– Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia. Już długo nie pracowałam – odpowiedziałam i poczułam, że ponownie łzy napływają mi do oczu.

– Ależ naturalnie. Proszę mi wybaczyć, ale widzę, że zapowiada się u pani całkiem inna sensacja.

Objęłam swój brzuch, który już był bardzo widoczny.

– Teraz praca w filmie nie wchodzi w grę. Kiedy ma pani termin? – zapytał spokojnym tonem.

– Latem.

– Och, w upale poród może być bardzo męczący. Już teraz życzę pani dużo szczęścia i błogosławieństwa dla maluszka.

– Bardzo dziękuję.

Ta spokojna rozmowa miała na mnie kojący wpływ, dlatego wcale nie chciałam jej kończyć.

– Jaki film jest teraz wyświetlany w pana kinie?

– Zimą kino jest zamknięte. Ale niedługo zacznie się sezon. Mam nadzieję, że wtedy będę mógł panią ponownie gościć.

– O tak, chętnie. Co pan tu robi w tych starych murach...? Hm... Renato... Dobrze mówię, prawda? Nazywa się pan Renato?

– Ma pani zaskakująco dobrą pamięć, signora. Codziennie spaceruję. Wieża znajduje się na mojej trasie. Zna pani jej historię?

– Nie. Proszę mi opowiedzieć. Chętnie posłucham.

Usiadłam na murku w oczekiwaniu na opowieść.

– W czasach antycznych nasz port był najważniejszą przystanią dla statków Elymów⁷². Podczas panowania Arabów zbudowano zamek, do którego można było się dostać jedynie przez drewniany most zwodzony. W czternastym wieku zamek został zniszczony przez Fryderyka II, a później odbudowany. To właśnie wtedy wzniesiono wieże obronne, a wśród nich i tę, w której teraz jesteśmy. Wieża zasłynęła z powodu klątwy, jaka na niej ciążyła – powiedział i również usiadł.

– Klątwa? Może związana z rodzinną waśnią, która została zapoczątkowana w tym

miejscu? – zapytałam, bo pomyślałam o tym, co mówiła starsza kobieta.

– Waśń rodzinna? Tak, w pewnym sensie. Według legendy, w szesnastym wieku książę miał zamknąć swojego brata w tej wieży, ponieważ to on chciał rządzić w mieście. Książę skazał swojego brata na wiele lat życia w zamknięciu. Po jakimś czasie uwięziony brat postradał zmysły i stał się bestią. Któregoś dnia do wieży wpuszczono piękną, młodą dziewczynę, która z własnej woli chciała się oddać więzionemu bratu księcia. Gdy w końcu dziewczyna wyszła z wieży, książę zabrał ją do swojej komnaty, a ona zadźgała go i uciekła do lasu. Ukrywała się tam miesiącami, dopóki nie wydała na świat syna. Po wielu latach to właśnie on zawłaszczył władzę w mieście i został nowym księciem Monteleone – skończył opowiadać Renato.

– To brzmi jak fabuła kiczowatego filmu – skomentowałam.

– Sam jestem zdziwiony, dlaczego ta historia nie została nigdy sfilmowana, na przykład z Alberto Sordim w roli księcia.

– I Anitą Ekberg w roli dziewczyny! – stwierdziłam z uśmiechem.

– Doskonale! Albo Claudią Cardinale.

Zaśmiewaliśmy się, a później zamilkliśmy i przyglądaliśmy się sobie w milczeniu. W pewnym momencie usłyszałam czyjeś kroki. Czyżby na zewnątrz był ktoś, kto podsłuchiwał? Miałam już obsesję i wszędzie widziałam szpiegów, ale nie bez powodu. Przecież mój samochód stał przed zrujnowaną wieżą. Poza tym siedziałam tu już dobre pół godziny, a to mogło wydać się podejrzane.

– Chyba powinnam już iść – powiedziałam i chciałam wstać, ale miałam pokusę, żeby zadać jeszcze jedno pytanie, bo taka okazja mogła się już nigdy nie powtórzyć. – Czy słyszał pan o takiej podobnej historii w związku ze znaną rodziną z tego miasta, Renato?

– Podobną historię? Co pani ma na myśli?

– Waśń, która wpędziła tę rodzinę w kłopoty?

– Kiedy miałyby się to zdarzyć?

– Nie tak dawno temu.

Spojrzał na mnie z powagą.

– Mówimy o jakiejś konkretnej rodzinie?

– Wie pan, czyją jestem żoną, prawda?

– Zawsze istnieją historie związane z tak wpływową rodziną... – oznajmił, zdejmując okulary.

– Jestem zainteresowana historią, która wstrząsnęła w posadach domem Lorenzów.

Zmrużył oczy i odparł:

– Muszę panią zapytać, dlaczego chce pani o tym wiedzieć ode mnie. Przecież jestem obcym człowiekiem.

– Nie, to ja jestem tu obca – stwierdziłam i opuściłam głowę. – Przywieziono mnie do raju, opływam w luksusach, a jednocześnie czuję się jak zamknięta w złotej klatce. Proszę mi wybaczyć, ale tak mało mówią mi o tym, co dotyczy spraw rodzinnych.

– Robi pani aluzję do tej sprawy z testamentem? – spytał i potarł nos.

– Tak, tak – odpowiedziałam, nie mając pojęcia, co miał na myśli.

– Ta sprawa nigdy nie została wyjaśniona, ale to pani wie.

– Oczywiście, wiem.

Siedziałam wyprostowana i ani drgnęłam, jakbym nie chciała spłoszyć ptaka, który może zaśpiewa.

– Zna pan szczegóły tej historii?

Spojrzał przed siebie.

– Widzę ten scenariusz jak mroczny, sycylijski obraz. Jest gorąco. Rodzina siedzi w przyciemnionym salonie, wszyscy są w żałobie. Na ścianach wiszą portrety ich przodków. Przy biurku siedzi notariusz. Chrząka i rozpoczyna odczytywanie testamentu i wtedy zaczyna się zamęt – powiedział Renato, jednocześnie się uśmiechając, bo chyba obudził się w nim filmowiec, który miał zamiar przenieść prawdziwą historię na ekran.

– Zmarł don Michele, najwyższy stróż rodzinnego majątku i burmistrz naszego miasta.

Natychmiast stanął mi przed oczami portret w galerii przodków, który pochodził z lat dwudziestych. Malowidło przedstawiało przysadzistego mężczyznę z brodą, o zadbanych włosach. Gdy przechodziłam obok obrazu, miałam wrażenie, że on i biskup, którego portret wisiał naprzeciwko, mrugają do siebie.

– Mogę sobie wyobrazić, jakie było zdziwienie członków rodziny, gdy usłyszeli, kto jest spadkobiercą – kontynuował Renato. – Wśród zebranych siedział przystojny, młody mężczyzna, który urodził się głuchoniemy, i jego urocza siostra, która jakiś czas temu straciła rozum.

Zafascynowana wpatrywałam się we właściciela kina, który chyba zapomniał, że mówi o moim teściu i jego siostrze.

– Były to dwie osoby, które mogły otrzymać największy majątek oraz ogromne bogactwo

i władzę, nowi władcy Monteleone. Później jednak... – Renato nagle wstał, jakby chciał zbudować napięcie. – Notariusz odczytał trzecie nazwisko w testamencie. Nastąpiło ożywienie. Trzeci spadkobierca? Głuchoniemy chciał zobaczyć dokument z bliska. Rzeczywiście, było w nim napisane: Andrea. To był niepozorny młodzieniec, który w ostatnich miesiącach życia starego padrone zdobył sobie jego względy, a nawet został jego sekretarzem! I niby ten Andrea miał dostać udział w spadku? Z niezmiernym wysiłkiem głuchoniemy otworzył usta i wydukał: falso!73 Cały czas chrypiał i krzyczał na swój sposób: falso, falso! Testament został sfałszowany.

Renato spojrzał na mnie ukradkiem, żeby się upewnić, czy doceniłam jego barwne przedstawienie historii.

– Kobiety wachlowały się oburzone. Dla ogólnego uspokojenia został podany likier. Zebrani poczuli się dotknięci. Wszyscy mówili głośno i przekrzykiwali się jeden przez drugiego. Andrea, który również był przy odczytywaniu ostatniej woli, zaprotestował i stwierdził, że nic nie wiedział o testamencie. Wykrzyczał, że ten jest prawdziwą, poświadczoną, ostatnią wolą don Michele.

Renato uśmiechnął się i powiedział:

– Jednak Andrea nie wyznał prawdy. Gdy później wysłannicy rodziny wtargnęli do prywatnych pomieszczeń don Michele, znaleźli w kominku resztki spalonego testamentu, który okazał się oryginałem. W ręce notariusza dostał się sfałszowany dokument prawdopodobnie sporządzony przez korzystającego z okazji sekretarza. Andrea nie był na tyle sprytny, by zatrzeć po sobie ślady.

– Ale to jest... – zaczęłam mówić i też wstałam. – Przecież to jest oszustwo!

– A mimo wszystko to prawda. Było przy tym wystarczająco dużo świadków. – Renato zaczął chodzić po pomieszczeniu. – Problem, jaki wyniknął z powodu fałszerstwa, dotyczył nie tylko Andrei i rzeczywistych spadkobierców. Don Michele zmarł bez ważnej ostatniej woli, stąd każdy z rodziny mógł zażądać udziału w spadku. Stara władza kontrolowana przez setki lat mogła się dostać w niepowołane ręce, a to groziło upadkiem. Nie można było udowodnić Andrei fałszerstwa ani podjąć wobec niego żadnych kroków prawnych.

Renato ponownie założył okulary i powiedział:

– Jakies dwa miesiące później wybuchnął kolejny skandal. Andrea nie był tym, za kogo się podawał. W rzeczywistości nazywał się Randazzo.

– Randazzo? – spytałam ze zdziwieniem.

– Tak. Daleki kuzyn z linii bocznej, który mógł się wślizgnąć do domu don Michele pod fałszywym nazwiskiem. Gdy fałszerz w niełasce został wyrzucony z domu Lorenzów, wrócił do swojej prawdziwej rodziny. Mieszkał nawet w pałacu Randazzów, w sercu miasta. Pewnego dnia, gdy późno wrócił do domu, został śmiertelnie trafiony na progu pałacu. Gdy podniósł się krzyk domowników, zapaliły się światła i otworzyły okna, oprócz nieżywego Andrei nie zobaczono nikogo. Od tego czasu między rodzinami Randazzów a Lorenzów zrodziła się głęboka nienawiść.

Gdy Renato przyglądał mi się w napięciu i oczekiwał czegoś w rodzaju aplauzu, po mojej głowie chodziło jedno słowo: morderstwo. Przypomniało mi się to, co usiłował przekazać pod oknem mój nocny gość. Jego imię również brzmiało Andrea. Możliwe, że był bliskim krewnym zamordowanego.

– Kto był mordercą? – zapytałam.

– Już pani powiedziałem, że nie wiadomo. Ta historia nigdy nie została wyjaśniona.

– Ale musieli być jacyś podejrzani?

– Naturalnie. Miejscowi policjanci uznali, że motywem zbrodni była zemsta. Zemsta na Andrei z powodu fałszerstwa testamentu. – Renato zrobił krótką przerwę i spojrzał na mnie badawczo. – Jak pani myśli, kto był głównym podejrzanym w tej sprawie?

Milczałam, bo chyba to nie przeszłoby mi przez gardło.

– Rano aresztowano głuchoniemego padrone di Lorenzo.

– Calogera? – zapytałam.

Nie mogłam uwierzyć, że ten łagodny mężczyzna o delikatnym spojrzeniu, który najchętniej schowałby się za swoimi książkami, mógłby kogoś zastrzelić.

– Przesłuchania nie odbywały się w Monteleone, tylko w prefekturze w Katanii, więc traktowano go jak zwyczajnego podejrzanego. Ale też trzeba przyznać, że niewiele się dowiedzieli od głuchoniemego...

– A później?

– Później? Tak... – Renato chyba dopiero teraz zorientował się, że trochę się zagalopował w tej opowieści, bo zdradził mi tajemnicę Lorenzów. – Signora, ja mówię tylko to, co wszyscy wiedzą. Wydaje mi się, że lepiej by było, gdyby porozmawiała pani o tym ze swoją rodziną.

– Ma pan absolutną rację – oznajmiłam i wstałam. – Proszę mi tylko powiedzieć, czy kogoś skazano? Kto został ukarany?

– W każdym razie nie Calogero – stwierdził.

– Nie?

– W tym czasie się ożenił z piękną Rozalią Nicolosi.

– Jej rodzina nie była za bardzo zadowolona z tego związku.

– Możliwe. Proszę jednak zgadnąć, z kim była skłócona rodzina Nicolosich?

– Pewnie z... Randazzami?

Pokiwał głową.

– Rozalia walczyła o swojego młodego, głuchego męża. Całymi miesiącami jeździła między Monteleone a Mesyną, gdzie odbywał się proces. W końcu jej się udało. Zarzuty przeciwko Calogeroowi zostały oddalone. Szczęście dla Lorenzów, a nieszczęście dla Nicolosich.

– Nie rozumiem.

– Signora, to wszystko jest... hm... bardzo skomplikowane – powiedział i bezradnie rozłożył ręce. – Lorenzowie byli zawsze najbogatszą rodziną w okolicy. Nicolosi byli ogólnie szanowani, ale zubożali. Dlatego wiele osób przypuszcza, że Rozalia poślubiła niepełnosprawnego Calogera wyłącznie dla pieniędzy. Przez fałszerstwo, jakiego dokonał Andrea, perspektywa otrzymania ogromnego spadku przez Calogera była zagrożona. Niech pani sama wyciągnie wnioski z tej historii...

– Że niby Rozalia popełniła morderstwo?

– Nie. Na Sycylii zemsta jest męską sprawą. – Renato spojrział na zegarek. – Signora, proszę mi wybaczyć, ale muszę już wracać do mojego sklepu.

– Proszę poczekać... – poprosiłam.

Chciałam za nim pobiec, ale zahaczyłam ubraniem o jakiś metalowy element, co mnie zatrzymało.

– Kto został ukarany za morderstwo? – spytałam.

Renato przystanął na chwilę.

– Ojciec Rozalii. Został skazany i trafił do więzienia. Proszę jednak zwrócić uwagę, że było to ponad trzydzieści lat temu. Miłego dnia, signora di Lorenzo – powiedział i wyszedł.

– Trzydzieści lat – mamrotałam i delikatnie uwolniłam materiał.

Za chwilę ja również opuściłam ruiny i rozejrzałam się, czy nikogo nie ma w pobliżu. Znowu wydawało mi się, że coś słyszę, ale to chyba był jedynie wymysł mojej wyobraźni, którą rozpalila usłyszana przed chwilą historia.

72 Lud zamieszkujący zachodnią część Sycylii od epoki żelaza, posługujący się językiem elymijskim (przyt. tłum.).

73 Fałszywy (wł.).

Rozdział dwudziesty szósty

W drodze do domu zamiast podekscytowania czułam rozczarowanie. W końcu poznałam tajemnicę rodu Lorenzów, ale rozwiązanie zagadki okazało się banalne. Pieniądze i władza – wyłącznie o to chodziło. Wydawało się, że w Monteleone rozgrywano rodzinną bitwę o wpływy. Istniał tylko jeden cel, któremu podporządkowane były pozostałe. Władza musiała być na zawsze, pieniądze pomnożone, a rodzina pozostać najbardziej wpływową na wyspie. Przejawem tego było morderstwo Andrei Randazzo. To, czy ojciec Rozalii został słusznie skazany, czy przyjął jedynie winę na siebie, nie miało znaczenia. Ważne, że gra toczyła się dalej. Być może krył swoją córkę albo zięcia, aby prawdziwy morderca mógł pozostać na wolności.

Jednocześnie zastanawiałam się, czy powinnam się angażować w odkrycie prawdy dotyczącej rodziców Tancrediego. Przecież ta historia wydarzyła się przed jego przyjściem na świat, więc dotyczyła go jedynie pośrednio.

Po jakimś czasie poznałam jeszcze inne fakty, na przykład ten, że ojciec Rozalii zmarł niespełna trzy lata po tym, jak został osadzony w więzieniu. A kim był prawdziwy morderca? Czy jeszcze żył? Na świecie jest wiele morderstw, które nie zostały wyjaśnione, a mordercy pozostają na wolności. Dręczyło mnie jeszcze coś. Czy to oznaczało, że mój teść był mordercą? A może to Rozalia była sprawczynią tej zbrodni i zrobiła to z miłości do Calogera, a chroniąc swojego ukochanego, poświęciła życie własnego ojca?

Cały czas zastanawiałam się nad tą ponurą historią. Myślałam o tym, czy może powinnam po kryjomu przeszukać gabinet Calogera? A może warto byłoby przejrzeć rzeczy Rozalii? Czy znalazłabym jakiś zdradzający ją list, zaplamione krwią ubranie, narzędzie zbrodni? Co za absurd! Postanowiłam jeszcze raz wszystko dokładnie przemyśleć.

Tej nocy spałam bardzo dobrze i obudziłam się wypoczęta. Po nocy zawsze przychodzi dzień – nagle jasność umysłu sprawiła, że zrozumiałam, iż w całej tej sprawie po prostu się zagalopowałam. Może nadal między rywalizującymi rodzinami istnieje nienawiść, a kiedyś faktycznie doszło do morderstwa, ale czy powinno mnie to tak interesować? Czy warto było tak uparcie dociekać prawdy i szukać zemsty? Przecież jestem inna niż oni wszyscy. Zasada „oko za

oko, ząb za ząb” kojarzyła mi się tylko z zamierchłą przeszłością. Kolejny raz zdałam sobie sprawę, że pochodzę z zupełnie innego świata. Z przyjemnością przypomniałam sobie Londyn i poczucie wolności, którego tam doświadczyłam. W Rzymie pracowałam z Antonionim czy Fellinim, którzy zrewolucjonizowali sztukę. I to było fascynujące. To właśnie dzięki nim pokochałam Włochy i postanowiłam tu żyć. A co robiłam? Co się ze mną stało? Czułam się tak, jakby wehikuł czasu przeniósł mnie nagle do średniowiecza. Co prawda uległam urokowi tego miejsca, bo panował tu niezwykle klimat, wokół rozciągał się przepiękny krajobraz, ale w rzeczywistości Sycylia była jak wymarły kontynent, na którym życie zatrzymało się w czasie.

Początkowo skusiły mnie wygoda, luksus i bogactwo, ale z powodu potwornej nudy i braku konkretnego zajęcia niepotrzebnie zaczęłam się interesować cudzymi sprawami. Moje zabawy w detektywa przysporzyły tylko innym kłopotów. Nie załagodziłam konfliktu między Lorenzami a Randazzami, tylko jeszcze bardziej go zaogniłam. Jednocześnie zlekceważyłam moją sycylijską rodzinę, która żyła według odmiennych zasad, ale próbowałam zaakcentować swoje potrzeby: wolność i chęć do pracy. Chciałam przeprosić za swój błąd, ale też przedstawić swoje żądania. Samochód, który wspomniałam mi podarował mi Tancredi, mogłam kupić sobie sama, gdybym oczywiście pracowała. Ciągle byłam śledzona, co doprowadzało mnie do szału. Miałam zamiar zażądać od Tancrediego, by wydał polecenie swoim ludziom, żeby przestali w końcu za mną chodzić. Chciałam swobodnie poruszać się po okolicy, a także pojechać gdzieś dalej, na przykład do Rzymu, i to jak najszybciej. Po urodzeniu dziecka miałam też plany wyjazdu do Anglii, żeby pokazać je mojej rodzinie i przyjaciołom. Bardzo tęskniłam za Patrykiem i znów chciałam się z nim zobaczyć. Przede wszystkim jednak pragnęłam pracować! Ale nie w domu Lorenzów, w którym byłam ciągle spięta i traciłam weny. Pracownia w starej wieży też nie wchodziła w grę. Wolałabym znaleźć jakiś apartament w Monteleone, gdzie mogłabym rozstawić swoje sztalugi i powiesić rysunki na ścianach. Miejsce, do którego nikt poza mną nie miałby wstępu. No, może jedynie ci, którzy mnie lubili i uskrzydłali, na przykład właściciel kina, Felicja lub... I tu musiałam się zatrzymać. Nagle zdałam sobie sprawę, jak mało miałam przyjaciół w Monteleone. Poczułam się bardzo samotna. Byłam skłócona z mężem i nie miałam nikogo, komu mogłabym w pełni zaufać. Również i to musiało się zmienić. Chciałam się otworzyć na świat i chłonąć go całą sobą tak jak kiedyś, gdy byłam młodsza. Ale nie wiedziałam, od czego zacząć. Jaki powinien być mój pierwszy krok? „Tancredi” – pomyślałam. Wszystko zależało od niego. Potrzebowałam jego aprobaty, a przede wszystkim wyrozumiałości. W końcu

pokochołam człowieka, który potrafił być dla mnie czuły i oddany. Ten Tancredi z Rzymu był cieszącym się życiem chłopakiem, a jednocześnie uzdolnionym rysownikiem. Postanowiłam, że pierwsza wyciągnę rękę na zgodę i szczerze z nim porozmawiam. Tylko zastanawiałam się, jak to zrobić. W biurze nie było najlepszej atmosfery. Stwierdziłam, że go zaskoczę, i po prostu do niego zadzwonię. Po jego głosie rozpoznałam, że był zdziwiony. Poprosiłam, żebyśmy umówili się w naszym ulubionym miejscu – małym pawilonie ogrodowym. Myślę, że trafiłam w dziesiątkę, bo Tancredi od razu się zgodził.

Pawilon stał na wzgórzu, nieco na uboczu. Z jednej strony był osłonięty murem, a z drugiej strony przylegał do małej świątyni ze starymi rzeźbami. Z tego miejsca rozciągał się piękny widok na miasto i morze. Właśnie tam mieliśmy się spotkać tylko we dwoje. Po rozmowie telefonicznej pojechałam po najpotrzebniejsze rzeczy do miasta. Kupiłam wiele ulubionych smakołyków mojego męża. Po powrocie do domu poprosiłam Antonię o klucz do piwniczki z winem. Wzięłam z regału specjalne wino dla Tancrediego. Mimo ciekawskich spojrzeń kucharek i służby wszystko przygotowałam sama i zaniosiłam do pawilonu.

Przed spotkaniem pobiegłam do swojego pokoju, wykapałam się, a później założyłam niebieską sukienkę i lekki żakiet, mimo że było dosyć chłodno. Czułam się bardzo podekscytowana. Tancredi zjawił się punktualnie. Wyglądał na zaniepokojonego.

– Trochę chłodno jak na piknik – odezwał się na powitanie.

Po jego sarkastycznych słowach nabrałam odwagi, bo wiedziałam, że gdy jest złośliwy, to znaczy, że dopisuje mu humor i jest dobrze nastawiony. Nie przypominał wówczas zaciętego Sycylijczyka.

– Co powiesz na rozgrzewające wino? – zapytałam.

– Czemu nie.

Nalałam mu gorzkie ziołowe wino i wznieśliśmy toast. Później pomógł mi usiąść na miejscu, z którego rozciągał się cudowny widok na morze.

– Wszystko to wyczarowałaś sama? – zapytał, spoglądając na stół.

– Niektóre potrawy wyczarowałam za pomocą otwieracza do puszek, ale wszystko robiłam z miłością – powiedziałam z uśmiechem.

Przygotowanie przystawek – nadziewanych ruloników z cukinii, carpaccio z bakłażanów⁷⁴, pieczarek z serem – było zazwyczaj domeną Rozalii. Swoje kupiłam, ale o tym mój mąż nie wiedział.

– Chciałabym cię za wszystko przeprosić – zaczęłam rozmowę.

Moja bezpośredniość okazała się dla niego tak zaskakująca, że nie mógł przełknąć tego, co wziął do ust. Długo przeżuwał każdy kęs.

– Dla mnie najważniejsza jest nasza miłość. To, co zrobiłam, narażenie jej... Bardzo tego żałuję i proszę, żebyś mi wybaczył.

Myślę, że nigdy nie rozmawiałabym w ten sposób z Anglikiem, ale dla Sycylijczyka były to odpowiednie słowa.

– A jak... Jak wpadłaś na ten pomysł?

Moja zaskakująca propozycja pojednania wprowadziła padrone w zakłopotanie.

– Chciałabym uczynić cię szczęśliwym i również być szczęśliwa.

– Też bym tego chciał.

Tancredi sam wydawał się być zaskoczony swoimi słowami, ale za chwilę powtórzył:

– Tak. Ja też tego chcę.

– Zachowałam się niewłaściwie, jeśli chodzi o Randazzo.

– Nie musimy tego... Nie musimy o tym rozmawiać.

– Obawiam się, że jednak powinniśmy. Wszystko między nami musi być wyjaśnione.

Wszystko, rozumiesz? Inaczej sycylijskie niebo będzie dla mnie szare nawet wtedy, gdy będzie świecić słońce.

Jak na zawołanie spomiędzy chmur wyłoniło się słońce. Wzgórze, znajdujący się na nim pawilon i morze w oddali nabrały złocistych barw. To był przepiękny widok.

– Oskarżenia matki Andrei Randazzo były ostre. Mówiłam ci o tym, ale nie chciałeś słuchać. Później ich mieszkanie na Via dei Vespri opustoszało. Przez przypadek spotkałam wówczas syna tej kobiety.

– Ona jest jego ciotką, a nie matką.

– Sytuacja pod moim oknem wyglądała podobnie. Nie wiedziałam, co spowodowało desperację tego człowieka, że postanowił się do nas włamać.

Tancredi wykonał uspokajający gest, jakby nie chciał o tym rozmawiać przy jedzeniu.

– Stało się. Nie powinniśmy do tego...

– Wręcz przeciwnie, Tancredi. Musimy szczerze o tym porozmawiać. Chcę, żebyś wiedział o wszystkim. Randazzo powiedział tej nocy: „Proszę mi pomóc, pani mąż zrujnuje całą moją rodzinę. Lorenzowie dopuszczają się każdej zbrodni, gdy ich pieniądze są w

niebezpieczeństwie”. Po tych słowach pojawili się twoi ludzie, a on uciekł.

– Co chciałabyś wiedzieć? – Tancredi ugryzł pieczarkę i spojrzał na nią tak, jakby w środku było ukryte rozwiązanie problemu.

– Gdzie wyjechała rodzina Randazzów? Co się z nimi stało? – zapytałam.

– Zarządziłem, żeby opuścili mieszkanie.

– Dlaczego?

– Dom na Via dei Vespri należy do mnie.

– W ten sposób nie odpowiadasz na moje pytanie.

– I tak mi nie uwierzysz.

– Dlaczego nie? Jeśli to prawda...

– Wcześniej Randazzowie mieli wiele ziemi w okolicy. Dobrej ziemi. W niektórych miejscach nasze ziemie graniczyły. Jednak ta rodzina źle nimi gospodarowała i w końcu musiała sprzedać swoją część.

– Tobie? – zapytałam.

– Mojemu ojcu. To było wiele lat temu. Jednak ojciec pozwolił im na pozostanie na tym terenie i zawarł z nimi umowę na dzierżawę na normalnych zasadach. On jest bardziej wspańiałomyślny ode mnie. Gdy przejąłem prowadzenie interesów, Randazzowie z dnia na dzień przestali płacić. Andrea jest...

Tancredi wykonał gest przed swoim czołem i powiedział:

– Andrea ma zwariowane wyobrażenia o tym, co dotyczy naszych rodzin.

– Czy to ojciec Andrei był tym, który z powodu testamentu...

Spojrzał na mnie ponuro, ale po chwili odetchnął i uśmiechnął się z ulgą.

– Wiedziałem, że usłyszysz tę mrozącą krew w żyłach opowieść – powiedział i westchnął.

– Umowa to umowa. Nie ma to nic wspólnego ze starymi historiami rodzinnymi. Czekałem miesiącami, aż Andrea zapłaci. Zaoferowałem mu nawet korzystny kredyt. Wzywałem go do zapłaty. Później przekazałem sprawę do gminy. Została zarządzona eksmisja, która doszła do skutku.

Zastanawiałam się, czy to był dobry moment, żeby zapytać o morderstwo i uwikłanie w sprawę jego rodziców. Ale nie zrobiłam tego, bo nie chciałam plotkować. Poczułam spokój, gdy Tancredi udzielał mi jasnych odpowiedzi i niczego przede mną nie ukrywał. Zrobiła się bardzo miła atmosfera.

– Mam ochotę gdzieś z tobą wyjechać – powiedziałam pod wpływem impulsu.

– Wyjechać? – Jego wzrok padł na mój brzuch.

– Nie teraz. Później, gdy dziecko... – Sama nie byłam pewna, co miałam na myśli, ale mówiłam dalej. – Chciałabym razem z tobą poznać świat, zobaczyć coś poza wyspą, żebyśmy znowu mogli wracać szczęśliwi do cudownego domu.

Odsunął od siebie talerz.

– Nie jesteś szczęśliwa, prawda? Spodziewałaś się czegoś innego?

Musiałabym potwierdzić, jednak kochałam mojego męża, byłam mu oddana, co oznaczało, że pragnęłam również i jego szczęścia.

– Chcę twojego szczęścia, Tancredi. Jednak mógłbyś bardziej zwrócić uwagę na to, jaka naprawdę jestem. Znasz mnie przecież. Żyłeś ze mną w Rzymie...

– Mój mały ptaszku – powiedział to tak czule, że do oczu napłynęły mi łzy. – Kto odciął ci skrzydełka? Czy to nie byłem przypadkiem ja?

– Jeśli nie będę mogła latać, to będę... bardzo smutna – wyszeptałam.

– Powinnaś latać, moja kochana. Zaczynij latać, proszę cię o to.

Wziął mnie za rękę, a ja przytuliłam się do niego, pochylając się nad stołem, i go pocałowałam.

– Mówisz szczerze? Pozwolisz mi na trochę więcej... Pozwolisz mi być sobą? Pozwolisz mi znowu pracować?

Jednak miał wątpliwości co do mojej pracy w ciąży.

– Cieszę się ogromnie, że będziemy mieć dziecko, dlatego mimo wszystko chcę znów projektować i rysować. Może pojedziemy jeszcze przed porodem do Rzymu, do Cinecittà. Co o tym sądzisz? Zobaczymy ponownie tych szalonych ludzi, zajrzemy do studia, a może nawet okaże się, że mają dla mnie jakieś zajęcie przy nowym filmie. Zastanawiałam się nad otwarciem w Monteleone małego studia. Chciałabym projektować modę, ktoś mógłby dla mnie szyć. Sprawiłoby mi to radość. Nie chcę nic na tym zarabiać, tylko być kreatywna, stworzyć coś, co innym przyniesie radość. Będę...

Tancredi cały czas milczał. Miałam nadzieję, że to dobrze wróży.

– Oczywiście wszystko zrobię tak, żeby dziecko na tym nie ucierpiało.

Mój mąż przyciągnął mnie do siebie i przytulił.

– To świetny pomysł.

– Co jest świetnym pomysłem? – zapytałam zaskoczona.
– Własne studio.
– Zgodziłbyś się?
– Naprawdę jestem takim tyranem?
– Tyranem, nie... Kimś, kto jest zajęty – odpowiedziałam zmieszana i wpatrzona w jego fascynujące, jasne oczy. – Czyli mogłabym wynająć małe atelier w mieście?
– Niestety to niemożliwe – stwierdził z uśmiechem.
– Jak to?
– W całym Monteleone należy do nas tyle domów, że moi rodzice nie rozumieją tego, że coś wynajmujesz.

Roześmiałam się i przytuliłam do jego piersi.

– To jest właśnie przekleństwo – wyjście za mąż za bogatego człowieka.

– Pozwolisz, że ci pomogę? Chciałabyś?

Spojrzałam na niego zakochanym wzrokiem i mocno go pocałowałam.

– Chętnie.

Nasza randka była bardziej udana, niż ją sobie wyobrażałam.

– Nie próbowałaś jeszcze papryki – powiedziałam uradowana.

– Nie znoszę papryki.

– Nie mówiłeś mi tego!

– Właściwie to wielu rzeczy sobie nie powiedzieliśmy.

Spojrzał na mnie z wielką czułością. Chyba był to najbardziej szczerzy moment, jaki razem przeżyliśmy. Jaka szkoda, że ten sympatyczny Tancredi, z którym właśnie jadłam pyszny obiad, pewnego dnia znowu zmienił się w ponurego Sycylijczyka, który wszędzie widział wyłącznie zagrożenie i brakowało mu zaufania do ludzi, a najbardziej do swojej żony. Na szczęście wówczas jeszcze o tym nie wiedziałam i mogłam cieszyć się rozkosznymi chwilami.

74 Przystawka z plastrów bakłażana. Tradycyjnie przygotowuje się je z surowego mięsa – wołowiny, cielęciny, łososia lub tuńczyka. Jest to bardzo cienko pokrojone lub rozbite mięso z przyprawami i oliwą (przyp. tłum.).

Rozdział dwudziesty siódmy

Prawie całe swoje życie Benedetta przesiedziała na wąskim łóżku w pokoju ukrytym za kuchnią. Któregoś dnia po prostu się położyła i już nigdy nie wstała. Wiele razy odwiedzał ją lekarz, jednak zawsze twierdził, że fizycznie nic jej nie dolega. Benedetta była młodsza od Calogera, dlatego nie można było powiedzieć, że jest stara. Mimo to jej stan się pogarszał, a ona sama popadała w coraz większą apatię. W końcu wszyscy zgodnie stwierdzili, że Benedetta czeka na swoją śmierć.

Rozalia próbowała ukryć przede mną to, co się działo. Starła się mnie ochronić i jak najdalej odsunąć ode mnie zbliżającą się śmierć Benedetty. A trzeba przyznać, że śmierć w sycylijskim życiu ogrywała istotną rolę. Nie żegnano się z kimś bliskim tak szybko jak w Anglii, gdzie ludzie chcieli od razu wrócić do swoich codziennych spraw. Na Sycylii śmierć była celebrowana, poświęcano jej dużo miejsca i czasu. Dlatego pewnego wiosennego dnia w sercu domu, czyli salonie, nastąpiła wielka zmiana. Pokój został odpowiednio zaaranżowany – komplet wypoczynkowy i pozostałe meble znalazły się pod ścianą, a na środku stanęło ogromne łóżko. Calogero na rękach przeniósł Benedettę przez kuchnię i przedpokój. Był to pierwszy raz od dłuższego czasu, a jednocześnie ostatni, kiedy opuściła swoją kryjówkę. Zaniósł ją do salonu i położył w ogromnym łożu, w którym wydawała się bardzo drobna. Gdy została przykryta, jej kruche ciało wprost zniknęło w pościeli.

Z całego Monteleone przychodzili ludzie, żeby się pożegnać z siostrą starego padrone. Było ich tylu, że trzeba było donieść ławki i krzesła. Odchodzenie Benedetty stało się najważniejszym wydarzeniem w życiu rodzinnym. Wszyscy okazywali szacunek tej małej, obłąkanej kobiecie. Słyszałam kiedyś o sycylijskich rytuałach związanych ze śmiercią, na przykład o płaczkach, które w imieniu rodziny przejmowały nocne czuwania i opłakiwały zmarłego. Dlatego myślałam, że wiele zebranych kobiet w czerni to właśnie zawodowe płaczki, ale się myliłam. W ostatnich dniach przed śmiercią siostra Calogera doświadczyła tyle uwagi ze strony ludzi, ile nie zaznała podczas całego swojego życia. Jej dziwna i ponura egzystencja dobiegała końca. W salonie cały czas, nawet w nocy, płonęły świeczki, a zebrani mówili

szeptem. Dla mnie to wydarzenie niosło ze sobą coś uspokajającego i refleksyjnego. Zdałam sobie sprawę, jak przyjazna potrafiła być śmierć, gdy nie zamykało się przed nią drzwi. Tak jakby ci wszyscy odwiedzający mówili do umierającej: „Jesteśmy tu. Może jeszcze trochę pożyjemy, niejedną rzeczą w życiu się zajmiemy, ale w końcu umrzemy dokładnie tak jak ty, Benedetto. Nie jesteś sama. Pójdiesz pierwsza, żeby wskazać nam drogę, i pocieszyć nas, że nie ma w tym nic strasznego”.

Pewnego wieczoru postanowiłam zostać przy umierającej na noc. Siedząc przy niej, zupełnie nie odczuwałam niepokoju czy strachu przed tym, co miało nadejść. Z każdą godziną liczba zgromadzonych żałobników malała, aż w końcu zostałyśmy tylko we dwie. Benedetta zazwyczaj przesypiała całe dnie, jednak teraz nie zmrużyła oka. Było ciepło, dlatego Detta leżała tylko pod cienkim prześcieradłem. Przyglądała mi się uważnie. Odłożyłam książkę i wzięłam ją za rękę.

– Jesteś zadowolona? – zapytałam. – Czy widzisz cel przed sobą? Znasz drogę?

Milczała.

– Tancredi i ja doszliśmy do porozumienia. Już wiemy, gdzie popełniliśmy błąd. Chcemy być dobrym małżeństwem – mówiłam i patrzyłam jej prosto w oczy. – Sądzisz, że możemy być szczęśliwi? Myślisz, że wszystko może być tak jak na początku?

Spojrzałam na swój coraz większy brzuch.

– To znaczy, na pewno będzie trochę inaczej, ale postaramy, żeby było dobrze.

Mój monolog i ta sytuacja głęboko mnie poruszyły. Może dlatego poprosiłam o coś, co wcześniej nie przyszłoby mi do głowy.

– Pobłogosław mnie, Benedetto. Wierzę, że wszystko będzie dobrze.

Uniosłam jej dłoń na moje czoło i czekałam w nadziei na gest, który będzie świadczył o tym, że mnie zrozumiała. Jednak jej dłoń leżała nieruchomo, dopóki z powrotem nie położyłam jej na łóżko. Benedetta patrzyła w inną stronę. Nie wzięła udziału w mojej sentymentalnej ceremonii.

– Rozumiesz w ogóle, co mówię? – zapytałam trochę rozczarowana.

– Oczywiście – odezwała się wyraźnie.

Podskoczyłam jak porażona prądem.

– Wiesz, co się dzieje wokół ciebie?

Nie odpowiadała. Tak jakby to jedno słowo nie padło z jej ust. Wzrok Benedetty był

beznamiętny. Nawet po moich usilnych próbach przekonania jej i wypytywania nic już nie powiedziała. Byłam skołowana. Czy specjalnie mnie nie pobłogosławiła? Chciałam, żeby był tu Tancredi. Chyba się zdrzemnęłam. Gdy się obudziłam, obok mnie siedziała Rozalia. Miała na sobie szlafrok i rozpuszczone włosy.

– Nie przemęczasz się zbyt? – zapytała szeptem.

– Nie. Chcę tu być.

– Lepiej idź do łóżka. Teraz ja tu posiedzę.

– Pozwól, że zostanę jeszcze trochę – powiedziałam. – Jak sądzisz, ile z tego, co tu się dzieje, dociera do niej?

– Sama nie wiem. Ona rozumie i nie rozumie. – Rozalia potrząsnęła głową. – Gdybym tylko wiedziała...

Wyczułam, że nie powinnam jej pytać o nic konkretnego. Zapytałam tylko, czym się tak zmartwiła.

– Zwyczaj wymaga, by kobieta, która przez całe swoje życie była niezamężna, stała się panną młodą w dniu śmierci.

– Kto tak mówi?

– Starsze kobiety. Nawet ksiądz uważa, że musiałabym... – przerwała, zawiązała mocniej szlafrok i przykryła nogę. – W każdym razie potrzebuję dla Detty sukni ślubnej.

– Sukni ślubnej? – powtórzyłam z niedowierzaniem.

– Benedetta powinna być ubrana do trumny na biało – wyjaśniła Rozalia.

– To jest przecież śmieszne – wymknęło mi się, ale się zreflektowałam. – No tak, powinno się pochować twoją szwagierkę z takim samym szacunkiem, jakim była obdarzona przez ostatnie dni.

Jeszcze bardziej niżylałam głos. W końcu rozmawialiśmy w obecności osoby żyjącej o jej sukience do trumny.

– Wiem, ale oczekiwania wobec mnie są inne – powiedziała Rozalia.

– Wyobraź to sobie. Krucha stara panna w sukni ślubnej, może na dodatek jeszcze z welonem?! To... To przecież... – skomentowałam.

Rozalia milczała jak zawsze, gdy nie lubiła komuś przyznać racji. W tym czasie ja wpadłam na pewien pomysł.

– A co powiedziałabyś na to, gdybym ja zaprojektowała sukienkę dla Benedetty?

Mogłaby być jasna, strojna, ale niekoniecznie przypominająca suknię ślubną – zaproponowałam.

– Co o tym sądzisz?

Spojrzałyśmy na siebie, a później na łóżko. Chyba obydwie w tym samym momencie pomyślałyśmy: „Ile czasu nam zostało?”. Projekt, wzięcie miary, kupienie materiału, skrojenie, uszycie – potrzebowałam na to przynajmniej tygodnia, a to mogło być za długo. Ale w mojej piwnicy na Lecky Street w Londynie zrealizowałabym takie zlecenie w dwa dni.

– To miłe z twojej strony – powiedziała Rozalia. – Jednak w twoim stanie...

Nie musiała tego mówić.

– Nieważne, to jest mój zawód – stwierdziłam i wstałam. – Pozwól mi spróbować. W najgorszym wypadku uszyję ją na próżno. Znasz jakąś dobrą szwaczkę w Monteleone?

– Tak, ale...

– Zadzwoń do niej i powiedz, że będę u niej jutro z projektem.

– Diano, ja nie wiem... – Rozalia była przewidująca i dyplomatyczna. Wiedziała, że jeśli odmówi, poczuję się urażona. – Zadzwonię do niej. – Uśmiechnęła się niepewnie.

– Pokażę ci wcześniej, co narysowałam. Wybierzesz coś. Może tak być?

– Kiedy chcesz rysować?

– Teraz.

– O tej porze?

– W nocy idzie mi to najlepiej! Do rana, mamó. Zobaczysz, zaskoczę cię.

Pocałowałyśmy się w policzki.

Potem pobiegłam na górę. Tancredi mocno spał. Weszłam cichutko do pokoju obok, otworzyłam blok i zaczęłam rysować.

Już o siódmej rano poszłam do pokoju teściowej i dałam jej do wyboru trzy propozycje. Rozalia kazała przynieść nam kawę i zaspana zaczęła oglądać moje projekty. Byłam zaskoczona, że jej się spodobały.

– To jest w zasadzie lepsze – powiedziała w końcu.

– Lepsze niż co? – zapytałam.

– Masz rację. – Spojrzała na mnie ciepłym wzrokiem. – Nie powinniśmy ubierać Benedetty w suknię ślubną. Byłoby to... – urwała.

Z uwagą oglądała projekty, aż w końcu jej wybór padł na brzoskwiniową sukienkę, która krojem przypominała sukienkę koktajlową.

– Myślałam o jedwabiu, ale nie takim błyszczącym – wyjaśniłam zadowolona.

– Dobrze.

Od tej chwili wpadłam w wir pracy. W Monteleone nie było sklepu z materiałami.

Najbliższa, najlepiej zaopatrzona firma sprzedająca tkaniny miała siedzibę w Katanii, a jej filia znajdowała się w Geli. Ale przecież byłam żoną najbardziej wpływowego mężczyzny na wyspie.

Dlatego wystarczył jeden telefon od signory Rozalii, a kwadrans przed dziewiątą pod domem zaparkował przedstawiciel firmy, który przyjechał z pudłem pełnym wzorników i tkanin.

Poprosiłam o kawę dla gościa i poszłam za nim do samochodu. Sprzedawca po kolei rozwijał

bele. Niesamowitą przyjemność sprawiło mi dotykanie i wybieranie materiałów. Niektóre

oglądałam pod światło. W końcu znalazłam odpowiedni. Był to elegancki materiał z surowego

jedwabiu, troszkę jaśniejszy niż na moim rysunku. Uregulowaniem płatności zajęła się Rozalia.

Później wsiadłam do samochodu i pojechałam do szwaczki Ninetty. Jej dom znajdował się blisko portu. Dokładnie tak wyobrażałam sobie rybacką chatkę – małą, niską, ciemną i

wygodną. Ninetta zaś była delikatna i drobna. Miała wielkie oczy i zwinne dłonie.

Rozumiałyśmy się bez słów. Zaproponowałam, że od ręki przygotuję wykrój, żebyśmy zyskały

na czasie. Ninetta jeszcze nigdy nie miała tak skomplikowanego zlecenia. Zazwyczaj jedynie

poszerzała sukienki dla tyjących kobiet. Byłam w swoim żywiole – zrobiłam wykrój, rozłożyłam

go na materiale i zdecydowanym ruchem zaczęłam go ciąć wielkimi nożyczkami. Wreszcie

poczułam się szczęśliwa. Gdy wyszłam od Ninetty, było południe. Zza drzwi rybackiej chatki

usłyszałam terkot maszyny do szycia, co spowodowało, że uśmiechnęłam się do siebie.

Rozdział dwudziesty ósmy

Pogrzeb Benedetty okazał się wielkim wydarzeniem. Do kościoła przyszła połowa mieszkańców Monteleone, która później odprowadziła trumnę na cmentarz. Pierwszy w kondukcje szedł proboszcz ubrany w odświętny ornat, a za nim podążali ksiądz z wodą święconą i duchowny dźwigający ogromny krucyfiks. W następnej kolejności kroczyła najbliższa i dalsza rodzina, a za nią burmistrz i dostojnicy, na końcu zaś mieszkańcy Monteleone. Gdy szłam obok Tancrediego, mężczyźni się kłaniali i zdejmowali kapelusze. W drodze na cmentarz przypominałam sobie, że nie wszystkim spodobał się strój Benedetty. Po cichym odejściu Antonia i Rozalia ubrały ją i przygotowały do trumny, którą wystawiono na katafalku, żeby oddać cześć zmarłej. Moi teściowie i Tancredi uważali, że zaprojektowana przeze mnie skromna sukienka była prześliczna. Jednak gdy starszyzna przyszła złożyć kondolencje, zaczęli narzekać, że nie zastosowaliśmy się do tradycji. Przed niektórymi Rozalia musiała się tłumaczyć ze swojej decyzji.

Podczas stypy udało mi się opowiedzieć Tancrediemu o mojej nowej współpracownicy. Pochwaliłam Ninettę, stwierdziłam, że jest zręczna, pomysłowa i godna zaufania, i chciałabym z nią współpracować. Napomknęłam Tancrediemu o jego obietnicy dotyczącej mojego atelier.

– Czy to takie pilne? – spytał zniecierpliwiony.

– Sukienka dla Benedetty była dobrym wstępem. Teraz Ninetta miałaby dla mnie czas. Latem jest dużo pracy, więc byłoby trudno...

– Latem? – Spojrzał na mnie tak, jak przywołuje się do porządku dziecko, które coś spsocioło. – Chcesz latem projektować ubrania?

– Jakbym miała atelier...

– Diano, zupełnie cię nie rozumiem. – Jego ton stał się surowy. – Są ważniejsze sprawy dla ciebie niż te... fatalaszki. Zapomniałaś, że będziesz matką?

– Oczywiście, że nie. Mimo że jestem w ciąży, mam jednak dużo energii i zapału. Od dawna nie czułam się tak dobrze! Brakuje mi jedynie pracy.

– Sukienka dla Benedetty nie była pracą. Nie zniósłbym tego, gdyby moja żona została

krawcową.

– Krawcową? Tancredi, nie żyjemy w dziewiętnastym wieku. Chcę projektować piękne kolorowe ubrania dla mieszkanek Monteleone.

– Kobiety z Monteleone jakoś sobie do tej pory radziły bez twojej pomocy. Myślałem, że chcesz rysować w tym tak zwanym atelier. O tym, że otworzysz salon mody, nie było mowy.

Zaniemówiłam na chwilę.

– W takim razie, czemu miałyby służyć moje projekty ubrań, jeśli nikt by ich później nie nosił? Mam się zajmować sztuką dla sztuki tylko po to, żebym mogła wypełnić swój wolny czas?

– Dlaczego nie? Do tej pory nie malowałaś dla samej przyjemności?

– Owszem, ale tylko dlatego, że nie mogłam pracować! Ale teraz...

Zamilkły rozmowy wokół nas, bo osoby siedzące obok starały się podsłuchać, o co się kłócimy.

– Nie tutaj – uciął dyskusję Tancredi.

Chwycił kieliszek i podszedł do burmistrza, który siedział po drugiej stronie stołu.

Na pewno domyślał się, o co mi chodziło. Przecież widział mnie w Rzymie, gdy biegałam od sklepu do sklepu z materiałami, między pomieszczeniem z kostiumami a szwalnią. Jego obawy związane z otwarciem mojego salonu były wyolbrzymione. Tancredi uważał, że gdy tylko spuści mnie z oka, odsunę się od rodziny i stanę się zbyt niezależna.

Podczas kolejnych tygodni temat mojego atelier był kością niezgody. Gdy tylko wracałam do rozmowy, Tancredi mówił, że jest to nieodpowiedni moment, lub tłumaczył, że jeszcze nie znalazł właściwego miejsca. Ale ja nie odpuszczałam. Kurczowo trzymałam się pomysłu, żeby założyć własne studio, bo wiązało się to dla mnie z kilkoma godzinami wolności. Rzeczywiście, chciałam odpoczywać od rodziny i czuć się swobodnie. Próbowалаm powrócić do tego, co choć trochę będzie przypominało moje ukochane zajęcie, i zrobić coś w tym kierunku, zanim jeszcze urodzę dziecko. Niestety Tancredi grał na czas. Miał nadzieję, że im dłużej poczeka, tym szybciej zapomnę o moim niespełnionym marzeniu. Jego kalkulacje się sprawdziły. Nastąpiło lato i coraz trudniej było mi się poruszać, a coraz częściej musiałam odpoczywać lub wyżej trzymać nogi, bo ciągle mi puchły. To były ostatnie tygodnie ciąży. Wsłuchiwałam się w siebie i czułam ruchy dziecka. Zaczęłam rozmawiać z własnym brzuchem. Cieszyłam się, że zbliża się ta wielka chwila, kiedy zobaczę swoje dziecko. Nie mogłam się doczekać porodu. Stałam się niecierpliwa. Byłam zachwycona tym, że zostanę matką, a jednocześnie pragnęłam być kreatywna.

Przygotowywałam pokoik dla dziecka i marzyłam o miejscu, gdzie będę ponownie wolna. Nieustannie myślałam o moim atelier, bo dostrzegłam w nim szansę na normalne życie. Nie chciałam być dłużej więźniem w domu Lorenzów. Jednak Tancredi zupełnie mnie nie rozumiał w tej kwestii, dlatego znowu zaczęłam mu schodzić z drogi. Gdy któregoś dnia doszło do rozmowy na ten temat, przerodziła się ona w kłótnię, podczas której mój mąż potraktował mnie jak nieodpowiedzialną przyszłą matkę narażającą dziecko na niepotrzebny stres.

W pewien sierpniowy upalny dzień stało się to, na co wszyscy czekali. Bóle porodowe zaczęły się wczesnym rankiem, a już po południu urodziłam dziewczynkę. Przyszła na świat z łatwością i bez żadnych komplikacji. Miałam wrażenie, że pojawiła się na świecie cichutko i bezszelestnie, jakby nie chciała robić hałasu. Jak się później okazało, Julia miała dobry charakter i była spokojnym dzieckiem. Gdy po raz pierwszy przystawiłam ją do piersi, od razu zaczęła ssać, a potem usnęła jak aniołek.

Rodzina była rozczarowana narodzinami dziewczynki. Robili wszystko, by to przede mną ukryć, jednak podczas gratulacji brakowało sycylijskiej euforii. Za to Tancredi bardzo się ucieszył. Jego reakcja była szczerą i cudowną. Gdy zobaczył małą pierwszy raz, wziął ją w ramiona i szepnął:

– Julia, moja słodka Julia.

Jego zachowanie i radość z narodzin córki dodały mi sił. Dzięki temu nie przejmowałam się uwagami typu: „Nie martw się. Następnym razem będzie chłopak”.

Mimo że Calogero i Rozalia mieli już wnuczeta, byli podekscytowani, dumni i troskliwie opiekowali się maleństwem. Julia miała czarne włosy jak jej ojciec, takie same oczy, podbródek i usta. Po mnie odziedziczyła chyba tylko nos. Dwa dni po porodzie wróciłam do domu, gdzie odbyło się ogólne powitanie. Julia di Lorenzo zamieszkała w swoim pokoiku na drugim piętrze willi.

Mijały miesiące, podczas których byłam pochłonięta opieką nad małą i niczego więcej nie potrzebowałam do szczęścia. Julia stała się dla nas księżniczką. Dumny ojciec często bujał swoją ukochaną córeczkę w ramionach, a teściowie przychodzili w odwiedziny do jej pokoju. Zabierałam Julię ze sobą na dół, żeby wszyscy mogli ją lepiej poznać. Z dnia na dzień poznawaliśmy się coraz lepiej. Po płaczu Julii mogłam się zorientować, co jej dolega. Czasami udawało mi się od razu ją uspokoić. Wystarczyło ją mocno przytulić.

Upały mijały i robiło się coraz chłodniej. Jesień była łagodna i szybko odeszła. Gdy

słońce zniknęło za mleczną zasłoną, która zapowiadała zimę, w mojej głowie znowu pojawiły się marzenia i chęć ich zrealizowania. Pragnęłam rozpocząć pracę nad nowymi projektami. Miałam zamiar spakować Julię, pojechać do mojego atelier i pracować. Przypadkiem pomógł mi mój teść. Nie ukrywałam swoich pragnień przed Calogero, a nawet wiele razy omawiałam z nim swój pomysł. Może teść nie wszystko słyszał, ale w głębi serca był po mojej stronie.

Któregoś wieczoru Calogero w szczególny dla siebie sposób poinformował mnie, że coś się wyjaśniło w kwestii mieszkania. Była to mieszanka gestów i dźwięków, które już umiałam rozpoznawać, jak wszystko w tym domu. Calogero przekazał mi, że mieszkanie jest nieduże, po remoncie, puste i znajduje się niedaleko portu. Tancredi musiał zachować twarz i chociaż minimalnie zainteresować się propozycją ojca. Sprawiało mu to wielką trudność, bo nie chciał mi zapewnić swobody. Jednak ja byłam zdecydowana coś zmienić w swoim życiu i to dzięki pomocy starego padrone.

Następnego dnia ja, Julia, Tancredi i jego rodzice wybraliśmy się do miasteczka, by obejrzeć mieszkanie. Od razu byłam nim zauroczona. Chodziłam z Julią w ramionach po pokojach, podziwiając przepiękne światło, wesoły gwar i portowe zapachy za oknem. Oczywiście nie okazywałam swojego zachwytu, żeby nie spłoszyć swojego męża. W końcu oznajmiłam, że to mieszkanie będzie dla mnie odpowiednie. Tancredi znalazł się w kropce. Przy swoich rodzicach nie wypadało mu się kłócić i robić mi wymówek dotyczących dojazdów czy opieki nad dzieckiem. Jeździłam samochodem, co Julia świetnie znosiła. Tancredi, chociaż bez przekonania, ale w końcu się zgodził. I tak oto dostałam swoje wymarzone atelier w Monteleone!

Jako pierwszą powiadomiłam o tym Ninettę. Nie widziałyśmy się pół roku, gdy jednak się o tym dowiedziała, od razu zgodziła się na współpracę. Później pokazałam jej mieszkanie i zaproponowałam, żeby zajęła jeden z pokoi. Zawahała się i grzecznie powiedziała, że wolałaby szyć w domu. Zdziwiło mnie to, ale nie zmuszałam jej do wyjaśnień. Zrozumiałam jednak, że było jej niezręcznie zajmować pokój u żony padrone.

Powoli zaczęłam urządzać swoje atelier. Z willi sprowadziłam niektóre przedmioty. Chociaż bardzo mi się to nie podobało, musiałam skorzystać z pomocy Chichiego, bo moje auto było za małe na transport mebli. Jednak wytłumaczyłam sobie, iż dzięki temu, że Chichi będzie towarzyszył mi na każdym kroku, mój mąż będzie wiedział, gdzie byłam, co robiłam i z kim rozmawiałam, i nie urządzi mi scen zazdrości. U stolarza zamówiłam ogromną płytę stołową, która miała spocząć na dwóch stojakach. Kupiłam też wygodną sofę. Do jednego pokoju

wstawiłam łóżeczko dziecięce dla Julii, a do innego – parę krzeseł, wielkie lustro i maszynę do szycia. Wprawdzie Ninetta miała własną, ale miałam nadzieję, że kiedyś się przekona do pracy na cały etat u mnie w studiu. Byłam nieustannie zajęta, więc trochę zaniedbałam życie rodzinne i czasami nie pojawiałam się na obiedzie. Zdarzało się, że do nocy sprzątałam regały, przesuwałam meble, przeglądałam wzory materiałów. Dlatego niekiedy nie uczestniczyłam również w rodzinnych kolacjach, co nie przeszkadzało Tancrediemu, ale nie podobało się Rozalii, która chciała mieć przy sobie swoją wnuczkę.

Pewnego dnia udało mi się wreszcie ustawić wszystkie meble w mieszkaniu. Nie potrzebowałam już ciężarówky ani szofera. Odetchnęłam z ulgą, bo od tej chwili przyjeżdżałam do miejsca, gdzie mogłam czuć się swobodnie, o czym tak długo marzyłam. Przedtem nie zastanawiałam się, co właściwie chciałam tworzyć w swoim atelier. Gdy cisza czterech ścian stała się moją rzeczywistością, zaczęłam się nią rozkoszować, a moje plany coraz bardziej się konkretyzowały. Przed kilkoma miesiącami bez przekonania skontaktowałam się ze studiem filmowym. Napisałam do biura produkcyjnego w Cinecittà, ale nie dostałam żadnej odpowiedzi. Zadzwoiłam do reżysera, u którego zajmowałam się rekwizytami, i zaproponowałam pomoc. Jego reakcja była nie taka, jakiej się spodziewałam. Po prostu mi odmówił. Zrozumiałam, że wypadłam z obiegu. A poza tym w branży filmowej trzeba być dyspozycyjnym przez całą dobę i nie traktować pracy w filmie wyłącznie jako swojego hobby. Bardzo bogata, sycylijska żona i matka nie miała czego szukać w Cinecittà, a tym bardziej w Rzymie. Gdy zdałam sobie sprawę, że moja przygoda z filmem prawdopodobnie dobiegła końca, wpadłam na inny pomysł. Wreszcie miałam odwagę wystartować ze swoimi projektami, nie z jedną sukienką, nie jednym żakietem, ale z całą kolekcją. Siedząc z dzieckiem w atelier, zaczęłam się nad tym zastanawiać. W końcu wymyśliłam spójną całość, której nadałam roboczy tytuł „Dzień nad morzem”. Napisałam te słowa wielkimi literami na wielu kartkach. Posklejałam je i powiesiłam nad biurkiem. „Tak. Zaprojektuję morską kolekcję” – postanowiłam. Ta wizja zafascynowała mnie tak bardzo, że wpadło mi do głowy coś, o czym od dawna nie myślałam. Postanowiłam skontaktować się z Patrykiem, swoim starym przyjacielem z Anglii.

Rozdział dwudziesty dziewiąty

Jedyną inicjatywą, jaką wykazał się Tancredi, było założenie telefonu w moim atelier. Dzięki temu mogłam swobodnie zadzwonić do Anglii. Gdy czekałam na połączenie, byłam bardzo podekscytowana. W końcu w słuchawce usłyszałam głos Patryka. Najpierw opowiedzieliśmy sobie, co się wydarzyło w ostatnich latach, a potem zaczęłam się zwierzać ze swoich planów. Początkowo Patryk był bardzo zaskoczony.

– Mimo że masz dziecko? – Zanim zdążyłam odpowiedzieć, dodał: – Ale przecież żyjesz w kraju, w którym wszyscy uwielbiają dzieci. Z pewnością masz jakąś grubą, włoską nianię.

– Julia jest cały czas przy mnie i tylko ja się nią opiekuję – powiedziałam.

Wspomniałam o kolekcji, a Patryk dziwnie się roześmiał.

– Czy przypadkiem nie byłeś u jakiejś sycylijskiej wróżki?

– Jak to?

– Nie mogłaś zadzwonić do mnie w lepszym momencie. Wiesz, czym się obecnie zajmuję?

– Skąd miałabym wiedzieć.

– Jestem udziałowcem w sieci domów towarowych, co oznacza, że ciągle potrzebuję nowych kolekcji, które byłyby ekskluzywne i oryginalne. Miałabyś ochotę z nami współpracować?

Serce zabiło mi mocniej. Chwilę się zastanowiłam i odpowiedziałam Patrykowi, że bardzo chętnie znowu będę dla niego pracować. Wyjaśniłam, jaki rodzaj mody zamierzam tworzyć. Mój przyjaciel od razu zaczął planować.

– Jeśli wprowadzimy twoją morską kolekcję na rynek latem, mogłaby stać się hitem. Ale czy zdążysz?

– Naturalnie – stwierdziłam optymistycznie. – Wiesz przecież, że na Lecky Street musieliśmy stworzyć nową serię zaledwie w ciągu tygodnia, więc mam wprawę.

– Wtedy obydwoje byliśmy młodzi! Dzisiaj ja mam taki brzuch, że z trudem zawiązuję sznurowadła w butach, a ty masz dziecko przy piersi.

– Zaufaj mi. Dostarczę ci projekty, kroje i prototypy każdego modelu. A ty zajmiesz się masową produkcją.

Patryk się zgodził. Byłam tak szczęśliwa, że mogłabym przenosić góry. Omówiliśmy jeszcze szczegóły. Chciał jak najszybciej załatwić formalności.

– Na kogo mam wypisać umowę? – zapytał.

– Co masz na myśli?

– Nie mogę podpisać umowy z osobą prywatną, tylko z firmą. Jak nazywa się twoja firma?

– O tym jeszcze nie myślałam... – odpowiedziałam i zaczęłam wodzić wzrokiem po pokoju. Zatrzymałam się na łóżeczku, w którym Julia bawiła się pluszowym słoneczkiem. Po chwili zastanowienia oznajmiłam: – Julia. Firma nazywa się Moda Julia.

– To chyba mi wystarczy. Diano, muszę jeszcze przekonać swoich wspólników, a do tego będą mi potrzebne projekty. Powinnas je zrobić jak najszybciej, najlepiej na wczoraj.

– Jak za starych dobrych czasów – powiedziałam i się roześmiałam. – Patryk – poganiacz niewolników.

– Patryk, który najlepiej płaci swoim niewolnikom. Nie rób ze mnie potwora.

– Jest jeszcze jeden problem. Włoska poczta nie należy do najlepszych, a z sycylijską jest jeszcze gorzej. Jeśli wysłałabym oryginalne projekty pocztą, to zapewne dotarłyby do ciebie po kilku tygodniach.

– Coś wymyślę. Jakaś przesyłka kurierska czy coś podobnego. Cieszę się, że znowu razem będziemy robić interesy, Diano Sterling.

– Diano di Lorenzo – poprawiłam go i w tym samym momencie zobaczyłam w pokoju Tancrediego.

Skończyliśmy rozmowę, a ja powoli odłożyłam słuchawkę.

Niestety nie zdawałam sobie sprawy, że moja decyzja wiązała się z ogromnymi problemami. Nie wiedziałam, jak wytłumaczyć Tancrediemu, że nie będę pracować wyłącznie dla swojej przyjemności, bo właśnie dostałam duże i profesjonalne zlecenie. Czy padrone przyjmie do wiadomości, że jego żona, matka jego dziecka, będzie projektantką mody? Potrzebowałam jego pozwolenia, aby założyć firmę, mimo że miała się składać tylko z dwóch kobiet i niemowlęcia. Aby wdrożyć moje plany musiałam zatrudnić więcej pracowników, ale to na razie zamierzałam zachować w tajemnicy. Jednak nie mieszkałam już w Londynie, tylko na

Sycylii, gdzie o wszystkim decydowali mężczyźni. Nie spodziewałam się spokojnej i pozytywnej reakcji ze strony Tancrediego.

I nie pomyliłam się. Poprzednie wydarzenia były jedynie małymi sporami i doprowadzały do pojedynczych wybuchów, ale teraz czekała mnie zacięta wojna. Nie dość, że Tancredi nie zaaprobował moich planów, to jeszcze zbuntował przeciwko mnie swoich rodziców, a potem całą rodzinę. Żadne z nich nie rozumiało, o co mi chodzi, i dawali mi to odczuć. Nawet wtedy, gdy poprosiłam o pomoc Felicję, ona także stanęła po stronie swojego brata.

– Zdecydowałaś się zostać jego żoną, co już wtedy oznaczało, że podjęłaś bardzo ważną decyzję – powiedziała podczas naszej ostatniej rozmowy. – Chciałaś zostać żoną Tancrediego di Lorenzo, więc nie możesz z dnia na dzień stać się kimś innym: sklepikarką, projektantką, kobietą, która będzie podróżować do Londynu i z powrotem.

– A dlaczego nie? – spytałam zaczepnie. – Kto ustala reguły, jak ma wyglądać życie żony?

– To jest nasza tradycja – odpowiedziała Felicja, która sama była niezależna. – W tym kraju to mężczyźni ustalają zasady.

– Czy to nie jest okrutne? Czy nie jesteś przypadkiem jedną z tych, która powinna z tym walczyć?

– Nigdy z tym nie walczyłam. Po prostu chcę żyć w spokoju.

– A ja potrzebuję pracy! Czy może być w tym coś złego?

Gdy wypowiadałam te słowa, w wyobraźni zobaczyłam Tancrediego stojącego w pełnym słońcu, z flintą w ręku. Razem z innymi mężczyznami wybierał się na polowanie. Kobiety z pewnej odległości obserwowały padrone. Wieczorem, już po polowaniu, przyrządzały potrawy z przyniesionej przez mężczyzn zwierzyny. I tak toczyło się tutaj życie. Projektantka mody z atelier w mieście, która przez telefon prowadziła interesy z Londynem, nie pasowała do tego obrazka. Nie miałam wątpliwości, że ten cieszący się życiem Tancredi, którego poznałam w Rzymie, tym razem zniknął na zawsze.

Wiedziałam, że jestem silna psychicznie, ale czy byłam na tyle wytrzymała, by znosić niechęć Tancrediego przez dłuższy czas? Czy było warto? Czy mogłam to robić Julii? Czy praca była dla mnie rzeczywiście tak ważna, że zaryzykowałabym swoje małżeństwo? W oczach innych zapewne byłam osobą, która zniszczyła miłość, ale starałam się być rozsądna i wyrozumiała. Jak miałam się sprzeciwić opinii, że wszystko, co robiłam, było złe? Brakowało mi

już siły do walki o swoje prawa. Podczas wspólnych posiłków siedziałam wśród ludzi, którzy byli mną rozczarowani. Na szczęście miałam obok siebie Julię, która potrzebowała mojej miłości i uwagi i była moim jedynym cichym sprzymierzeńcem. Miała dopiero rok. Może dobrze, że była jeszcze taka mała, bo nie rozumiała kłótni swoich rodziców, które zdawały się nie mieć końca.

Tancredi chyba liczył na to, że wreszcie się poddam. Któregoś dnia ostrzegł, że wyrzuci mnie z atelier. Na parę dni odłączył prąd, pokazując mi w ten sposób, kto tu rządzi. W końcu zagroził, że odbierze mi Julię, jeśli nie ustąpię. Jego taktyka powoli zaczynała działać, bo wahałam się, czy nie zrobić tego, co sobie życzył. Czułam, że nie mogę kontynuować tego pojedynku. Mimo to trudno mi było zrezygnować z kolekcji, która miała trafić do sieci domów towarowych. Może innym wydawało się to nieistotne i śmieszne, ale dla mnie to było porzucenie marzeń, które pozwoliłyby mi poczuć się choć trochę niezależną.

Dzisiaj wiem, że gdybym wybrała spokojne życie u boku męża, a nie coś, co on nazywał karierą, nigdy nie dowiedziałabym się o sprawie, którą Tancredi i jego rodzina skrzętnie przede mną ukrywali.

Rozdział trzydziesty

Mimo zatargu z Tancredim i jego rodziną zaczęłam pracować nad kolekcją. Po śniadaniu razem z Julią jechałyśmy do miasta. Kładłam ją do łóżeczka i jej śpiewałam, żeby zasnęła. Mogłam wtedy zająć się pracą. Rysowałam, poprawiałam projekty, niektóre odrzucałam, wypróbowywałam różne kolory i materiały. Wokół mnie było pełno kartek, jakbym chciała się nimi osłonić przed złymi emocjami ze strony rodziny. Podczas pracy czułam się bardzo szczęśliwa.

Dziwne, że do tej pory Tancredi nie próbował przerwać mojej współpracy z Ninettą. Codziennie razem omawialiśmy projekty i je wdrażaliśmy. Modele, które były gotowe do szycia, zabierała do domu. Z firmy w Geli, która zajmowała się sprzedażą materiałów, dostarczano mi tkaniny bezpośrednio do atelier. Małe zakupy robiłam w sklepie wielobranżowym w Monteleone. Wszędzie towarzyszyła mi Julia, którą nosiłam w specjalnej chuście. Mogłam wtedy bez problemu poruszać się po centrum. Mieszkańcy Monteleone byli ciekawscy i dopytywali, czym się zajmuję. Z przyjemnością opowiadałam im o swoim planach. Wszyscy byli pod wrażeniem i mi gratulowali. Imponowało im, że z ich miasta będzie pochodziła firma odzieżowa.

Po paru tygodniach pojawiły się pierwsze rezultaty mojej pracy. Patryk był zadowolony i zapowiedział, że wyśle do mnie posłańca, Luigiego, który był jego współpracownikiem z Bolonii. On odbierze ode mnie towar i zawiezie go do Londynu. Niestety ani Patryk, ani ja nie wiedzieliśmy, że wysłanie tego człowieka będzie tak fatalne w skutkach.

Luigi miał niecałe trzydzieści lat, a na dodatek wyglądał jak adonis. Zjawił się w Monteleone w śnieżnobiałym mercedesie, nie mógł więc pozostać niezauważony. Gdy jego samochód stanął pod moim atelier, wszyscy wiedzieli, że Angielka jest sam na sam z tym młodym mężczyzną.

Luigi okazał się bardzo sympatyczny. Najpierw pokazałam mu swoje projekty, a później wspólnie spakowaliśmy ubrania do jego walizki, co trwało jakieś dwie godziny. Stwierdził, że chciałby przenoćować w Monteleone, bo następnego dnia czekała go długa podróż.

Towarzyszyłam mu w drodze do hotelu, który znajdował się w jakiejś ustronnej i wąskiej uliczce. Luigi zarezerwował pokój dwuosobowy, bo pojedyncze były zajęte. Na koniec zaprosił mnie na kawę do hotelowego baru. Powinnam być bardziej przewidująca i wyczuć zbliżającą się burzę, jednak zachowałam się nierozważnie.

Oczywiście Tancredi o wszystkim szybko się dowiedział, a resztę dopowiedziała mu jego wyobraźnia. Jak zwykle wezwał mnie na rozmowę i zarzucił mi, że potrzebowałam wolności wyłącznie po to, żeby spotykać się z obcymi mężczyznami. Mimo że znałam już taktykę Tancrediego, która polegała na przeinaczaniu faktów, zapytałam prosto z mostu:

– Uważasz, że między nami coś się wydarzyło?

– Ty mi to powiedz.

– Widziałam tego mężczyznę pierwszy raz w życiu.

– Masz na to jakiś dowód? – zapytał.

– Luigi pochodzi z Bolonii. Kiedy i gdzie mielibyśmy się spotkać?

– Miałaś mnóstwo możliwości. Coraz rzadziej bywasz w domu. Co robiliście w atelier?

– Pakowaliśmy moje modele ubrań.

– Przez dwie godziny?

– Oglądał je przed spakowaniem.

– Myślałem, że jest posłańcem. Nagle stał się ekspertem w dziedzinie mody? – zapytał z przekąsem.

– On nie jest szoferem, tylko współpracownikiem Patryka – odpowiedziałam zgodnie z prawdą.

– Nieźle to ukartowałaś.

– Co?

– To tak zwane spotkanie w interesach. A więc całe dwie godziny pakowaliście ubrania?

– Właśnie tak.

– Dlaczego później pojechałaś z nim do hotelu?

– On jest tu obcy. Na starówce łatwo można się zgubić.

– Czyli według ciebie ekspert od mody jest bezradnym przybyszem, który nie potrafi się odnaleźć w obcym mieście?

– Ja mu jedynie pomogłam trafić do hotelu.

– W takim razie dlaczego zostałaś tam aż godzinę i dlaczego twój towarzysz wynajął

dwuosobowy pokój?

– Wypiliśmy kawę w barze. Cały czas była przy mnie Julia.

Wtedy wpadł w furję.

– Umawiasz się z mężczyznami i patrzy na to nasze dziecko?! – krzyczał Tancredi. – Przesiadujesz z nimi sama, biegasz z nimi po mieście, chodzisz do hotelu, a na to wszystko patrzy nasze dziecko?!

Podczas każdej naszej kłótni dom sprawiał wrażenie wymarłego. Wszyscy podsłuchiwali. I jak zwykle nie widać było końca tej dyskusji. Kręciliśmy się w kółko. W tym samym czasie Julia płakała i mimo że starałam się ją uspokoić, znowu zaczynała, więc Tancredi zaniósł ją do swojej matki. Skończyliśmy rozmawiać dopiero wtedy, gdy nastał wieczór. Nie zeszłam na kolację, tylko zostałam w pokoju, siedziałam obok śpiącej Julii i płakałam. Tancredi wyniósł się do gabinetu.

Następnego ranka byłam umówiona z Luigim, ale odwołałam spotkanie i kazałam pozdrowić Patryka. Wyobraziłam sobie, jak mercedes wyrusza w drogę i opuszcza wyspę, co było moim kolejnym marzeniem – wydostać się z tego przeklętego miejsca. Część pracy była już wykonana. Teraz czekałam na ewentualne poprawki, których mógł sobie zażyczyć Patryk. Miałam parę wolnych dni, więc spróbowałam oddać się obowiązkom sycylijskiej żony. Pomagałam w kuchni, pojawiałam się na posiłkach, zmuszałam się do rozmów z krewnymi. Chodziłam z Julią na spacer do parku i starałam się nie oddalać od willi. Siadywałam na tarasie z blokiem do szkicowania, żeby wszyscy widzieli, jak wygląda moja niedoceniana praca. Podczas posiłków rozmawiałam z członkami rodziny, ale strasznie mnie to nudziło. Nie interesowało mnie, że rosną ceny, w tym roku na Sycylii jest wilgotna zima i co będziemy jedli na kolację. Wymiana poglądów z tymi ludźmi zawsze była banalna. Mówili o tym, co się wydarzyło wczoraj czy przed tygodniem, a ja miałam wrażenie, że słyszę to kolejny raz. Zastanawiałam się, czy to oni byli nudni, czy ja protekcyjna. O czym zwykle rozmawialiśmy w Rzymie? No tak. O filmie, filmie i jeszcze raz filmie. W pewien sposób też było to ograniczone. Ale od kiedy zajmowałam się projektowaniem, ten sposób rozmowy przestał mi wystarczać. Doskonale wiedziałam, że w swojej pracy nie dokonam jakiegoś odkrycia i nie przyczynię się do wzbogacenia świata o kolejny wynalazek. Byłam świadoma, że projektuję tylko bluzki, sukienki i spodnie, a mimo wszystko wydawało mi się to o wiele bardziej interesujące niż pogoda, pieniądze i zajmowanie się gospodarstwem. Tak mnie pochłaniało moje

nowe zajęcie, że nie mogłam doczekać się następnego dnia, gdy znowu przekroczyć próg swojego atelier.

W tym czasie, gdy miałam wolne i siedziałam w willi, wydawało mi się, że po wyjeździe Luigiego w naszym małżeństwie znowu zapanował spokój. W rzeczywistości było inaczej. Tancredi zaczął działać. Dowiedziałam się o tym dopiero po paru dniach. Za każdym razem, gdy gdzieś dzwoniłam, słyszałam wyraźny trzask. We włoskich telefonach bardzo często coś trzeszczało, dlatego z początku niczego nie podejrzewałam. Jednak gdy pewnego wieczoru Tancredi zdradził się, że rozmawiałam z synem handlarza materiałów, domyśliłam się, że mnie podsłuchiwał. Stary szef był chory, więc jego syn przejął wszystkie zamówienia. Skąd Tancredi miałby to wiedzieć, skoro siedziba firmy była w Geli? Nie mogłam w to uwierzyć. Parę dni później zadzwoniłam do Ninetty i akurat odebrał jej mąż, Giacinto, który poinformował mnie, że żona wyszła po zakupy. Chwilę pogawędziliśmy. Mąż Ninetty był rybakiem, ale miał wyjątkowe zainteresowania. Przypomniałam sobie o naszej pierwszej rozmowie na moło, gdy opowiadał mi o hiacyncie, rzadkim mineralu, od którego pochodziło jego imię.

– Siła kamienia chroni przed atakami magii, a także przed negatywną energią i duchowym zamętem – wyjaśnił mi wówczas Giacinto.

Był pulchnym mężczyzną o melancholijnym spojrzeniu. Mimo że nie przekroczył czterdziestki, miał siwe włosy.

– Wierzy pan, że kamienie mają takie działanie?

– Oczywiście. Wystarczy, że do silnika mojego kołowrotka dostanie się kilka ziarenek piasku i już jest ogromne działanie – stwierdził z uśmiechem.

Wreszcie zapytałam go o wpływ innych kamieni na modę. Giacinto zaczął opowiadać o sile oliwkowego perydotu i czerwonego jaspisu. Miał w domu te kamienie i chciał mi je pokazać, gdy następnym razem odwiedzę Ninettę. Po krótkiej, lecz ciekawej rozmowie pożegnaliśmy się. Zanim odłożyłam słuchawkę, Julia w swoim łóżeczku westchnęła, a ja ze słuchawką przy uchu odwróciłam się w jej stronę i wtedy znowu coś trzasnęło. Chyba ktoś odłożył słuchawkę, ale nie był to Giacinto.

Zastanawiałam się, o co mnie podejrzewał Tancredi. Przecież mnie znał i wiedział, że bardzo lubiłam się z nim kochać, ale poza tym seks nie miał dla mnie specjalnego znaczenia. Dlaczego podejrzewał mnie o to, że prowadzę podwójne życie? Czy uznał mnie za kobietę spragnioną miłości? Skąd brała się u niego ta chorobliwa zazdrość, podejrzliwość i chęć

śledzenia każdego mojego kroku? Nie umiałam sobie tego wytłumaczyć. Czy powinnam mu powiedzieć, że domyślałam się, iż podsłuchuje moje rozmowy telefoniczne? Czy powinnam okazać mu oburzenie? Nie zdecydowałam się jednak na to, bo nie miałam już siły. Odeszła mi ochota na wysłuchiwanie tych samych obraźliwych słów. Miałam dosyć udowadniania mu, że się myli, a ja nie mam sobie nic do zarzucenia, tylko kocham wolność, która nie ma nic wspólnego z erotyczną ciekawością. Nie chciałam więcej rozmawiać, argumentować, walczyć. Myślałam, że wszystko samo się ułoży bez mojej ingerencji. Jak się okazało, mimo dobrych zamiarów popełniłam kolejny błąd. W atelier przez telefon prowadziłam jedynie nic nieznaczące rozmowy. Gdy musiałam rozmawiać z mężczyznami, którzy byli przed sześćdziesiątką, wychodziłam i dzwoniłam z baru albo z budki telefonicznej. To było nierozsądne! Padrone wszędzie miał swoich szpiegów, więc moja zapobiegliwość została odebrana jako bardzo podejrzane zachowanie.

– Skoro dzwoniłaś z baru, to znaczy, że coś ukrywasz – oskarżał mnie Tancredi.

– Skąd o tym wiesz?

– Czyżby telefon w atelier nie działał?

– Byłam na dole, żeby napić się kawy, ale nagle przypomniałam sobie, że miałam jeszcze do kogoś zadzwonić.

Często kłamałam, żeby jak najszybciej dał mi spokój. Jednak to było dla mojego męża jak woda na młyn.

– Z tego, co słyszałam, wcale nie piłaś kawy. Zeszłaś na dół tylko po to, by zadzwonić.

Nigdy więcej nie poszłam do tego baru. Tak naprawdę starałam się nigdzie nie wchodzić, z nikim się nie widywać, bo wydawało mi się, że wszyscy mnie szpiegują. Było mi coraz trudniej żyć, bo nieustannie ktoś mnie obserwował, podejrzewał i czułam na plecach ciekawskie spojrzenia. Nie mogłam już tego znieść. Nie potrafiłam znaleźć wyjścia z tej sytuacji. Każdy mój dzień wyglądał podobnie, ale Tancredi cały czas podejrzewał, że coś ukrywam. Miałam wrażenie, że zależało mu jedynie na tym, żeby odkryć moje tajemnice. Wykorzystywał swoje wpływy, żeby poznać moje zamiary. Tak jakby całe miasto czekało tylko na to, aż w końcu popełnię jakiś błąd.

Jednak nie wyświadczyłam mu tej przysługi. Postanowiłam, że i z tym jakoś sobie poradzę. Praca była moim kołem ratunkowym, a Julia stała się dla mnie cichym sprzymierzeńcem. Na szczęście rodzina nie odważyła się wtrącać do opieki nad moją córką i w

związku z tym byliśmy ze sobą bardzo związane. Bez przerwy przebywałyśmy razem – w willi, atelier, sklepie, na spacerach i podczas jazdy samochodem.

Dzięki wspólnej pracy z Ninettą między nami zaczęła się rozwijać przyjaźń. Nie była tak dowcipna i błyskotliwa jak Felicja, ale miała rozsądne podejście do życia i poczucie humoru. Była sprawiedliwa i potępiała zachowanie wszechmocnego padrone. Podobał mi się jej silny charakter.

Po jakimś czasie odezwał się Patryk. Był zachwycony moją kolekcją i nie zgłosił zbyt wielu poprawek. Złożył kolejne zamówienie. Potrzebował jeszcze więcej sukienek koktajlowych, ale także wiele innych modeli. Strój rekreacyjny miał być bardziej sportowy i w różnych wariantach pasujących do wielu dyscyplin sportowych. Zależało mu też na czarnym, fantastycznym stroju starej Sycylii.

– To dla mnie za dużo, Patryk.

– No co ty! Dasz radę. Diano, to nie takie trudne – zachęcał mnie przez telefon. – Na Sycylii mężczyźni noszą tylko czarne garnitury. Widziałem to na każdym filmie o mafii.

– Nie masz pojęcia, o czym mówisz! Jeśli chodzi o ubranie, mężczyźni są bardziej wybredni niż kobiety. Skórzana kurtka czy marynarka? Koszula zapięta czy wypuszczona ze spodni? Szal czy krawat? Paw byłby mniej przejęty swoim wyglądem niż Sycylińczyk.

– Tym lepiej. Dzięki temu kolekcja Julia będzie jeszcze bardziej oryginalna niż angielska moda. Czego chcesz więcej?

Patryk wiedział, jak mnie przekonać. Wprowadzenie czegoś nowego na angielski rynek było dla mnie ekscytujące. Oczami wyobraźni widziałam kolekcję Julia w świątyni mody, w Londynie. To byłoby coś z Sycylii, co wpłynęłoby na trendy w Wielkiej Brytanii! Rzuciłam się w wir pracy, a Ninetta razem ze mną. Nie byłam szczególnie dobra w krojeniu ubrań dla mężczyzn, bo czasami bardziej przypominały kobiece, miały zbyt długie nogawki i były wąskie w ramionach.

– Powinnaś dokładniej przyjrzeć się mojemu mężowi – zażartowała Ninetta. – Czy widziałas, żeby miał nogi jak żyrafa i wąską talię? Kto to będzie nosił? Jego brzuch trzęsie się jak galareta. Właśnie tak wyglądają sycylijscy mężczyźni.

– Moda ma dążyć do ideału – próbowałam się bronić.

– Biedni Anglicy – westchnęła Ninetta. – Będą tak samo nie pasować do tych spodni jak Giacinto.

Przemyślałam to, co mi powiedziała Ninetta, i w związku z tym coraz częściej odwiedzał nas Giacinto. Przebywałam dość często u nich w domu, gdy Ninetta nie miała czasu, żeby przyjść do atelier. Gdy my zajmowałyśmy się cięciem materiałów, Giacinto przejmował opiekę nad dzieckiem. Pokazywał Julii piękne kamienie i ją zabawiał. Kilka razy wyszedł z nią na zewnątrz i zapewne ktoś go zobaczył. Zdarzyło się, że towarzyszył mi w drodze do Geli, bo potrzebował jakiejś części zamiennej do swojej łodzi. Gdy załatwił swoje sprawy, pomógł mi przy moich zakupach. Wyglądało to tak, jakbym umyślnie skierowała na siebie gniew Tancrediego. Pojechałam z żonatym mężczyzną w długą podróż przez kraj. Czasami jednak chciałam zagrać swojemu mężowi na nosie albo było mi obojętne, co pomyśli. Jemu i tak nie trzeba było wiele, żeby się zezłościł.

– Dlaczego nie wzięłaś ze sobą do Geli jednego z naszych ludzi? – zapytał Tancredi, gdy dowiedział się o mojej podróży.

– Nie lubię Chichiego – odparłam.

– Co ci zrobił?

– Jest jednym z twoich odrażających psów gończych. To mi zrobił.

– Dlaczego w takim razie wybrałaś tego rybaka?

– A dlaczego nie? Chciał coś kupić w Geli, więc przy okazji wyświadczyłam mu przysługę.

– Dlaczego pozwalasz mu na zabawę z moją córką?

– Ja nie... – zawahałam się. – Potrafi dobrze radzić sobie z dziećmi. U niego na rękach od razu się uspokoiła.

– Dlaczego była niespokojna? Może za mało się nią zajmujesz?

– Absurd.

– Gdy tylko skończysz karmienie piersią, dziecko będzie zostawało w domu, podczas gdy ty będziesz mogła pracować.

– Zobaczmy – odpowiedziałam zdenerwowana.

– Cały świat usłyszał, że opuściłaś miasto z innym mężczyzną.

– Tylko twój świat to słyszy, Tancredi! To wszystko dzieje się jedynie w twojej głowie!

Światu jest to obojętne, ponieważ nic się za tym nie kryje! To tylko twoje chore urojenia!

Moje słowa trafiły do niego mocniej, niż przypuszczałam.

– Jeszcze porozmawiamy – wymamrotał i wyszedł.

Miałam tyle spraw na głowie w związku z realizacją zamówień od Patryka, że czasami bywałam nieostrożna. Nie robiłam tego specjalnie ani żeby sprowokować Tancrediego. Ta przekłeta etykieta mówiąca o tym, z kim może rozmawiać sycylijska signora, kiedy może się pokazać na ulicy, w jakim towarzystwie, była dla mnie zbyt skomplikowana. Jednak to, że się do niej nie stosowałam, było bardzo nierozważne, bo nieświadomie narażałam innych. Giacinto był człowiekiem, który przez całe życie nie zrobił niczego złego, był życzliwy i prostolinijny. Jak każdy Sycylijczyk, przestrzegał miejscowych zwyczajów. Do mnie odnosił się z wielkim szacunkiem. Mimo że widywaliśmy się prawie codziennie, zwracaliśmy się do siebie oficjalnie. Jeśli szliśmy razem przez Monteleone, zachowywał powagę i nie żartował. Zazwyczaj staraliśmy się, żeby towarzyszyła nam Ninetta, by nie wzbudzać podejrzeń. Jednak nie zawsze było to możliwe.

Któregoś dnia poprosiłam Giacinta, żeby pomógł mi przenieść kilka rzeczy, które były ciężkie. Zimą rzadko wypływał na połów ryb, dlatego miał sporo wolnego czasu. No i się zaczęło. Giacinto nie został co prawda napadnięty, bo padrone nie posunąłby się tak daleko, ale dał mu do zrozumienia, że jest niemile widziany w towarzystwie jego żony. Tancredi był bardzo przebiegły.

Zaczął się od tego, że Giacinto musiał przedłużyć swoją licencję na działalność gospodarczą. To było rutynowe działanie, które do tej pory załatwiał od ręki w miejscowym ratuszu. Jednak teraz brakowało pewnych papierów, których nie można było otrzymać na miejscu, tylko w zarządzie prowincji. Później nie chciano mu wynająć miejsca w porcie na tak korzystnych warunkach, jakie miał wcześniej. To znaczyło, że ktoś zapłacił więcej. Gdy Giacinto zaprotestował, skończyło się jedynie na wymówkach. Wreszcie zaczęto dokładnie sprawdzać jego księgi rachunkowe. Mężczyzna, którego praca polegała na tym, że wypływał w morze, by łowić ryby i tego samego dnia sprzedać je na targu, nie prowadził skomplikowanej księgowości. Nikt na Sycylii i w całych Włoszech nie traktował zbyt poważnie podatku. A u Giacinta sprawdzano nawet to, ile zużył paliwa do kutra. Któregoś dnia nie mógł uruchomić swojego ape, który był jego jedynym środkiem transportu.

– Cukier w zbiorniku na paliwo – stwierdził Giacinto, co oznaczało, że pojazd nadaje się na złom.

To mi wystarczyło, żeby zrozumieć, iż nieświadomie doprowadziłam do sytuacji, która zagrażała rybakowi. Wpędziłam w kłopoty jego rodzinę. Podałam go Tancrediemu jak na tacy.

Wieczorem postanowiłam porozmawiać o tym z mężem, ale oczywiście niczego nie osiągnęłam. Zaprzeczył wszystkiemu. Nie miałam innego wyjścia. Musiałam ograniczyć kontakty z mężem Ninetty. Nie mógł się już więcej bawić z Julią i pomagać mi w zaopatrzeniu. Unikałam odwiedzania ich w domu. Nie rozmawialiśmy o tym, ale wszyscy wiedzieli, o co chodzi. Niestety tym razem moja ostrożność nic nie dała, bo Giacinto nadal był na celowniku. Gdy tylko się czegoś podjął, natrafiał na przeszkody. Doszło do tego, że nie mógł sprzedawać tego, co złowił. Hurtownik zaczął narzekać na jakość towaru albo mówił, że za późno przyjechał, więc nie kupi od niego ryb. Giacinto znalazł się w tragicznej sytuacji. W ten sposób nie mógł utrzymać rodziny. Na szczęście Ninetta zarabiała. Ale ten miły Sycylijczyk miał swoją dumę i dlatego bardzo cierpiał. W końcu pogorszyły się moje stosunki z Ninettą. Niby nie miała do mnie żalu, ale często pytała, dlaczego nie mogę jakoś wpłynąć na Tancrediego. Nie potrafiła zrozumieć tego polowania na jej męża. Ninetta nie wiedziała, że było tylko jedno wyjście z tej sytuacji. Tancredi w ten sposób próbował mnie zmusić, żebym przestała pracować. Tylko wtedy jej rodzina mogłaby znowu żyć w spokoju.

Rozdział trzydziesty pierwszy

W ponury marcowy dzień nadeszła straszna wiadomość. Pewnej nocy Giacinto wypłynął swoją łodzią na połów ryb. Zazwyczaj po południu był już z powrotem, bo o tej porze do Monteleone przyjeżdżał hurtownik. Gdy Giacinto nie zjawił się w porcie, Ninetta zaczęła się martwić. Zawiadomiła straż przybrzeżną. Obszar, na którym często łowił jej mąż, został przeszukany, ale bez rezultatu. Następnego ranka wznowiono poszukiwania. Ninetta i ja umierałyśmy ze strachu. Nie mogłyśmy się skupić na pracy, chociaż to właśnie dzięki niej nie myślałyśmy o najgorszym.

Dzień za dniem ratownicy wracali bez żadnych wieści. Nie znaleźli ani Giacinta, ani jego łodzi. Tej nocy, gdy zaginął, morze było spokojne i pewnie dlatego nikt nie chciał wierzyć w nieszczęście. Nie brano też pod uwagę tego, że uciekł na swoim małym kutrze na przykład na pobliską Maltę bądź do Tunezji. To było niemożliwe. Giacinto nie zostawiłby swojej Ninetty.

Po jakimś czasie dowiedziałyśmy się, że poszukiwania zostały przerwane. To, czego Ninetta się obawiała, stało się faktem. Jej Giacinto, sympatyczny i pomocny mąż już nigdy nie wróci. Wpadła w rozpacz. W pierwszym odruchu wykrzyczała mi, że to ja sprowadziłam na nich nieszczęście.

– Dlaczego zjawiłaś się w naszym domu?! Dlaczego wszystko zniszczyłaś?! – wrzeszczała i po chwili rzuciła się w moje ramiona.

Objęłyśmy się i zaczęłyśmy obie płakać. Wtedy pierwszy raz poczułam nienawiść do Tancrediego. Jeszcze do niedawna go kochałam, próbowałam zrozumieć, chociaż mnie złościł, a teraz poczułam pustkę. Ten mężczyzna stał się dla mnie obcy.

Sześć tygodni później w sąsiedniej zatoce pojawiła się łódź należąca do Giacinta. Na pokładzie odkryto dziury, które nie powstały na skutek uszkodzenia na przykład przez rafę koralową. Musiały być zrobione przez człowieka, dlatego łódź zatonała, a wraz z nią prawdopodobnie biedny Giacinto, który na pełnym morzu nie miał żadnych szans na przeżycie.

Tego nieszczęsnego lata, w którym zniknął Giacinto, wydarzyło się coś jeszcze. Nadal toczyliśmy bitwę z Tancredim. Pracowałam i częściej myślałam o Patryku i Londynie, niż o tym,

co mnie otaczało. Poddalam się i przestałam udawać Sycylijkę. Czułam się jak dodatek do rodziny, a nie jej część. Nie miało to dla mnie jakiegokolwiek znaczenia. Tancredi przestał sobie radzić w interesach. Nie były to problemy finansowe, ale nieumiejętność zarządzania majątkiem. Stał się zestresowanym menedżerem rodzinnego przedsiębiorstwa. W połowie sierpnia przeszedł załamanie nerwowe. Mimo to lekarz postawił diagnozę, że był to udar i krótkotrwały paraliż. Gdy Tancredi opuścił klinikę, musiał leżeć w łóżku. Chociaż był słaby, nie wrócił do naszego pokoju, tylko zajął swój gabinet.

Na Sycylii był środek lata. Wentylatory cały czas pracowały, a okiennice były pozamykane. Mimo to w jego biurze panował straszny upał. Gdy go odwiedziłam, miał na sobie lekką koszulę i był spocony. Spał. Usiadłam obok niego i zaczęłam się zastanawiać, czy siła tego mężczyzny polega jedynie na jego despotyczności? Jak bardzo przyczynił się do tego nasz zwariowany związek? Po chwili wstałam i jak najciszej odstawiłam krzesło. Coś zatrzeszczało. Tancredi nagle się poderwał. Wyglądał koszmarnie. Przez chwilę wydawało mi się, że nie jest zadowolony z mojej obecności.

– Jak długo tu jesteś...?

– Tylko chwilę – odpowiedziałam.

– Dlaczego nie pojechałaś do atelier?

– Mój mąż jest chory, więc jestem przy nim.

– To znaczy, że musiałem zachorować, żebyś ty...?

– Proszę cię, Tancredi, daruj sobie.

– Teraz jesteś gorą, prawda?

– Dlaczego? Nie rozumiem.

– Bo leżę tutaj, a ty możesz robić, co ci się podoba.

Nie chciałam się z nim kłócić.

– Dobrze ci zrobi, jak będziesz dużo spał.

– Prawdopodobnie byłoby najlepiej, jakbyś mnie zostawiła.

Powiedział to tak, jakby naprawdę o tym myślał.

– O czym ty mówisz? – zapytałam zdenerwowana.

– Jesteśmy jak ogień i piasek – powiedział szeptem.

– Jestem ogniem czy piaskiem?

– Nigdy nie uda mi się ciebie ugasić – odpowiedział.

– A dlaczego chcesz to zrobić, Tancredi? Jestem przecież niegroźnym małym ogniskiem na plaży. Dlaczego nie pozwolisz mi płonąć?

– Parzysz mnie.

– Nie miałam takiego zamiaru.

– Oczywiście, że nie – stwierdził i szerzej otworzył oczy. – Ale przyczyniłaś się do tego, że będę świadomy swojego okrucieństwa.

Zabrzmiało to poważnie.

– Naprawdę jest coś takiego jak przeznaczenie – powiedział Tancredi. – Inaczej byśmy się nie spotkali. Dlaczego musiałem cię poznać i właśnie na ciebie się zdecydować? Przecież mogłem sobie znaleźć inną dziewczynę. Taką, jakich tu pełno, która nie byłaby mi solą w oku. Jednak wybrałem ciebie. Z twoją siłą i wiecznym sprzeciwianiem się wszystkiemu. Dlaczego? Co mną kierowało?

– Nie wiem.

– Ale ja wiem – powiedział, patrząc na mnie przytomnym wzrokiem. – Wybrałem ciebie, bo coś mnie przyciągnęło.

Tancredi wziął mnie za rękę.

– Nie. Ty jesteś kobietą, która pokazała mi życie takie, jakie jest, Diano. Takie, jakie jest w rzeczywistości, poza murami domu Lorenzów.

– Tancredi, mówisz bardzo zagadkowo.

– Wszystkie oskarżenia, jakie padały z ust innych ludzi, a które usłyszałaś, były prawdziwe. Za każdym razem, gdy mi o tym opowiadałaś i byłaś blisko poznania tajemnicy, zadawałaś mi cios.

Tancredi ułożył się wygodniej i głęboko westchnął.

– Tajemnica dotyczy pewnego wieczoru, który miał miejsce na początku ubiegłego stulecia. Dwóch mężczyzn siedziało razem w salonie. Byli to burmistrz i jego brat biskup.

– Masz na myśli...

– Don Michele i monsignore di Lorenzo. – Tancredi chyba zdał sobie sprawę, że zabrzmiało to tak, jakby opowiadał baśń, więc się roześmiał. – Obydwaj mężczyźni wspólnie zarządzali okolicą w sposób totalitarny, czego nie można sobie dzisiaj wyobrazić. Mimo to mieli pewne zmartwienie. Brakowało męskiego potomka rodu Lorenzów. Biskup nie miał dzieci, a don Michele nie był żonaty. Mimo iż zarzucano mu, że miał dzieci z pozamałżeńskich związków, to

żadne z nich nie mogło zostać następcą i spadkobiercą Lorenzów. Zawsze w mojej rodzinie była obawa, że władza przejdzie w obce ręce, a ziemie zostaną podzielone, zamiast przekazane kolejnemu pokoleniu. Właśnie o tym dyskutowali bracia. Gdy nastał poranek, znaleźli rozwiązanie. – Tancredi przełknął ślinę i odchrząknął. Woda mineralna, która stała obok jego łóżka, była ciepła, lecz mimo wszystko ją wypił. – Niedługo odbyło się huczne wesele. Panem młodym był Vincenzo, młodszy brat burmistrza i biskupa, a panną młodą była Lucia – powiedział i zapytał: – Jej wizerunek jest na obrazie w salonie.

– To twoja babcia?

– Tak. Obraz jest trochę schowany. Kiedy drzwi są otwarte, to go nie widać. Chyba specjalnie go tam powieszono.

– Dlaczego?

– Ponieważ z wyborem panny młodej było coś nie tak. Wiesz, kim była Lucia dla Vincenza?

Rozłożyłam ręce.

– Lucia była córką jego siostry.

– Jego siostrzenicą?

– Jego ukochaną siostrzenicą – potwierdził Tancredi.

– Czy kościół przypadkiem nie zabrania... Nie wiem, jak to się nazywa u katolików, ale w Anglii...

– O nie, to akurat nie ma znaczenia, jakiego jest się wyznania, bo w każdym jest tak samo – odpowiedział Tancredi. – Kościół zabrania zawarcia związku małżeńskiego między bliskimi krewnymi. W praktyce wyglądało to tak, że biskup udzielił im dyspensy, dzięki czemu mogli się pobrać. Przekłète sycylijskie wesele.

Przyglądał mi się przez chwilę, czekał, aż zrozumie to, co właśnie usłyszałam, ale byłam tak skołowana, że nie od razu wyciągnęłam wnioski.

– Monteleone wrzało od plotek. To małżeństwo wzbudziło wielką sensację. Następnego dnia nowożeńcy wprowadzili się do willi don Michele. Za jakiś czas Lucia wydała na świat pięknego synka i nazwali go Calogero. Był to wytęskniony i wyczekany spadkobierca, który miał kontynuować męską linię rodu. Później urodziła się Benedetta.

Tancredi spojrzał na mnie wymownie.

– Don Michele był już bardzo stary, a Vincenzo niemłody, więc nie dostał praw padrone.

Został pominięty, bo Calogero miał być następny w kolejności. Dopiero po kilku latach zauważono, że spadkobierca jest głuchoniemy. Przyszły władca nie słyszał, co się do niego mówiło, i nie wydawał żadnych dźwięków. To było kłopotliwe, ale nie robiono z tego problemu. Pewnego dnia Benedetta straciła rozum. Na krótko przed swoją śmiercią don Michele przekonał się, w jaki sposób przekleństwo zakazanego małżeństwa wydaje swoje owoce. Może był to powód, dla którego don Michele w ostatnich miesiącach swojego życia w tej rozpaczy zbliżył się do swojego sekretarza Andrei. Może to on podsunął młodemu chłopakowi pomysł sfalszowania testamentu. To doprowadziło do morderstwa Andrei i zatargu między moją rodziną a rodziną Randazzów. No i tak trwa do dzisiaj... – powiedział Tancredi i westchnął.

– Uważasz, że twoja rodzina... Sądysz, że ty sam...

– Jestem, kim jestem. Pochodzę z tego związku. Mój ojciec jest upośledzony, a moja ciotka była chora psychicznie.

– Dlatego uważasz, że...

– Nie, Diano, ja to wiem. Znam siebie. Od dawna znam swoją ciemną stronę. Istniała już wcześniej, zanim się poznaliśmy. I absolutnie nie mogę nic z tym zrobić.

To, co przed chwilą usłyszałam, było dla mnie wstrząsające. Zastanawiałam się, czy mogę mu jakoś pomóc.

– A próbowałaś już terapii? Jest wiele możliwości...

Spojrzał na mnie tak przejmująco, że zamilkłam.

– Nie jesteśmy tak zacofani, jak ci się wydaje. Byłem u wielu terapeutów. Niestety w niedelikatny sposób zaczęli mi uświadamiać jeszcze inne rzeczy. Wyjaśniono mi, że jako pierwszy męski potomek byłem uprzywilejowanym dzieckiem, które ubóstwiano i rozpieszczano. Moja matka i całe otoczenie zrobili ze mnie skrajnego egoistę, który stał się kapryśny, nieobliczalny i niezdolny do życia z innymi.

Spojrzeliliśmy na siebie czule jak nigdy dotąd.

– Wtedy nie chciałem w to uwierzyć – powiedział smutnym głosem. – Tak bardzo pragnąłem naszej miłości, Diano, ale jednocześnie nie potrafię nad sobą zapanować. Tak jakby wstępowało we mnie coś złego.

– Masz na myśli swoją zazdrość...

– U Sycylijczyków zazdrość jest powszechna – próbował zażartować.

– Ale nie tak jak u ciebie. U ciebie to chorobliwa zazdrość.

– No właśnie, moja kochana. Teraz znasz prawdę.

Kiedy to usłyszałam, nagle wszystko zrozumiałam. Głuchoniemy Calogero, którym całe życie kierowała Rozalia, Benedetta egzystująca za kuchennymi drzwiami, samotna Felicja, która nie zamierzała podarować rodzinie kolejnego spadkobiercy. Aż dziwne, że wtedy nie pomyślałam, jaki los czeka Julię. Ale na razie się o nią nie martwiłam, bo była pogodną i bystrą dziewczynką. A może nie chciałam przyjąć do wiadomości tego, że Julia mogłaby dostać w genach coś po członkach rodziny Lorenzów. Byłam wdzięczna Tancrediemu za jego opowieść i tym samym przyznając się do winy. Zrobił mi wielki prezent, mówiąc prawdę. Dzięki temu wszystko stało się łatwiejsze do zniesienia. Zanim wyszłam z upalnego pokoju, z uśmiechem zwróciłam się do niego na pożegnanie:

– Dzisiaj jest dzień prawdy. Możesz mi zdradzić, kto był mordercą?

Tancredi obrócił się na łóżku i odwzajemnił mój uśmiech.

– No tak. Stara opowieść mrożąca krew w żyłach.

– Kim on był, Tancredi? Kto zastrzelił Andreę Randazzo?

– Nie wiem – odpowiedział.

– Przestań! Co to zmieni, gdy po tylu latach...

– Naprawdę nie wiem. Również ta sytuacja została załatwiona po sycylijsku.

Nadal stałam przed nim, czekając na wyjaśnienia.

– Moi rodzice przysięgli, że tę tajemnicę zabiorą ze sobą do grobu.

– To znaczy, że Calogero i Rozalia wiedzą, kto był mordercą?

– Tak, oni jedyni znają prawdę. Nikt inny nie może jej poznać. Nawet ja. Nikt nie powinien znowu przez to cierpieć.

– Czy to oznacza to, że ojciec Rozalii siedział w więzieniu, mimo że był niewinny?

Zamiast odpowiedzieć, Tancredi machnął ręką, jakby odganiał natrętą muchę. To znaczyło, że nie powinniśmy już o tym rozmawiać. Tak na Sycylii załatwiała się większość spraw.

Cicho zamknęłam drzwi i poszłam po schodach do pokoju, w którym słodko spała moja córeczka.

Rozdział trzydziesty drugi

Już nigdy nie wrócę do Monteleone. Widok dębów korkowych i zapach kwitnących mandarynek pozostanie tylko wspomnieniem” – pomyślałam. Pierścień z szafirami leży na moim biurku. W delikatnym świetle lampki błyszczą niebieskie kamienie, a diamenty tworzą zarys godła. Pierścień był nierozzerwalnie związany z rodziną Lorenzów, z jej historią i przekleństwem. Don Michele podarował go swojemu spadkobiercy, a ten – swojemu synowi Tancrediemu. W ten sposób znalazł się u mnie. Długo się wahałam, czy podarować go Julii. Bałam się, że wraz z tym pierścieniem przekażę jej rodzinną klątwę. Po chwili odłożyłam go do szkatułki, którą postawiłam na szafie, gdzie zgromadziłam wszystkie przedmioty, które wiązały się z moim życiem w Monteleone.

Dwa lata walczyliśmy z Tancredim o nasze małżeństwo. Chcieliśmy sobie pomagać i robiliśmy wszystko, by nasz związek przetrwał. Po wspólnej rozmowie, która odbyła się któregoś letniego dnia, postanowiliśmy, że będziemy spędzać ze sobą więcej czasu. Przedtem byłam zajęta wyłącznie pracą, a on interesami. Wtedy zbliżyłam się do niego, a on przyjmował to z radością. Znowu więcej rysowałam w domu i starałam się zdążyć z wykonaniem zleceń w terminie, ale nie przejmowałam się, gdy zdarzyło mi się spóźnić. Chciałam dać Tancrediemu jak najwięcej radości, on również się starał. Przestał się ze mną kłócić i mnie przesłuchiwać, a także śledzić. Po długim czasie wrócił do zdrowia. Przekonał wielu wpływowych ludzi, że bez niego poradzą sobie w interesach. Jednak im stawał się silniejszy fizycznie, tym częściej do głosu dochodziła jego władczość, a zaczęła znikać łagodna natura, która ujawniła się podczas choroby. Znowu wracał twardy i bezwzględny mężczyzna, którego tak nie lubiłam. Nie mogłam się z tym pogodzić i starałam się go powstrzymać na różne sposoby.

Przekonałam go na wspólny wyjazd. Pojechaliśmy samochodem do Rzymu. Miałam nadzieję, że z dala od domu uda mi się do niego dotrzeć. Przerwaliśmy naszą podróż już w Neapolu. Spacerowaliśmy po starówce. Zaczęłam rozmawiać z handlarzem sprzedającym antyki. To najwyraźniej nie spodobało się mojemu mężowi. Wypytywał mnie, czy znam tego mężczyznę i czy zaproponowałam tę podróż tylko po to, by się z nim spotkać. Następnego ranka już

wracaliśmy do domu i przez całą drogę nie zamieniliśmy ze sobą ani słowa.

Gdy tylko mogłam, siedziałam z Julią blisko Tancrediego, żeby w ten sposób dać mu do zrozumienia, że obydwie do niego należymy. Pokazywałam córce, że ma wspaniałego ojca, który był szanowany przez innych. Staralam się odświeżyć najpiękniejsze momenty naszego małżeństwa. Któregoś dnia znowu zorganizowałam piknik w pawilonie, tym razem we trójkę. Tancredi przyszedł zdyszany i nie mógł się skupić. Co kilka minut zjawiał się ktoś, żeby mu przekazać jakąś ważną wiadomość, więc to nie było udane spotkanie.

Czasami z nim albo z jego rodzicami chciałam porozmawiać o tajemnicy rodu Lorenzów. Kusilo mnie, żeby zadać kilka pytań, gdy siedzieliśmy z Calogerem na tarasie albo gdy razem z Rozalią przygotowywałyśmy coś w kuchni. Chętnie bym się od nich dowiedziała, co tak naprawdę wydarzyło się w rodzenie Lorenzów. Niekiedy wyobrażałam sobie Calogera jako młodego chłopaka, który zaczął się pod domem znenawidzonego Andrei i bez zmrużenia oka go zastrzelił. Później zniknął pod osłoną nocy, a broń zakopał pod drzewem. Gdy policjanci zapukali do jego drzwi, udawał wyrwanego z głębokiego snu. To była moja wymyślona wersja wydarzeń, które oczywiście mogły przebiegać zupełnie inaczej.

Podczas kolejnych miesięcy dowiedziałam się, co stało się z Andrea Randazzo. Po nagłej eksmisji został zmuszony do spłacenia swojej rodziny u Tancrediego. Nie miał tylu pieniędzy, więc odroczone mu pewną sumę w formie kredytu. Żeby go spłacić, Andrea podjął pracę przy budowie mostu w pobliżu Stuttgartu w Niemczech. Jego matka wyprowadziła się na wieś niedaleko Monteleone. Co miesiąc przysyłał jej pieniądze, z których część oddawała rodzinie Lorenzów.

Gdy miałam problemy z zaśnięciem, wstawałam i chodziłam po ciemnym domu. Dotykałam dłonią zimnej, marmurowej płyty kredensu i starego fotela pokrytego jedwabiem. Przy zamkniętych okiennicach ledwo można było dostrzec obraz don Michele. Wyobrażałam sobie jego szyderczy uśmiech, który towarzyszył mi z każdym krokiem. Naprzeciwko wisiał obraz przedstawiający biskupa. Jeszcze długo po jego śmierci duch najpotężniejszego członka rodu Lorenzów dawał o sobie znać w całym domu. Byłam ostatnia, która mogła coś zmienić.

Tancredi znowu był nie do zniesienia. Odczuwali to teraz wszyscy domownicy. Doszło do tego, że nawet Rozalia zaczęła się go bać. Któregoś dnia byłam świadkiem ich kłótni. Tancredi złośliwie skomentował jej poradę i wyszedł z domu, trzaskając drzwiami. Ja natomiast nieustannie byłam przesłuchiwana i dręczona psychicznie. Pod koniec naszego związku zdarzało

się to codziennie. Ciągłe próbował mi udowodnić moją rzekomą niewierność, a ponieważ w końcu zaczęło mu brakować argumentów, podejrzewał mnie o nieczyste myśli. Gdyby tylko mógł, zajrzałby do mojej głowy w poszukiwaniu dowodów zdrady. Nasze małżeństwo chyliło się ku upadkowi. Obydwoje byliśmy już nim bardzo zmęczeni.

Gdy któregoś dnia na krótko przed obiadem oznajmiłam Tancrediemu, że zamierzam go zostawić, zaskoczył mnie swoją reakcją. Nie był zdenerwowany, tylko jakby odetchnął z ulgą. Poprosił mnie, abym podczas posiłku udawała, że wszystko jest tak jak zazwyczaj. Jak co dzień usiedliśmy wspólnie do stołu. Jedliśmy nadziewane serca karczochów, pastę sardyńską, wieprzowe ragoût, a na deser tort cytrynowy. Ponieważ zdawałam sobie sprawę, że to mój ostatni obiad przy jego rodzinnym stole, delectowałam się wszystkim i starałam się zachować w pamięci smak każdej potrawy. Z wielką ochotą wypiałam również słodkie wino, które nigdy mi nie smakowało.

Po obiedzie Tancredi i ja wróciliśmy do naszego pokoju. Zaczęliśmy omawiać przyszłość. Byłam zdziwiona, że nagle stał się spokojnym człowiekiem. Najważniejsze ustalenia dotyczyły Julii. Wiedziałam, że nie mogę mu jej odebrać, i rozumiałam, że poruszyły niebo i ziemię, gdybym tylko spróbowała to zrobić. Szybko ustaliliśmy, że na razie nie opuszczę Włoch. Najlepszym miejscem mojej przeprowadzki był Rzym. Tancredi od razu się zgodził. Obydwoje kochaliśmy to miasto. W końcu zaczęliśmy rozmawiać na temat finansów. W tej kwestii już nie był taki łagodny. Jednak i tak czułam ulgę, że pozwolił mi odejść bez walki. To, co mi zaproponował, a było tego niewiele, w pełni mnie zadowalało. Wszystko sobie powiedzieliśmy, siedząc na naszym małżeńskim łóżu, na którym za chwilę zasnęliśmy. Jak przez mgłę pamiętam, że wziął mnie za rękę, ale może to było tylko złudzenie.

Dzień przed sylwestrem wyruszyłam w drogę. Niewiele osób z rodziny zostało wtajemniczonych w nasze sprawy. Reszta miała się dowiedzieć o rozstaniu, gdy byłam daleko od Monteleone. Rozalia nie dała mi odczuć, że jest rozżalona czy oburzona. Prosiła tylko, żebym została do końca roku, ale odmówiłam, bo właśnie tego starałam się uniknąć. Miałam nadzieję, że właśnie w Nowy Rok rozpocznę nowe życie.

Zapakowałam do samochodu najważniejsze rzeczy, czyli moje rysunki, projekty i wzory materiałów. Reszta miała zostać mi dostarczona później do Rzymu. Nie pożegnałam się z nikim, bo mój wyjazd miał wyglądać jak zwyczajna wycieczka. Tancredi straciłby szacunek, gdyby wszyscy wokół dowiedzieli się, że na krótko przed sylwestrem odeszła od niego żona. Nie

pojechałam do Felicji, nie pożegnałam się z moim przyjacielem – właścicielem kina, ale odwiedziłam Ninettę. W pełni zrozumiała moją decyzję.

– Albo odejdziesz, albo umrzesz – powiedziała na swój prosty, mądry sposób.

Na razie Julia miała zostać ze mną. Później zamierzaliśmy omówić szczegóły dotyczące jej przyszłości. Postanowiłam, że nie wprowadzę się do żadnego mieszkania należącego do rodziny Lorenzów. Chciałam znaleźć coś na własną rękę. Ale zanim to zrobiłam, zatrzymałam się w hotelu. Przed wyjazdem Calogero pożegnał się ze mną w domu. Widać, że było mu ciężko. Rozalia i Tancredi odprowadzili mnie na zewnątrz. Gdy objęliśmy się z teściową, poczułam oliwkowy zapach jej włosów. A z Tancredim uścisnęliśmy sobie dłonie. Staliśmy tak i ani się nie pocałowaliśmy, ani nie objęliśmy. Otworzył mi drzwi do samochodu, a Rozalia podała mi Julię. Wówczas nie wiedziałam, że powierzając mi wnuczkę, w ten sposób obdarowali mnie wielkim zaufaniem. Pozwolili mi odejść z córką, która przecież należała do rodziny Lorenzów. Posadziłam Julię w foteliku i przypięłam pasami. Gdy ruszyłam, spojrzałam w lusterko i zobaczyłam wyłaniającego się z zarośli Chichiego. Z udawaną służalczością zdążył jeszcze zdjąć czapkę.

Podróż była długa, dlatego po drodze musiałyśmy się zatrzymać w jakimś hotelu. Gdy wjechałyśmy do Rzymu, robiło się już ciemno. W hotelu, w którym zarezerwowałam pokój, z okna widziałam Plac Hiszpański. Wydawało mi się, że nagle dostałam nowe życie. Wreszcie znalazłam się w moim ukochanym mieście. Ogrzewanie w tym budynku było tak stare, jak on sam, więc było bardzo zimno. Julia szybko zasnęła, bo zmęczyła się długą podróżą. Przykryłam ją kocykiem. Pierwszy raz świętowałam odejście starego roku bez rodziny. Poczulałam się opuszczona i samotna. W zimnym hotelu, z małym dzieckiem i dwoma walizkami. Sięgnęłam do torebki po wieczne pióro, które podarował mi Tancredi w pobliżu fontanny Czterech Rzek Belliniego⁷⁵, i zapisałam w kalendarzyku datę i godzinę rozpoczęcia mojego nowego życia. Później zamówiłam butelkę wina. Gdy fajerwerki rozświetliły niebo nad Rzymem, nalałam sobie wina do kieliszka i wyszłam na balkon. Wypiłam za zdrowie swoje i Julii, a także Tancrediego. Zielone fajerwerki, które wystrzeliły nad moją głową, rozsypały się na ciemnym niebie mnóstwem świecących gwiazdek i zniknęły.

⁷⁵ Jedna z najslłynniejszych fontann Rzymu usytuowana na placu Navona. Została wzniesiona w 1650 roku na zlecenie papieża Innocentego X przez Gianlorenzo Berniniego. Symbolizuje cztery wielkie rzeki na czterech kontynentach: Nil, Dunaj, Rio de la Plata i Ganges

(przyp. tłum.).

Epilog

Nawet czterdzieści lat później żałuję, że nie udało mi się utrzymać mojego sycylijskiego małżeństwa. Mimo naszych kłótni, wiecznej niepewności, zazdrości, a na końcu rozłąki, której nie dało się uniknąć, byłam wówczas bardzo szczęśliwa, a Tancredi był wielką miłością mego życia. Byłam mimo wszystko wdzięczna losowi za to, że znalazłam się w czarodziejskiej krainie i wyszłam za mąż za księcia, niedostępnego i chłodnego, ale jednak księcia.

Tancredi już nigdy się nie ożenił. Chyba zdawał sobie sprawę, że historia może się powtórzyć. A może chciał oszczędzić rozczarowania kolejnej kobiecie. Stał się ponurym padrone podobnym do swojego ojca. Codziennie życzyłam mu, żeby opuściły go złe myśli i stał się opanowanym mężczyzną.

Matka Tancrediego zmarła na początku lat osiemdziesiątych z powodu problemów z sercem. Po jej śmierci Calogero bardzo cierpiał i zamknął się w swoim pozbawionym dźwięków świecie. Tak bardzo tęsknił za piękną i ukochaną żoną, która prowadziła go przez życie, że niespełna trzy lata później do niej dołączył. Umarł w swoim w gabinecie w otoczeniu ulubionych książek. Wyglądał podobno tak, jakby się nad jedną z nich zdrzemnął. Rozalia i Calogero dotrzymali słowa i zabrali do grobu tajemnicę morderstwa Andrei Randazza.

Przez te wszystkie lata Tancredi i ja widzieliśmy się tylko kilka razy. Zauważyłam, że zmęśniał. Nie miał już więcej dzieci, a nasza córka Julia nie była zainteresowana przejęciem władzy nad majątkiem rodziny Lorenzów. W związku z tym mój były mąż postanowił, że władzę po nim obejmie jeden z jego siostrzeńców, syn największego przedsiębiorcy budowlanego w okolicy. Tradycja została więc zachowana – bogactwo trafiło w ręce zamożnego człowieka. Spuścizna rodu Lorenzów nie została zaprzepaszczona, a losami regionu nadal kierowano z willi znajdującej się na przedmieściach Monteleone.

Siostra Tancrediego, Felicja, nigdy nie wyszła za mąż. Zdecydowała się kontynuować pracę w swoim zawodzie. Po śmierci ciotki dokończyła studia prawnicze i otworzyła kancelarię w Rzymie, gdzie odnowiliśmy naszą przyjaźń. Kolejny raz nieszczęśliwie zakochała się w żonatym mężczyźnie, który mieszkał w Rzymie. Gdy zamknęła swoją kancelarię, wróciła na Sycylię do cudownego domu na klifie, w którym nawet zimą było ciepło. Później zamieszkała z

nią wnuczka jej siostry, która opiekowała się nią aż do ostatnich dni jej życia.

Gdy musiałam pogodzić się z myślą o pożegnaniu ze swoją największą miłością, wydawało mi się, że nic nie będzie już takie jak wcześniej. Mimo że setki razy myślałam o naszym rozstaniu i dochodziłam do wniosku, że słusznie postąpiłam, miałam zranione serce i cierpiałam. Traktowałam małżeństwo jako związek na całe życie. Złamanie małżeńskiej przysięgi przyjąłam jak wielką porażkę. Walczyłam o utrzymanie związku również ze względu na Julię. Gdyby nasze rozstanie nie przebiegało spokojnie, nigdy nie udało by mi się przekroczyć z nią granicy Włoch. Dzięki temu, że dostaliśmy rozwód, dwa lata później bez żadnych problemów mogłam ją zabrać do Anglii, a potem wrócić do Włoch. Nigdy nie mówiłam jej niczego złego na temat ojca i myślę, że gdyby ona została przy nim, zachowałaby się tak samo jak ja. Mimo że nie wyrażałam się źle o małżeństwie czy mężczyznach, z początku Julia miała problem ze znalezieniem dla siebie odpowiedniego partnera.

Urządziłam w Rzymie swoje atelier, żeby nadal projektować na zamówienie dla Patryka. Poza tym znowu zaczęłam współpracować z Cinecittà. Kiedyś miałam romans z żonatym mężczyzną, projektantem biżuterii, z którym byłam związana zawodowo, później miałam kolejnego żonatego kochanka. Każdego z nich trzymałam na dystans i nie umiałam się z nimi związać na zawsze. To było coś w rodzaju traumy po nieudanym małżeństwie. Po prostu nie mogłabym się zakochać w innym mężczyźnie niż Tancredi.

Gdy Julia dorosła, wyglądała jak prawdziwa Włoszka. Od dzieciństwa kochała zwierzęta, więc zgodnie z zamiłowaniem zaczęła studiować weterynarię, a później podjęła pracę w klinice dla zwierząt w Rzymie. Sześć miesięcy temu urodziła córeczkę. W pierwszym odruchu chciałam powiadomić o tym wydarzeniu Tancrediego. Pomyślałam, że mógłby przyjechać do mnie na przyjęcie urodzinowe, a przy okazji poznać wnuczkę. Jednak wydało mi się niemożliwe, żeby po tylu latach się zmienił.

W końcu nadszedł dzień moich siedemdziesiątych urodzin. Gdy skończyłam pracę, świtało. Otworzyłam drzwi na taras i rozkoszowałam się ciężkim, ciepłym powietrzem. Tego dnia miał mnie odwiedzić Patryk. Nie mogło też zabraknąć Julii i jej męża, a także wielu innych ludzi, którzy znaleźli się na mojej drodze życia.

Do domu właśnie zbliżał się ciemnoczerwony włoski samochód. Alfa romeo wolno podjeżdżało pod wzgórze, zostawiając za sobą tumany kurzu. W środku siedziała Felicja, która przyjechała z Sycylii. Auto zatrzymało się pod drzewem figowym. Z mocno bijącym sercem

zeszłam na dół, by powitać przyjaciółkę.

Jeśli zainteresowały Cię nasze ebooki i chcesz dowiedzieć się jakie tytuły są aktualnie dostępne w tym formacie, wejdź na:

<http://www.hachette.com.pl/ksiegarnia/ebooki/>

